



Antoni Rybczyński
PUTIN SPUŚCIŁ
PSY WOJNY ZE SMYCZY

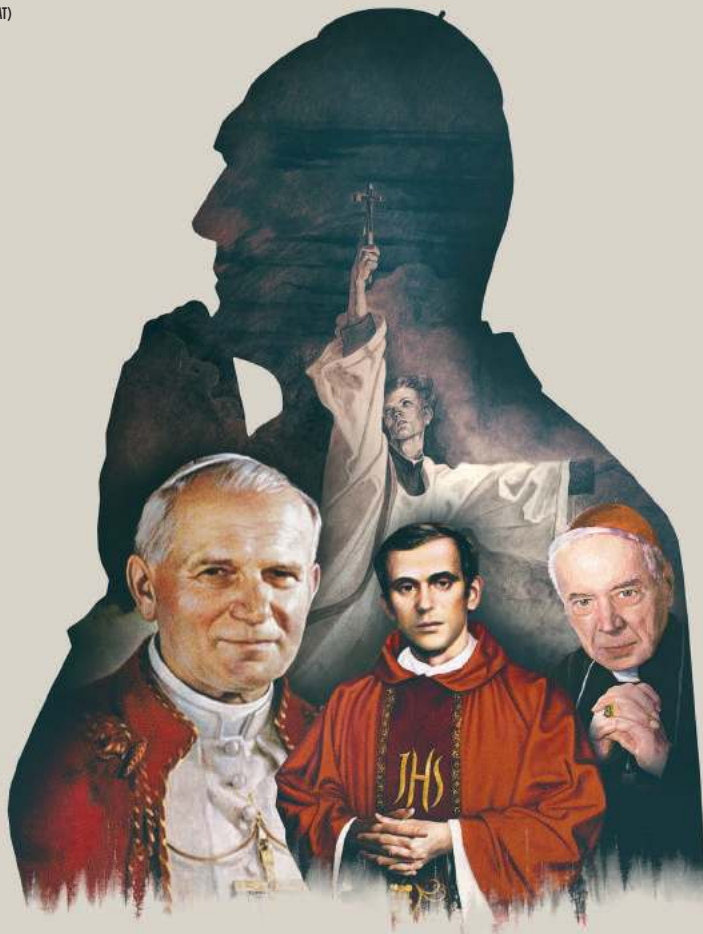


Piotr Lisiewicz
PIERWSZY BISKUP, KTÓRY WJECHAŁ
DO ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 14 420
indeks 211060
#152 11/2018



NIE MA POLSKI BEZ KOŚCIOŁA

Każdy, choćby nie miał łaski wiary, musi to przyjąć.
Każda ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę.
— Jarosław Kaczyński —

Ilustracja Marcin Trzaskowski





To jest wojna z dziedzictwem Jana Pawła II / 4

Spis treści

▶ TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz

To jest wojna z dziedzictwem
Jana Pawła II

Z Janem Pietrzakiem rozmawia
Jakub Augustyn Maciejewski

To nie artyści stoją
za atakami na Kościół

Ryszard Czarnecki

„Naród ochrzczony”
i wojna cywilizacyjna

ks. Jarosław Wąsowicz SDB

Kościół w Polsce zawsze cierpiął
z narodem

ks. Jerzy Popiełuszko

Ptaka z jednym skrzydłem,
co drepcze po ziemi

▶ IDEE

Ewa Polak-Palkiewicz

Wszystko zostało przepowiedziane

Tomasz P. Terlikowski

Święty od zadań specjalnych

Bartosz Korzeniewski

Tu nie będzie miejsca
na pedagogikę wstydu

Małgorzata Matuszak

Zabić śmierć

▶ HISTORIA

Piotr Lisiewicz

Pierwszy biskup, który wjechał
do Związku Sowieckiego

Dariusz Jaroński

Gietrzwałdzkie refleksje

Rafał Sierchula

Patriota do końca

Magdalena Złotnicka

Puzon, drań i armia nieboszczyków

Agnieszka Kowalczyk

Urodzony 11 listopada,
by „Polskę w sercu nosił”

▶ KULTURA

Krzysztof Karnkowski

Stare horrory, nowa histeria

Sylvia Krasnodębska

Wałęsa i Stuhr, czyli historia
fałszywych królów

▶ ŚWIAT

Antoni Rybczyński

Putin spuścił psy wojny ze smyczy

Hanna Shen

Szwedzko-chińska konfrontacja

Stefan Czerniecki

Dziki Zachód tu i teraz

Antoni Rybczyński

Rzeź pod Ostaninko

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Stale rubryki



Katarzyna Gójska
Od satanisty do „Kleru”

NA POCZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... samotność

KATECHIZM INTELIĞENTA

19



Ryszard Czarnecki
Złoto bez „Mazurka”

CZARNECKO TO WIDZĘ

33



Jacek Podgórski
Czego brakuje polskim spółdzielniom rolnym

SŁOWEM O GOSPODARCE

37



Marek Kalinowski
Bilans czterdziestolatka

DO GRAJĄCEJ SZAFY...

69



Olga Doleñiak-Harczuk
Koloñskie szczęście w nieszczęściu

Z GLOBALNEGO TYGLA

94



Marcin Wolski
Polski czyli katolicki

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz
Nieuchwytny czynnik

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLSKA CYWILIZACJA: HISTORIA

NOWE
PAŃSTWO

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleñiak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jaroński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Razwarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

47124010531111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Wszystko zostało przepowiedziane / 20



Pierwszy biskup, który wjechał do Związku Sowieckiego / 38



Stare horrory, nowa histeria / 66



Putin spuścił psy wojny ze smyczy / 72



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Od satanisty do „Kleru”

Tuż przed premierą „Kleru” opinia publiczna była bombardowana wręcz perwersyjnymi opisami przypadków pedofilii w Kościele. Film wszedł zatem na dobrze przygotowany grunt. Jego celem było uderzenie w szacunek i zaufanie do duchownych.

Kilka lat temu na łamach „Nowego Państwa” bardzo dokładnie analizowaliśmy cel wprowadzenia na tzw. celebryckie salony osobnika o pseudonimie Nergal. Człowieka, który zupełnie otwarcie przedstawiał się jako swego rodzaju wyznawca szatana. Swoją artystyczną działalnością ów jegomość nie miał najmniejszych szans na wybić się do poziomu autorytetu w lifestylowych mediach. Być może czułby uwielbienie dość osobliwej grupy odbiorców jego ryku, ale bez powszechnej rozpoznawalności. Efektem celebryckiego awansu Nergala było oswojenie – przynajmniej części mediów postkomunistycznych – z opinią, iż satanizm jest jedną z palety postaw akceptowalnych społecznie – zwyżczają: można wierzyć w Boga, a można i w zło. Do wyboru, do koloru. A tolerancyjne społeczeństwo akceptuje wszystko. Celebryta satanista miał zatem oswoić ludzi z ostentacyjną obrazą i pogardą wobec Boga. Zakwestionować zupełnie naturalne w polskim społeczeństwie potępienie dla atakujących sferę sacrum. Oczywiście takie działanie nie jest w Polsce żadną nowością – stosowali je i zaborcy, i totalitarna władza. Jednak wówczas postrzegane ono było po prostu jako element zniewolenia. Dziś – za sprawą narracji postkomunistycznych mediów – jakiegoś części Polaków kojarzy się z wolnością. Film „Kler” to kolejna odsłona tego samego działania. Tuż przed jego premierą opinia publiczna była bombardowana wręcz perwersyjnymi opisami przypadków pedofilii w Kościele. Wszedł zatem na dobrze przygotowany grunt. Jego celem było uderzenie w szacunek i zaufanie do duchownych. Jak powiedział podczas niedawnego pobytu w Polsce prefekt Kongregacji Nauki i Wiary kardynał Müller, odnosząc się właśnie do filmu „Kler” – chodzi o to, by odebrać ludziom księży, a w konsekwencji wiarę. Nie siłą, a manipulacją i przemocą psychiczną. Kolejny etap łatwo przewidzieć. Czego trzeba bowiem dokonać, by w dużej mierze rozbroić religijność Polaków? Oczywiście uderzyć

w pamięć o świętym Janie Pawle II i w miłość do Niego. To jeszcze przed nami, choć pierwsze zwiastuny już są dostrzegalne. W szczytowym momencie promocji filmu Smarzowskiego portal Agory opublikował wywiad z reżyserem, w którym ten głosił przekonanie, że papież Polak wiedział o problemie pedofilii, ale – to logiczna konsekwencja – ją tolerował. Wywiad pojawił się wśród najbardziej promowanych artykułów, później zniknął, by za kilka dni znów być lansowany jako news. I jeszcze kilka zdań o samej pe-

**JEŚLI ŚRODOWISKO Z CZERSKIEJ CHCE
PIĘTNOWAĆ PEDOFILIĘ, TO NIECH ZACZNIE
ROZLICZAĆ ROMANA POLAŃSKIEGO. NIECH
DOMAGA SIĘ KOŃCA JEGO UCIECZKI PRZED
SĄDEM I WYMIERZENIA SPRAWIEDLIWOŚCI.**

dofilii. Każdy jej przypadek w Kościele jest arcyboleśny i powinien być wypalany żelazem. Jednak nie mają do tego prawa ci, którzy pedofilów świeckich potrafiały wybielać na potęgę, a nawet więcej – budować ich mit osób nieskazitelnych, wręcz ofiar młodocianych, których wykorzystwały w sposób przyprawiający normalnego człowieka niemal o wymioty. Jeśli zatem środowisko z Czerskiej chce piętnować pedofilię, to niech zacznie rozliczać Romana Polańskiego. Niech domaga się końca jego ucieczki przed sądem i wymierzenia sprawiedliwości. A później niech apeluje do ofiary tego filmowca zboczeńca, by zażądała od swego obrzydliwego oprawcy gigantycznych pieniędzy w ramach odszkodowania. Smarzowski może nakręcić film o pedofilii w środowisku polskich artystów, nawet konkretnie filmowców. Materiału na scenariusz jest aż nadto. Czekamy. ■

„Kler, który wykorzystuje silną religijność społeczeństwa, ukierunkowuje je antyniemiecko” – pisał w 1939 roku Hans von Moltke, ambasador III Rzeszy w Warszawie w memoriale „O moralnej postawie Polaków” skierowanym do swojego rządu. „W walce przeciw demokratycznemu ustrojowi Państwa Polskiego zaczyna kler polski wysuwać się na pierwszy plan” – mówiła w 1947 roku Julia Brystygierowa w referacie „Ofensywa kleru a nasze zadania”.





Piotr Lisiewicz

To jest wojna z dziedzictwem Jana Pawła II

fot. MANTUO CAMMARATA/PAP/EPF



O ba dokumenty łączy nie tylko użycie słowa „kler”, charakterystyczne dla wrogów Polski, lecz także fakt, że są one skierowane do „swoich”, do własnych gremiów kierowniczych. Czyli nie mają wydźwięku propagandowego, a analityczny. Ambasador Hans von Moltke informuje rząd państwa, które niebawem zaatakuje Polskę, co w okupowanym kraju będzie dla niego czołowym zagrożeniem. Natomiast Julia Brystygierowa, przedstawicielka sowieckiego okupanta, przemawia na zamkniętej odprawie do kierownictwa Ministerstwa Publicznego i wskazuje, gdzie czyha wróg, którego trzeba zniszczyć. Najlepiej fizycznie.

► Niemiecki ambasador o szowinizmie polskiego Kościoła

Oceny berlińskiego ambasadora i „zbrodniczego monstrum przewyższającego okrucieństwem niemieckie dozorczyńce z obozów koncentracyjnych” (jak określił „Lunę” Brystygierową jeden z jej więźniów) co do niebezpieczeństwa, jakie dla okupanta – odpowiednio niemieckiego i sowieckiego – niesie polski Kościół, są całkowicie zbieżne. Moltke stwierdza, że kler może być niebezpieczny dla przyszłej niemieckiej okupacji z racji na skalę swoich wpływów i nierozdzielalną identyfikację z polskością. Raportował: „Na szczególną uwagę zasługuje działalność polskiego kleru, którego wpływ przy silnej religijności, obejmującej wszystkie warstwy społeczeństwa, jest olbrzymi. Tym chętniej wywiera on swój osobisty wpływ na społeczeństwo w duchu antyniemieckiej propagandy, ponieważ jego osobiste cele pokrywają się w zupełności z celami państwa polskiego. Głosi on wobec ludności, że Polska stoi przed wojną świętą przeciwko nowemu pogaństwu, i w szowinizmie przoduje”.

► Musimy mieć agentów wśród pątników i żebraków

Zarzut „szowinizmu” ze strony Niemców wydaje się nam skądś znajomy. A jak to wyglądało z punktu widzenia dyrektorki Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego? Obawy były identyczne – masowe oddziaływanie i brak złudzeń co do możliwości rozerwania więzi pomiędzy księżmi a „wrogiem”: „W walce przeciw demokratycznemu ustrojowi Państwa Polskiego zaczyna kler polski wysuwać się na pierwszy plan. [...] Aparat nasz dotychczas nie doceniał i na ogół nienależycie odniósł się do zagadnienia. [...] Zwalczenie wrogiej działalności kleru jest niewątpliwie jednym z najtrudniejszych zadań, jakie stoją przed nami”.

Towarzyszkę Brystygierową od pana Moltke różniło to, że jej ekipa okupowała już Polskę, więc jej zalecenia były bardziej praktyczne: „Praca nasza operacyjna musi iść w kierunku: Rozpracować udział księży w podziemiu, który obecnie jeszcze jest b. poważny. [...] Przystąpić do wszechstronnego i systematycznego rozpracowania instytucji Kościoła w terenie. [...] nie dopuścić do wdzierania się kleru i organizacji katolickich na grunt robotniczy. [...] Przeciwdziałać wpływowi kleru na masowe organizacje młodzieżowe, w pierwszym rzędzie na ZHP. [...] Systematycznie rozpracowywać katechetów szkolnych, przede wszystkim za pomocą agentury młodzieżowej w wyższych klasach [...] przystąpić do budowy sieci agencyjnej, sygnalizacyjnej i informacyjnej wśród pątników, kramikowych, żebraków odpustowych itp. Przeciwdziałać rozszerzaniu się prasy katolickiej, która jest rozsądnikiem ducha wrogości i organizatorem elementów zacofanych”.

Czy metody niemieckie wobec polskiego Kościoła różniły się od tych zalecanych przez Brystygierową? Jeśli tak, to wynikało to z innego charakteru okupacyjnej władzy. Niemcy nie udawali przyjaźni, więc akcent nie szedł na inwigilację, a na mordowanie wytypowanych, szczególnie niebezpiecznych przedstawicieli kleru.

► Lobby, które mają interes w uderzeniu w Kościół

Do jakich wniosków prowadzić ma powyższe zestawienie? „Nie ma Polski bez Kościoła. Każdy, choćby nie miał laski wiary, musi to przyjąć. Każda ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę” – mówił w 2015 roku Jarosław Kaczyński, a jego słowa przy okazji dyskusji o filmie „Kler” przytoczył jego reżyser Wojciech Smarzowski. Podczas owej dyskusji oprócz niżej podpisanego chyba tylko prof. Jan Żaryn, oceniając sytuację, rozłożył akcenty podobnie. Twierdząc, że pierwszym celem owej kampanii medialnej nie jest wcale wojna z Kościołem, a walka z Polską.

Wbrew pozorom to brzmi racjonalnie do bólu. Oto podmiotowa Polska stała się w ciągu ostatnich trzech lat problemem dla najróżniejszych państwowych potęg międzynarodowych, jak Rosja i Niemcy, ale także całkiem prozaicznych grup interesów jak przeróżne międzynarodowe korporacje czy właściciele galerii handlowych. Grupy te tracą miliardy, lub obawiają się, że utracą je niebawem, przez polski rząd.

Owym międzynarodowym podmiotom nie brak pieniędzy, by wynająć najlepszych analityków oraz speców od propagandy, którzy trafnie wskażą źródła ich kłopotów. A potem sposoby neutralizacji czy osła-

bienia zagrożenia. Jest jasne, że owi analitycy, podobnie jak Hans von Moltke czy Julia Brystygierowa, wskazali, iż jedną z głównych przyczyn owej niebezpiecznej odmienności Polski od większości Europy jest wpływ Kościoła katolickiego na wartości, jakie cenią sobie Polacy. A skoro tak, to pora użyć wszelkich testowanych wiele razy na świecie metod, by polski Kościół osłabić.

Niegdyś przedstawiciele dwóch totalitarnych potęg, wkraczając do Polski, dostawali meldunek: na terenie tego kraju znajduje się struktura, która sięga każdej gminy i najmniejszej wioski, która jakkolwiek ma charakter wyznaniowy, to jest zorientowana patriotycznie. Wniosek: zlikwidować. Natychmiast lub ewolucyjnie. Tak samo działają dziś wrogowie polskiej niepodległości, a PR-owych wzorców rozwalania religijnych instytucji jest na zachodnim rynku niemało. I niektórych z nich użyto teraz wobec Polski.

► Parafialna armia

Gdy Jarosław Kaczyński mówił o tych, którzy nie mają łaski wiary, trafił w sedno. Obrona Kościoła w Polsce nie musi wiązać się z gorliwą wiarą w Pana Boga. Po prostu każdy uczciwy polski patriota, także wyznawca innej niż katolicyzm religii, wątpiący czy ateista, będzie bronił instytucji Kościoła w imię patriotyzmu właśnie. Jako ostoji normalności w zalewie medialnego śmiecia.

Bez Pana Boga, ale także bez tysięcy parafii, Polska w historii nie mogłaby organizować sprawnej podziemnej struktury niepodległościowej, a dziś stałaby się nieporównywalnie bardziej podatna na propagandę TVN. Gdy pomyślimy sobie, kim byłyby nasze dzieci, a wcześniej kim byłibyśmy my sami, gdyby nie ochrztili nas księża, a potem nie chodzilibyśmy na lekcje religii i na msze, szybko możemy poznać odpowiedź na pytanie, czemu przeciwko Kościołowi uruchomiono ową potężną machinę.

► Wyrzywał najeżdżcom kraj

Jaki jest ostateczny cel obecnej akcji? Jaka ma być Polska, jeśli scenariusz zostanie zrealizowany? Nie ma wątpliwości, że prawdziwym jej celem ma być zniszczenie w głowach Polaków, szczególnie młodych, dziedzictwa, ale przede wszystkim – mówiąc językiem popkultury – legendy Jana Pawła II. Z tryumfującego pogromcy komunizmu, systemu, który niewolił pół świata, w tchórza lub koniunkturalistę chroniącego pedofilów w Kościele. Myślę, że niejedyn antyklerykal z mojego i nieco starszego pokolenia zerwie się odruchowo z miejsca, by dać w pysk osobie wypowiadającej podobne brednie. Ale mło-

dzi, którzy nie pamiętają, od czego startował i co osiągnął JP II, mają go buntowniczo kontestować.

Na czym polegało w wymiarze narodowym, a nie tylko religijnym, dzieło Jana Pawła II? Po komunistycznych eksperymentach Jan Paweł II podjął się szaleńczego zadania. W księżycowy krajobraz blokowisk, zamieszkały przez ofiary komunistycznego eksperymentu, który trwał przez kilka dziesięcioleci, postanowił wszczepić na nowo historyczną Polskę. Wierzył, jak Zbigniew Herbert, że choć nie ma już „Miasta”, po którym zostało „puste miejsce”, to „wciąż ponad nim drży powietrze po tamtych głosach”. W poemacie „Pamięci Jana Pawła II” Bohdan Urbankowski pisał:

*Wyrzywał najeżdżcom kraj
Nie krył się w cichych katakumbach modlitw
lecz wyrzywał najeżdżcom kraj
skibę po skibie, człowieka po człowieku*

Odwet na Janie Pawle II, którego dziś próbuje obóz antypolski, ma być tak naprawdę tryumfem komuny. Ci, którzy za jego życia schylali przed nim głowy, mają wreszcie powstać z kolan.

Kilka lat po śmierci Jana Pawła II Aleksander Kwaśniewski, który jako prezydent 25 razy spotkał się z Ojcem Świętym, w wywiadzie dla „Krytyki Politycznej” kajał się przed Sławomirem Sierakowskim, że tak mało zrobił w sprawie neutralności światopoglądowej państwa. Mówił przy tej okazji o Tusku: „On może zrobić więcej aniżeli my – jak to mówicie – postkomuniści mogliśmy. My byliśmy cały czas w cieniu oficjalnego, państwowego antyklerykalizmu czy antyklerykalizmu, który obowiązywał w latach PRL-u, więc nasze pole manewru było ograniczone. Poza tym w Watykanie był Jan Paweł II”.

► Przelicytowali?

Komuna wsparta przez światowe trendy chce dziś wziąć odwet. Tradycja Jana Pawła II była przez lata przeszkodą w tej sprawie. Teraz w oczach tych, którzy go nie pamiętają, ma stać się wstydliva.

Pomysł, by uderzyć w dziedzictwo Jana Pawła II, wydaje się z jednej strony całkowicie po bandzie, z drugiej ma zapewne jakieś racjonalne cele. Skoro w ostatnich wyborach samorządowych na znaczną część wielkomiejskiego elektoratu miał zadziałać film „Kler”, to może ma być tak, że ma on kreować podobną absurdalną modę? Mniejszościową, ale mogącą oddziaływać na resztę? Być może chodzi o osławianie ogółu, że świętości nie trzeba wcale traktować jak świętości?

Wydaje się, że pomysłodawcy takiego scenariusza jednak przelicytowali. ■

TO NIE ARTYŚCI STOJĄ ZA ATAKIEM NA KOŚCIÓŁ

Bez katolicyzmu nie da się zrozumieć polskiej kultury, nie da się czytać Mickiewicza, Słowackiego, nie zabrzmiałaby w pełni hasła „Bóg, Honor, Ojczyzna”, bo ta triada się po prostu rozsypie. Nie ma ani honoru, ani ojczyzny bez Boga. Kościół chronił nas, a my musimy chronić Kościół, skoro przeprowadza się na niego celowe ataki – z Janem Pietrzakiem rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski.

Jakub Augustyn Maciejewski



► **Spotykamy się u Pana w domu, a akurat nad nami wisi rzeźba przedstawiająca Jana Pawła II. Tymczasem do nas dochodzą takie podejrzenia, że kampania antykościelna rozpoczęta filmem „Kler” ma w ostatecznym celu osiągnąć właśnie papieża Polaka. Dlaczego artyści pokroju Smarzowskiego chcą uderzyć w Jana Pawła II?**

To nie artyści chcą uderzyć w Jana Pawła II, całą akcję montuje ktoś inny. Społeczeństwo jest od zawsze podatne na emocje, na histerie – i gdy jest atakowane takimi materiałami jak ten antypolski film, to im ulega. Ta propaganda ma wszystkie cechy niemieckiej czy rosyjskiej akcji, bo tylko z tych kierunków idzie na nas przez stulecia strumień ataków. Gra jest prosta i czytelna – uderza się we wszystko to, co podtrzymuje naród polski. Jednym z tych filarów jest Kościół katolicki, nie powinniśmy się więc temu atakowi dziwić. Te same siły chcą rozwalić Europę, używają do tego różnych lewackich pomysłów, typu teoria społeczeństwa otwartego Karla Poppera albo jakieś ideologie pochodne od marksizmu rozwalające społeczeństwo przez odebranie mu wiary i poczucia wspólnoty. Ten film to czysta dywersja cywilizacyjna, Smarzowski to wykonał, zadanie skończone. Twórcy nagromadzili mnóstwo świństwa i zrobili z tego film, niezbyt to nowy pomysł na sztukę, komuniści robili tak samo.

► **A może w XXI wieku Kościół nie jest już nam tak potrzebny jak w dawnych czasach?**

Widocznie jest potrzebny, skoro się z nim walczy. Widocznie komuś przeszkadzają kościoły, przeszkadza polska wiara, polska religia, przeszkadzają polscy święci. Poczet naszych świętych to jest nasz narodowy dorobek, bez którego Polski by po prostu nie było. Ostatnie czasy przyniosły nam świętego Jana Pawła II i błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszko. Nie brakuje takich postaci we wcześniejszych momentach polskiej historii... święty Maksymilian Maria Kolbe, święta Faustyna Kowalska. Wiara katolicka przynosi nam takich ludzi, gdy ich najbardziej potrzebujemy.

► **A co z niewierzącymi Polakami?**

Bez katolicyzmu nie da się zrozumieć polskiej kultury, nie da się czytać Mickiewicza, Słowackiego, nie zabrzmi w pełni hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna”, bo ta triada się po prostu rozpływa. Nie ma ani honoru, ani ojczyzny bez Boga. Kościół chronił nas, a my musimy chronić Kościół, skoro przeprowadza się na niego celowe ataki, takie jak robili to komuniści, hitlerowcy, którzy tysiącami wsadzali duchownych do obozów i tysiącami rozstrzeliwali.

► **W porównaniu z tymi przypadkami dziś mamy do czynienia z miękkimi atakami, nie ma już fizycznych represji.**

W tej chwili tak, ale przecież nie rozpatrujemy dni ostatnich, lecz naszą dotychczasową historię, która nie wiadomo w którą stronę się potoczy. Kościół był i jest niezbędny, mam nadzieję, że będzie nadal przez wieki, żeby Polska była Polska. Bez Kościoła się nie da.

► **A w jaki sposób doszedł Pan do takiego stanowiska w swojej drodze artystycznej? Bóg i ojczyzna nie pojawiły się w niej od razu.**

Moja twórczość nie jest znowu taka monumentalna, była raczej lekką, nie dotykała takich spraw.

► **Ależ duszę polską dotknęła bardzo, a była w niej w końcu mowa o „zakazanym Krzyżu”.**

Z biegiem lat taką potrzebę zacząłem w sobie odkrywać, choć na początku byłem raczej człowiekiem lekkiej muzy. Pisało się raczej zabawne rzeczy, przecież zaczynałem w kabarecie studenckim, nie zdając sobie sprawy i nie planując, że stanie się to moim zawodem.

► **Kiedy więc nastąpił zwrot?**

Od 1960 roku występowałem w klubie studenckim, ale doszło do spięcia z cenzurą i bezpieką, które uznały nasze dowcipy za podważanie zasad ustrojowych i dywersyjną działalność antysocjalistyczną, zatem mnie z klubu wyrzucili. Zaczęliśmy się z kolegami zastanawiać, co takiego robimy, że potężna władza partyjna, za którą stoi 100 tysięcy czołgów, bomby atomowe, imperium od Łaby po Kamczatkę, zwróciło się nas boi? I faktycznie się bała, co po latach znalazłem w aktach SB na nasz temat. Wtedy myśmy tego nie wiedzieli i pracując w kabarecie nie miałem świadomości, że robię politykę, bardziej to traktowaliśmy jako zabawę, zwłaszcza że Klub Hybrydy był sympatyczną zabawą na tle siemiennej gomulkowskiej Polski. Przychodzili tam młodzi ludzie, aby napić się wina, poskakać na wieczorkach tanecznych przy dobrej muzyce, granej przez doskonałych jazzmanów.

Coś się jednak zaczęło zmieniać, zaczynaliśmy pracować nad tekstami do sztuk dramatycznych, zaczynały się recytacje, sięganie po głębszą kulturę. Byłem już wówczas człowiekiem doświadczonym, miałem za sobą pracę w fabryce, zaoczne studia, wojsko, w połowie lat 70. coraz bardziej przyciągał mnie Kościół.

► **Dopiero wtedy?**

Nie udaję mądrzejszego niż byłem. Po prostu po kilku latach młodzieńczej „burzy i naporu”, kiedy rzadko chodziłem do kościoła, zacząłem częściej chodzić na msze, na uroczystości, odczuwać, jak polskość i wiara się nawzajem przenikają.

► **Komuniści pokazywali Kościół jako ciemnotę.**

Nie widziałem jej. W kościołach padają ważne słowa, jest piękna muzyka, arcydzieła sztuki. Jest podnio-

sły nastroj porozumienia ze Stwórcą. Nie byłem podatny na komunistyczną propagandę, wreszcie zacząłem z nią walczyć. W połowie lat 70. napisałem swój pierwszy poważny wiersz „Święte słowa”, śpiewany przez Piotra Fronczewskiego. To był mocny tekst, w którym brzmiało: „jest święte słowo: wolność”, „jest święte słowo: prawda”, „jest święte słowo: Polska”. „Żeby Polska była Polską” powstała po stłumieniu protestów robotniczych w Radomiu i tak się zaczął drugi nurt w mojej twórczości.

► Jak wówczas reagowali Pańscy słuchacze?

Na początku ze zdziwieniem. Ludzie byli przyzwyczajeni, że kabaret to jednak ironia, i słuchali tych utworów w oczekiwaniu na śmieszną pointę, a tej nie było. Tak było za pierwszym razem, a później się już rozeszło, że śpiewam co innego – przez pół roku grałem to legalnie, bo w latach 1977–1978 miałem zgodę na wykonywanie tego w małych salkach w paru województwach. Ludzie jednak przynosili magnetofony i taśma szła dalej, poza ściany małej salki. Aż wreszcie wybuchła „Solidarność” i ta pieśń wskoczyła na szczyty, była śpiewana w całej Polsce, stała się hymnem tamtego pokolenia. Pieśni „Żeby Polska była Polską”, już nie dało się schować.

► I wtedy reakcje były już inne?

Pieśń zaczęła uczestniczyć w tamtych wydarzeniach. Na wiecach, na strajkach, W jednym blokowisku ludzie umówili się, że puszcza ją podczas „Dziennika telewizyjnego”, przy otwartych oknach, i wyjdą na spacer. Leciało to po okolicy, w trakcie komunistycznej propagandy. Wiem też o mężczyźnie, który wyprodukował tysiące medalików z drobniotką nanieśionym tekstem. Poznałem po latach parę, która uciekała z Polski promem do Szwecji, wiedząc, że już nie wróci do kraju i podczas rejsu usłyszeli, jak śpiewam „Żeby Polska była Polską”. Rozplakali się i nie wiedzieli, czy wracać, jak wracać, skoro trzeba płynąć dalej.

► Wyobrażam sobie, że wyjątkowo silnie musi na tę pieśń reagować Polonia.

W 1980 roku odbyłem jedną z największych moich tras koncertowych, po Ameryce, wraz ze wspaniałym pieśniarzem Mieczysławem Foggiem. Przez widownie przewinęły się setki tysięcy ludzi, w koncertach uczestniczyły wnuki emigrantów, już ledwo mówiący po polsku, ale czuli „Solidarność” i chcieli uczestniczyć w zbiorowym przeżywaniu zmagani o wolność.

► Nie przestaliśmy śpiewać tego po 1989 roku.

Chwała Bogu. Właśnie skończyłem kolejną trasę „Niepodległość 100+”, kilkadziesiąt przedstawień,

pełnych wspaniałych emocji. Jeśli w 100-lecie odzyskania niepodległości ludzie słyszą o tym, jak przelewano krew za ich wolność, to bardziej się naszą niezależność docenia. To jest mój cel, żeby pokazać „Boże igrzysko”, jak nazwał to kiedyś trafnie Norman Davies, dziś już mniej trafnie opisujący polską rzeczywistość.

► Wyobraża Pan sobie Polskę z Kościołem zamkniętym w murach świątyni?

Spółczesność polskie nie może funkcjonować bez Kościoła. Największe wspólnotowe doświadczenia odbywamy w rytm świąt i sakramentów – chrzest dziecka, Komunia święta, pierwsze msze, śluby, pożegnania bliskich... Obrzędy nadają życiu szczególny rytm, dzięki któremu zdajemy sobie sprawę z tego, co jest ważne.

Oczywiście że można mieć zastrzeżenia do niektórych księży, jednak w obliczu wiary jest to drugorzędne, bo błędy zdarzają się wszędzie. Bez zrozumienia wiary nie zrozumiemy naszych partyzantów, Mszy świętych w lasach, Sobieskiego i jego przedmurza chrześcijaństwa. Kim bylibyśmy bez tego? Czym byłaby „Solidarność” bez mszy za ojczyznę? Bardzo się martwię o moich kolegów artystów, którzy tej natrętnej antykatolickiej propagandzie ulegają. Znaleźnienie pojedynczych przypadków patologii jest proste, ale żeby robić z tego sztukę, to łatwy lep, na który nie warto iść – takie „dziełka” szybko przemijają.

► Być może w Kościele przydałyby się autorytety, które zgromadzą nas wokół siebie, jak to miało miejsce za prymasa Wyszyńskiego czy świętego Jana Pawła II. Pan widzi kogoś takiego?

Nie czuję się właściwą osobą do wyznaczania autorytetów.

► A Pan na kogo się ogląda?

W naszej parafii, w kościele Barnabیتów, mieliśmy ulubionego proboszcza, ojca Kazimierza Lorka, ostatnio, niestety, przeniesiono go w inne miejsce.

► Czyli musimy indywidualnie szukać duchownych, którzy nas poprowadzą?

W Polsce nie brakuje świetnych księży. Gdy zapraszają mnie do siebie kluby „Gazety Polskiej” lub inne środowiska, to na spotkaniach zawsze pojawiają się księża. Niedawno jeden duchowny poprosił mnie o przesłanie zapisu nowszej pieśni „Niech żyje Polska”, bo chce, by ją zaśpiewał chór. Jeżdżę po kraju i nie mam obaw o przyszłość Kościoła w Polsce, jest on niezbędną częścią naszej wspólnoty. Musimy go chronić i nie poddawać się prowokacjom wrogów Polski. ■



Ryszard Czarnecki

„Naród ochrzczony” i wojna cywilizacyjna

Ci, którzy chcą osłabić Polskę, będą uderzać w Kościół. To doprawdy „oczywista oczywistość”. Inna sprawa, że jest to – czy może być – element szerszej wojny cywilizacyjnej.

16 października 2018 roku, w 40. rocznicę wyboru polskiego papieża, na pierwszej stronie „The New York Times” ukazało się duże zdjęcie paru Kanadyjczyków palących marihuanę – tego dnia Kraj Klonowego Liścia, rządzony przez bardzo „postępowego” premiera Justina Trudeau, zalegalizował ten narkotyk. Jednak część polskich gazet pamiętała o rozpoczęciu pontyfikatu Jana Pawła II – „księdza, który zmienił świat”. Nie wszystkie. „Gazeta Wyborcza” miała inne priorytety. Tak, jest konsekwentna: kiedyś z fascynacją pisała o T-shirtach „Nie płakałem po papieżu”. Amerykański „NYT” swoje, polskie (nie mylić z „polskojęzycznymi”) gazety swoje. Cóż, podobno każdy ma to, na co zasłużył. Tyle tytułem wstępu do kilku refleksji o Kościele w Polsce i jego roli. Nie będę pisał o wymiarze religijnym: łaską jest wiara, jest sprawą intymną, indywidualną. Chodzi mi o wymiar społeczny i historyczny polskiego katolicyzmu i Kościoła. Uważam, że jeżeli ktoś jest niewierzący, a jest polskim patriotą – to nigdy nie podniesie ręki na wiarę i na Kościół rzymskokatolicki. Nie uczyni tego właśnie ze względu na świadomość roli, jaką wiara ma w życiu rodaków. Sto lat temu mówił o tym Roman Dmowski – bynajmniej nie bigot, który wszak wiedział, że wrogowie Polski uderzali w Kościół, bo uważali go za narodową twierdzę i opokę polskości.

Już używałem tego sportowego porównania, aby zilustrować, jakie znaczenia ma dla Polaków nasz Kościół. Otóż wielki trener polskich pięściarzy, wychowawca mistrzów i medalistów olimpijskich, mistrzów czy wicemistrzów Europy, nieodżałowanej pamięci Feliks Stamm (w Warszawie mieszkają do dziś jego wnuczka i prawnuczka) uczył polskich mistrzów ringowego fechtunku: „uderzaj w korpus – a głowa potem sama opadnie”. W kontekście Polski i Kościoła rzymskokatolickiego – nie ma lepszej metafory! Kościół, matka nasza – to właśnie ów korpus. Gdy zostanie wyniszczony, to ta głowa – czyli naród – będzie wręcz zapraszać wroga do nokautu.

I to się właśnie dzieje. Kościół jest atakowany nie tylko, a może nawet nie głównie (?) ze względów religijnych i cywilizacyjnych. W wymiarze społecznym jest on bowiem wspólnotą ludzi wierzących – polskich patriotów (w olbrzymiej większości). Pasuje to świetnie określenie Prymasa Tysiąclecia, księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego, który mówił o Polsce i Polakach jako „narodzie ochrzczonym”. Ci, którzy chcą osłabić Polskę, będą uderzać w Kościół. To doprawdy „oczywista oczywistość”. Inna sprawa, że jest to – czy może być – element szerszej wojny cywilizacyjnej. Toczona, rzecz jasna, nie tylko w Polsce i nie tylko w Europie. Choć może akurat na Starym Kontynencie jest owa wojna kulturowo-cywilizacyjna szczególnie spektakularna.

Oczywiście Kościół składa się z grzesznych ludzi, w tym grzesznych księży. Oczywiście sam Kościół czy też jego część – niewielka moim zdaniem – daje asumpt do oskarżeń i złych emocji. Od nich jeden krok dzieli od nagonki.

Należy odróżnić utyskiwanie, bywa, że niestety uzasadnione na poszczególnych księży – którzy mijają się z powołaniem lub go wcale nie mają – z systemowym opluskaniem Kościoła, sączonym od lat, bezpośrednio czy podprogowo, w mediach liberalno-lewicowych. Odbywa się to – i widać to było choćby w „Gazecie Wyborczej” przy ostatniej kampanii wyborczej samorządowej – także poprzez „pozytywną” promocję kandydatów, często młodych, którzy plotą androny o rzekomym zawłaszczaniu przez Kościół sfery publicznej. Wszystko to po to, by wyraźnie mniejszościowe postawy były uznane za, jeśli nie większościowe, to przynajmniej za „normalność”. A ci, którzy je głoszą, mieliby być w tym ujęciu godnymi wsparcia „trendsetterami”.

Jest pewna analogia: słyszymy mity o polskim nacjonalizmie w sytuacji, gdy w rzeczywistości w życiu publicznym za mało jest patriotyzmu. Słyszymy też mity o nadmiernej ekspansji Kościoła, gdy w rzeczywistości raczej czasem możemy mówić o jego milczeniu i chowaniu się za „podwójną gardłą” (znów pięściarska metafora!) w różnych sytuacjach na szczeblu centralnym czy lokalnym. ■



ks. Jarosław Wąsowicz SDB



Kościół w Polsce zawsze cierpiał z narodem

Kościół w Polsce w czasie narodowych prześladowań był jedynym przyczółkiem wolności, wlewał w serca nadzieję, dodawał odwagi, pielęgnował polską tożsamość i narodowe tradycje. Zawsze cierpiał z narodem. Nie inaczej było w czasie hitlerowskiej i sowieckiej okupacji. Nasi prześladowcy zdawali sobie sprawę z roli, jaką w narodowym życiu Polaków odgrywa Kościół. Dlatego od samego początku szczególną grupą narażoną na prześladowanie było duchowieństwo.

Nigdy wcześniej w historii nie przyszło Polakom złożyć tak wielkiej daniny krwi, jak podczas II wojny światowej. Ostrze prześladowań niemieckich nazistów i sowieckich komunistów programowo nastawione było na eksterminację polskiego narodu, na jego byt i chrześcijański styl życia. Między innymi z tego powodu grupą szczególnie represjonowaną przez okupantów było duchowieństwo. Przez pięć lat okrutnej wojny prześladowania te zebrały wielkie żniwo. Statystyki w tym względzie są przerażające. W 1939 roku w Polsce pracowało około 10 tys. kapłanów diecezjalnych. Podczas wojny życie straciło około 2 tys., czyli 20 procent księży. W niektórych diecezjach, których tereny zostały włączone bezpośrednio do III Rzeszy, został zamordowany niemal co drugi ksiądz, a życie religijne praktycznie zlikwidowano. Spośród 8 tys. zakonników, którzy w dniu wybuchu wojny pracowali na terenach Rzeczypospolitej, z rąk Niemców zamordowanych zostało 370 osób, zaś spośród około 17 tys. sióstr zakonnych zamordowano około 280 sióstr. Ponadto podczas II wojny światowej około 4 tys. księży i zakonników oraz 11 tys. sióstr zakonnych było więzionych w niemieckich obozach, ci zaś, którzy zostali na wolności, byli również represjonowani. Do liczby ofiar doliczyć należy duchowieństwo i zakonników, którzy ponieśli śmierć z rąk Sowietów i zsyłani byli do łagrów.

► **Za Boga i Ojczyznę**

Wielu kanonistów rzymskich dziwiło się podczas procesów beatyfikacyjnych męczenników II wojny światowej, dlaczego Polacy tak łatwo utożsamiają męczeństwo za Ojczyznę z męczeństwem za wiarę. Nie znali naszej historii. Kościół w Polsce w czasie narodowych prześladowań był jedynym przyczółkiem wolności, wlewał w serca nadzieję, dodawał odwagi, pielęgnował polską tożsamość i narodowe tradycje. Zawsze cierpiał z narodem.

Podobną rolę odegrał w czasie hitlerowskiej i sowieckiej okupacji. Oczywiście nasi prześladowcy zdawali sobie sprawę z roli, jaką w narodowym życiu Polaków odgrywa Kościół. Dlatego od samego początku szczególną grupą narażoną na prześladowanie było duchowieństwo. Polskich kapłanów z Wolnej Pralatury Piłskiej, zorganizowanej w 1924 roku przez Stolicę Apostolską z parafii przynależących do dawnych polskich diecezji, które nie znalazły się w granicach II Rzeczypospolitej, aresztowano już kilka dni przed wybuchem wojny. Większość była czynnie zaangażowana w działalność Związku Polaków w Niemczech. Przetrzymanywano ich w więzieniach, m.in. w pomieszczeniach zakładu lotniczego „Albatros” w Pile, a następnie wywożono do KL Sachsen-

hausen. Kapłani byli też rozstrzelani już w pierwszym miesiącu wojny w masowych egzekucjach w tamach tzw. Intelligenzaktion (akcja „inteligencja”), przeprowadzonej głównie na Pomorzu, w Wielkopolsce i na Śląsku. Miejscem szczególnej pamięci o tych męczennikach jest Las Szpegawski i Piaśnica.

Kilka diecezji pozbawiono ordynariuszy, część z nich aresztowano i osadzono w obozach koncentracyjnych, wobec niektórych stosowano areszt domowy, niektórych wysiedlono, inni pozostawali na wygnaniu za granicą. Zamykano kościoły, seminaria duchowne, kasowano klasztory. Wiernym zabraniano (poza obszarem Generalnej Guberni) modlić się po polsku, grabiono i niszczone mienie należące do Kościoła, aresztowano i mordowano świeckich udzielających się w kościelnych grupach i stowarzyszeniach. Wśród cierpiącego polskiego narodu panowało przekonanie, że ponosząc męczeństwo za Ojczyznę, ponosimy je także za Kościół i odwrotnie – ofiara tych, którzy cierpieli z powodu swojej wiary, była jednoznacznie odbierana także jako męczeństwo za Polskę.

O tej spójności ponoszenia ofiary jednocześnie za Kościół i Ojczyznę byli także przekonani ci, którzy szli na męczeńską śmierć. Kapłan diecezji chełmińskiej ks. Henryk Szuman, znany duszpasterz i społecznik, w początkowych dniach wojny, przeczując swój los, tak mówił do swoich najbliższych: „ja tej wojny nie przeżyję. Byłbym szczęśliwy, gdyby dane mi było umrzeć za wiarę i Ojczyznę. Lecz proszę Boga, by męka długo nie trwała, bom słaby fizycznie i nerwy stargane”. Hitlerowcy rozstrzelali go 2 października 1939 roku w Fordonie koło Bydgoszczy. Przed śmiercią kapłan krzyknął jeszcze: „Niech żyje Chrystus Król!”.

Swoje życie za wolność Kościoła i Ojczyzny oddał także biskup sufragan włocławski Michał Kozal. Taką intencję wzbudził w swoim sercu podczas internowania w obozie przejściowym w Łądzie nad Wartą. Godną postawą na drodze męczeństwa umacniał innych więzionych z nim kapłanów. W Łądzie współwięźniowie Kozala nazywali go nawet „biskupem na klęczkach” z powodu jego wielogodzinnych modlitw u stóp jednego z bocznych ołtarzy Jezusa Ukrzyżowanego, jaki znajduje się w łądzkiej świątyni. Pan Bóg przyjął ofiarę młodego biskupa włocławskiego. W czasie męczeńskiej drogi był wielokrotnie bity i poniżany przez oprawców. Zginął w obozie koncentracyjnym Dachau, otrzymawszy od obozowego pielęgniarza śmiertelny zastrzyk. Podobne świadectwa można by mnożyć.

Polscy kapłani przelewali swoją krew za Boga i Ojczyznę także na wielu frontach II wojny światowej. Jako kapelani wojskowi byli wszędzie tam, gdzie bił

się polski żołnierz. Służyli posługą kapłańską, pełnili rolę nauczycieli, podtrzymywali na duchu, opatrywali na ostatnią drogę. Wielu z nich oddało swoje życie, służąc w polskich armiach na Wschodzie i na Zachodzie, angażując się w pracę konspiracyjną, walcząc w leśnych oddziałach partyzanckich i w Powstaniu Warszawskim. Po zakończeniu wojny wielu księży w mundurach organizowało życie religijne dla Polaków wyzwolonych na Zachodzie z obozów koncentracyjnych, oflagów, wracających z wojennej tułaczki.

► W imię miłości bliźniego

Najwyższą miarą chrześcijańskiego życia jest ofiara poniesiona w imię miłości bliźniego. Lata okupacji dostarczyły nam wiele wspaniałych przykładów takiej postawy. W imię wiary w Jezusa Chrystusa nasi rodacy potrafili oddać swoje życie za drugiego człowieka. Chyba najbardziej znaną historią jest świadectwo franciszkanina o. Maksymiliana Kolbe, który w obozie koncentracyjnym w Auschwitz dobrowolnie zgłosił się na śmierć podczas jednej z obozowych selekcji, aby uratować życie innego więźnia Franciszka Gajowniczka. Ojciec Kolbe po wielodniowej męczarni w bunkrze głodowym został dobity zastrzykiem z fenolu 14 sierpnia 1941 roku.

Piękne karty miłości bliźniego zapisały też świadectwa duchownych zaangażowanych w ratowanie Żydów. O nich mówi się dzisiaj chyba najmniej, a co najmniej kilkadziesiąt księży i zakonnic poniosło śmierć za swoją działalność w tym względzie. Z trwającego właśnie projektu naukowego „Księża dla Żydów” wynika, iż około tysiąca polskich księży katolickich było zaangażowanych w pomoc ludności żydowskiej w czasie Holocaustu. Dopiero teraz poznajemy wiele historii, które wymagały niesamowitej odwagi i poświęcenia – stwierdził niedawno koordynujący to przedsięwzięcie naukowiec ks. Paweł Rytel-Andrianik, rzecznik Episkopatu Polski.

Oczywista sprawa jest, że naród polski nie był wówczas w stanie uratować polskich Żydów od zagłady. W okupacyjnej rzeczywistości nie istniały przecież żadne ani polityczne, ani militarne możliwości, nie tylko uratowania od zagłady Żydów, lecz także skazanych na nią milionów Polaków. Siostra Alicja Kotowska, zmartwychwstanka, nie mogąc pomóc żydowskim dzieciom wyprowadzanym przez hitlerowców na rozstrzelanie, wzięła je na ręce i pierwsza wsiadła z nimi do samochodu. Towarzyszyła im w ostatniej drodze. Nie mogła uratować ani życia swojego, ani tych dzieci, ale ofiarowała im gest miłości. Została z nimi zamordowana w Piaśnicy koło Wejherowa w listopadzie 1939 roku.

W sytuacji prześladowań, terroru i zagrożenia własnego życia Polacy, na tyle na ile mogli, podejmowali walkę o ratowanie życia poszczególnych Żydów. W wielu przypadkach wynikało to z ich głębokiej wiary. Takie świadectwo dała m.in. rodzina Ulmów spod Łańcuta. Rodzice wraz z sześciorgiem dzieci zostali zamordowani w marcu 1944 roku za ukrywanie Żydów. Bohaterska rodzina mimo zagrożenia własnego życia pełniła taką posługę przez cały okres okupacji.

Wielu biskupów wielokrotnie zalecało księżom w swoich diecezjach, aby czynnie pomagali Żydom. Takie działania podejmowali m.in. biskup kielecki Czesław Kaczmarek, częstochowski Teodor Kubina, sandomierski Jan Kanty Lorek i arcybiskup warszawski Antoni Szlagowski. Katolicy kapłani wystawiali więc zagrożonym fałszywe świadectwa chrztu, organizowano pomoc w gettach, żydowskie dzieci pod zmienionymi nazwiskami dołączano do grupy polskich dzieci przebywających w zakonnych sierocińcach, ochronkach, szkołach. Wtedy klasztor dla małych Żydów znaczył często życie.

Siostry zakonne decydowały się na pomoc Żydom zupełnie dobrowolnie i z wielkim zaangażowaniem, nie patrząc na grożącą im z tego powodu śmierć. Nazaretanki w Warszawie wspólnie podjęły decyzję o przystąpieniu do ratowania żydowskich dzieci. Podczas jednej z konferencji przełożona odczytała Ewangelię św. Jana 15, 13–17, w której znajdziemy słowa: „nikt nie ma więcej miłości od tej, gdy kto życie oddaje za przyjaciół swoich”. Spytała następnie pozostałe siostry, czy decydują się narażać życie, ratując żydowskie dzieci. Reakcja sióstr była jednoznaczna. Tak wspomina ten moment jedna z zakonnic: „Cisza. Nikt nie drgnie. Żadnego westchnienia. Jesteśmy gotowe. Dzieci żydowskich nie oddamy. Raczej zginiemy. Wszystkie. Cisza przejmująca – nie patrzymy na siebie. Siostra siedzi z przymkniętymi oczami. Ręce złożone na Ewangelii, pewno się modli. Wstajemy. Nawet nie modlimy się wspólnie jak zwykle. Idziemy do kaplicy. Jest nam lekko, radośnie, choć bardzo poważnie. Jesteśmy gotowe”. Chrześcijańska postawa miłości bliźniego naszych braci została doceniona i dzisiaj Polacy są najliczniej reprezentowani wśród odznaczonych medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata, przyznawany tym, którzy ratowali Żydów w czasie Holocaustu. W tym gronie odnajdziemy 21 księży oraz 40 sióstr zakonnych.

► Odpowiedź na zło Dachau

Niezwykłe wzruszającą była posługa w imię miłości bliźniego polskich kapłanów w czasie epidemii tyfusu plamistego w obozie koncentracyjnym w Da-

chau. Parę tysięcy ludzi stłoczono wówczas w kilku zaledwie blokach, które otoczono drutem, skazując zarażonych na wymarcie. Do opieki nad tymi nieszczęśnikami zgłosiło się wówczas wielu kapłanów, jak chociażby błogosławiony ks. Wincenty Frelichowski. Jego obozową postawę wspominał biskup Korszyński w „Jasnym promieniu z Dachau”: „pod osłoną nocy przedzierał się przez kolczaste druty, oddzielające bloki zarażonych i szedł do tych najbardziej niebezpiecznych w całym obozie, niósł im pożywienie i lekarstwa, jakie dostał od kolegów, otrzymujących paczki z kraju, a przede wszystkim szedł do nich ze swym sercem, ze swą pociechą, z kapłańską władzą rozgrzeszania i z Panem Jezusem, by zasiłać ich dusze na drogę do wieczności”. Ksiądz Frelichowski zaraził się tyfusem i padł na posterunku swojej heroicznej służby kapłańskiej 23 lutego 1945 roku. Dwa miesiące przed wyzwoleniem obozu...

Jego przykładem poszli inni polscy duchowni więzieni w Dachau. Księża byli dla chorych wszystkim – kapłanami, lekarzami, pielęgniarkami, najbliższymi osobami, które można było w chwili śmierci trzymać za rękę. Biskup polowy Józef Gawlina w jednym ze swoich przemówień dotyczących postawy polskich kapłanów w Dachau tak opisywał tamte wydarzenia: „Rozpoczęły się w tej części obozu rządy Jezusa. Nikt tam z władz nie zaglądał, nikt o nic nie pytał. Swobodnie więc dusza »z natury chrześcijańska« nagrzewać się mogła promieniami łaski płynącej z Jezusa w Eucharystii. Codzienna Msza święta była radością dla umierających szkieletów ludzkich. Opuszczeni przez wszystkich, garnęli się tłumnie do Jezusa, który zamieszkał wśród nich w Eucharystii i w osobach kapłanów. Ze łzami szczęścia przyjmowali Jezusa Polacy i Belgowie, Francuzi i Holendrzy, Włosi, Niemcy, Czesi, Węgrzy, Rosjanie, Serbowie, Słowacy i Hiszpanie. Może pierwszy raz, odkąd istniało Dachau, pojawił się na ustach umierających ludzi uśmiech radości i szczęścia – szczęścia, jakie daje posiadanie Jezusa w komunii świętej. Widząc uśmiech na ustach towarzyszy, których życie dogasało, wielu pogan prosiło o chrzest”.

Ci, którzy w obozach koncentracyjnych umierali w ogromnych męczarniach, ofiarowywali swoje życie w różnych intencjach. Jeden z kapłanów więzionych w Dachau – ks. Czesław Domachowski – konając, zwrócił się do swojego przyjaciela słowami: „Jeśli wrócisz do Polski, powiedz moim parafianom, że za nich ofiarowałem swoje życie”. Ów przyjaciel po wojnie został biskupem i odbywając kanoniczną wizytację byłej parafii ks. Domachowskiego, małą kujawską miejscowość Samarzewo, opowiedział wiernym o okolicznościach śmierci ich proboszcza. Ksiądz biskup Franciszek Korszyński wspominał: „Tak jak oni

plakali wtedy, płakać można tylko po stracie kogoś, kogo się bardzo ceniło i kochało”. Te łzy stały się najpiękniejszą nagrodą dla bohaterskiego kapłana.

► W chwale ołtarzy

Stolica Apostolska także doceniła ofiarę męczeństwa polskiego Kościoła. Już papież Pius XII krótko po zakończeniu wojny powiedział: „Przyjdzie czas, gdy z obozów koncentracyjnych i więzień będziemy wydobywali prochy ludzi, którzy tam polegli, i będziemy ich wynosili na ołtarze”. Słowa te okazały się prorocze. Dziś wierni Kościoła w Polsce mogą cieszyć się chwałą ołtarzy wielu swoich braci. Pierwszym polskim męczennikiem włączonym do grona świętych w niebie był o. Maksymilian Maria Kolbe. Wprawdzie najpierw został ogłoszony błogosławionym jako wyznawca, ale już papież Jan Paweł II zmienił formułę procesu i kanonizował go w październiku 1982 roku jako męczennika za wiarę. W 1987 roku Ojciec Święty wyniósł na ołtarze biskupa Michała Kozala. Dekret beatyfikacyjny nazwał go nawet „mistrzem męczenników”. Wreszcie w czerwcu 1999 roku wśród nowych błogosławionych znalazło się 108 męczenników ostatniej wojny. W grupie tej została wyniesiona na ołtarze m.in. s. Alicja Kotowska. Podczas tej pielgrzymki błogosławionym został ogłoszony także wspomniany powyżej ks. Wincenty Frelichowski. Obecnie w polskim Kościele toczy się kolejny proces beatyfikacyjny męczenników II wojny światowej. Jest prowadzony przez diecezję pelplińską. Na czele ponad 120 Sług Bożych stoi także już wspomniany w artykule ks. Henryk Szuman. W ich gronie znajduje się również bohaterska rodzina Ulmów, która oddała swoje życie za ukrywanie Żydów.

Świadectwo martyrologii kapłanów i wiernych Kościoła zostało zapomniane, chociaż są tacy, którym widać zależy, aby się tak stało. W Sądzie Okręgowym w Gdańsku odbyła się ostatnio rozprawa w prywatnego pozwu Pawła Machcewicza, Piotra Majewskiego, Janusza Marszałca i Rafała Wnuka przeciwko Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Panowie historycy domagają się m.in. usunięcia wprowadzonych w 2017 roku zmian na wystawie głównej. Jakich? Ano usunięcia z wystawy głównej ekspozycji dotyczącej rodziny Ulmów i nowych treści dotyczących Polaków ratujących Żydów w czasie niemieckiej okupacji; zlikwidowania wszystkich treści poświęconych o. Maksymilianoowi Kolbe i ks. Wincentemu Frelichowskiemu w sekcji dotyczącej niemieckich obozów śmierci, także informacji o martyrologii polskiego duchowieństwa podczas ostatniej wojny. Walka o pamięć i naszych męczenników wciąż trwa! ■

Piotr Lisiewicz

„Najwspanialsze i najtrwalsze walki, jakie zna ludzkość, jakie zna historia, to walki ludzkiej myśli. Najnędniesze i najkrótsze to walki przemoc” – mówił błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko. Instytut Pamięci Narodowej wykonał ważną pracę, zbierając w jednym miejscu kazania błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki z mszy za Ojczyznę w parafii św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Szalona odwaga wypowiedzianych wówczas słów na temat zamordowanych czy prześladowanych to już dziś świadectwo historyczne. Ale w kazaniach tych jest wiele zdań, które pozostają zapomniane, a brzmią wręcz jak aktualne do dziś aforyzmy. I jako takie mają szansę wryć się w świadomość także młodych Polaków, którzy księdza Jerzego nie pamiętają.

ks. Jerzy Popiełuszko

Ptaka z jednym skrzydłem, co drepcze po ziemi

Człowiek pracujący ciężko, bez Boga, bez modlitwy, bez ideałów będzie jak ptak z jednym skrzydłem dreptał po ziemi. Nie potrafi się wzbić wysoko i zobaczyć większych możliwości, większego sensu bytowania na ziemi. Będzie jak okaleczony ptak krążył wokoło swojego dzioba.

► 31 października 1982

Na tym polega w zasadzie nasza niewola, że poddajemy się panowaniu kłamstwa, że go nie demaskujemy i nie protestujemy przeciw niemu na co dzień. Nie protestujemy, milczymy lub udajemy, że w nie wierzymy. Żyjemy wtedy w zakłamaniu. Odważne świadectwo prawdy jest drogą prowadzącą bezpośrednio do wolności. Człowiek, który daje świadectwo prawdzie, jest człowiekiem wolnym nawet w warunkach zewnętrznego zniewolenia, nawet w obozie czy więzieniu. Gdyby większość Polaków w obecnej sytuacji wkroczyła na drogę prawdy, gdyby ta większość nie zapomniła, co było dla niej prawdą jeszcze przed niespełna rokiem, stalibyśmy się narodem wolnym duchowo już teraz. A wolność zewnętrzna czy polityczna musiałaby przyjść prędzej czy później jako konsekwencja tej wolności ducha i wierności prawdzie.

Kończymy nasze rozważania, przypominając słowa Ojca Świętego, wypowiedziane, kiedy jeszcze był biskupem w Krakowie: „Słaby jest lud, jeśli godzi się na swoją klęskę, gdy zapomina, że został posłany, by czuwać, aż przyjdzie jego godzina. Bo godziny wciąż wracają na wielkiej tarczy historii”.

Oby godzina prawdy jak najszybciej wróciła na wielkiej tarczy, bohaterskiej tarczy naszego narodu, by prawda odniosła ostateczny triumf w naszej Ojczyźnie.

► 26 grudnia 1982

A kiedy Jan Paweł mówił: Ojczyzna – nie było w tym nic z miałościwego patosu, ale trudnych wieków polskich wielka spuścizna...

Najwspanialsze i najtrwalsze walki, jakie zna ludzkość, jakie zna historia, to walki ludzkiej myśli. Najnędniesze i najkrótsze to walki przemocy.

► 30 stycznia 1983

Od początku dziejów naszej Ojczyzny praojcowie nasi przelewali krew, aby nie pozwolić obcej przemocy na odebranie największej wartości narodowej, na odebranie wolności. Bo „walka o wolność, gdy się raz zaczyna, z ojca krwią spada dziedzictwem na syna...”.

Kilka zdań o 1830 roku. Powstanie to było udziałem przede wszystkim młodzieży, która nie chciała się pogodzić z sytuacją narzuconą Polsce przez wielkie mocarstwa. Patriotyczny zryw chłopców ze szkoły podchorążych spowodował, że Warszawa stała się ośrodkiem powstańczym. Ale, niestety, władza pozostała w rękach ludzi, którym było dobrze w gniazdku własnej egzystencji, ludzi opłacanych groszem zaborcy. Ci ludzie nie poparli powstańców. Dla zmylenia opinii publicznej wprowadzili do władzy kilka osób cieszących się opinią prawdziwych patriotów. Ale tylko dla zmylenia opinii publicznej.

Zło, które znosiło się jako coś nieuniknionego, staje się nieznośnie na myśl, że można się od niego uwolnić.

Wolność jest rzeczywistością, którą Bóg wszczepił w człowieka, stwarzając go na swój obraz i podobieństwo. Naród z tysiącletnią tradycją chrześcijańską zawsze będzie dążył do pełnej wolności. Bo dążenia do wolności nie pokona się przemocą, gdyż przemoc jest siłą tego, kto nie posiada prawdy. Człowieka można przemocą ugiąć, ale nie można go zniewolić. Polak miłujący Boga i Ojczyznę powstanie z każdego poniżenia, bo zwykł klękać tylko przed Bogiem. Zbyt wiele mamy tego przykładów w historii zamierchłej, jak i współczesnej.

► 27 lutego 1983

Są więzienia niewidzialne, jest ich bardzo wiele. Są więzienia, w których ludzie rodzą się, rosną i umierają. Są więzienia systemów i ustrojów. Te więzienia nie tylko niszczą ciała, ale sięgają dalej, sięgają duszy, sięgają głęboko prawdziwej wolności.

Są środowiska, gdzie rodziny uwięzionych otacza się opieką i powszechnym szacunkiem. Ale są też takie, gdzie strach jest silniejszy od poczucia moralnego obowiązku.

► 24 kwietnia 1983

Człowiek pracujący ciężko, bez Boga, bez modlitwy, bez ideałów będzie jak ptak z jednym skrzydłem dreptał po ziemi. Nie potrafi się wzbicić wysoko i zobaczyć większych możliwości, większego sensu bytowania

na ziemi. Będzie jak okaleczony ptak krążył wokoło swojego dzioba.

Jeżeli stwarza się ludziom pracującym sytuację, gdzie – aby utrzymać kilkuosobową rodzinę – muszą brać dodatkowe etaty lub pracować w niedzielę, dokonuje się mordu na ludzkich sumieniach. Niszczy się rodziny. Okrada się dzieci z czasu, który rodzice powinni im poświęcić. Za godziwą pracę musi być godziwa zapłata, sprawiedliwa zapłata.

Może nam się dzisiaj wydawać, jak nieraz w historii, że przegraliśmy, że toczyliśmy zbędne boje, że niepotrzebnie narażaliśmy się. A jednak musimy wierzyć, że przyjdą czasy, kiedy nasze wysiłki i trudy – dziś bezowocne – będą owocowały dla dobra naszej umiłowanej Ojczyzny.

► 26 czerwca 1983

Człowiek pracujący jest nie tylko narzędziem produkcji, ale jej podmiotem. Człowiek musi być na pierwszym miejscu. Człowiek pracy jest gotów i na wyrzeczenia, gdy tylko czuje się gospodarzem i ma wpływ na sprawiedliwy podział tego, co zdołano razem wytworzyć.

► 25 września 1983

Kultura polska jest dobrem, na którym opiera się dobro duchowe Polaków. Ona stanowi o nas przez cały ciąg dziejów Ojczyzny bardziej niż siła materialna czy granice polityczne. Dzięki kulturze naród pozostał sobą pomimo wieloletniej utraty niepodległości. Duchowo zawsze był niepodległy, ponieważ miał swoją wspaniałą kulturę.

Kultura polska od początku nosi wyraźne znamiona chrześcijańskie. Chrześcijaństwo zawsze znajdowało swój oddźwięk w dziejach myśli, twórczości artystycznej, w poezji, muzyce, dramacie, plastyce, malarstwie, rzeźbie. Kultura polska przez wieki brała swoje natchnienie z Ewangelii. Adam Mickiewicz, nasz wieszcz narodowy, w „Księgach pielgrzymstwa polskiego” napisał, że cywilizacja prawdziwie godna człowieka musi być chrześcijańska.

Dzięki chrześcijaństwu jesteśmy powiązani z kulturą Zachodu i dlatego mogliśmy się w historii opierać wszelkim innym kulturom ludów barbarzyńskich. Mogliśmy się oprzeć kulturom narzucanym nam przez wrogów czy przyjaciół.

W Polsce powojennej postanowiono, że Boga i Ewangelii nie będzie w życiu narodu, że szczególnie młode pokolenie będzie wychowywane bez Boga. Ale zapomniano, że Bóg wcale nie ma obowiązku stosować się do czyichkolwiek uchwał.

A czym pożywi się naród w niedalekiej przyszłości z dzisiaj tworzonej historii i kultury? Czy będzie mógł pożywić się kłamliwymi artykułami z „Rzeczpospolitej”, „Trybuny Ludu” czy „Argumentów”? Obdzieraniem dusz młodzieży z kultury narodowej, z własnych, przepojonych chrześcijaństwem, wspaniałych dzieł, przemilczaniem faktów historycznych, czy pożywi się opluwaniem „Solidarności” i fałszywymi zarzutami stawianymi jej przywódcom, demokratycznie wybranym przez naród, czy pożywi się wyrzucaniem krzyży ze szkół i fabryk, o czym z niepokojem mówią w dzisiejszym komunikacie biskupi polscy?

Wszystko, co byłoby czynione przeciwko kulturze narodowej w kraju chrześcijańskim, styl rządzenia i władania przeciwny chrześcijańskim obyczajom czy też prawom osoby ludzkiej i rodziny – nie sprzyja rozwojowi kultury.

► 25 grudnia 1983

Przywrócić prawdę oznacza przede wszystkim nazwać po imieniu każdy akt przemocy, w jakiegokolwiek formie on się przejawia. Trzeba określić zabójstwo jego własnym mianem – zabójstwo jest zawsze zabójstwem, natomiast motywacje polityczne i ideologiczne, niezdolne zmienić jego natury, tracą swoją powagę. (...) Ewangelia mocno podkreśla związek istniejący pomiędzy kłamstwem a krwawą przemocą.

► 29 stycznia 1984

Przykładem człowieka, który, służąc całym sercem Bogu, rodzinie i ojczyźnie, potrafił zachować swoją godność do samego końca, jest generał Romuald Traugutt, najwybitniejszy z przywódców powstania styczniowego. Dzisiaj kandydat na ołtarze. Powiedział o nim świętej pamięci Prymas Tysiąclecia, że nauczał nas wiązać miłość Ojczyzny z miłością w Boga. Łączył miłość Boga z miłością Ojczyzny, gdy pisał do generała Józefa Hauke-Bosaka, że „żołnierz polski powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa: czystość obyczajów i nieskalaną cnotę, a nie samowolę i demoralizację wszędzie roznosić powinien”.

Łączył miłość Boga i Ojczyzny, gdy tak tłumaczył objęcie przez siebie rządów: „Tylko nieograniczona ufność w opatrność i niewzruszona wiara w świętość naszej sprawy dodała mi siły i odwagi, aby w takich okolicznościach przyjąć sponiewieraną władzę. Pamiętałem o tym, że władza jest aktem poświęcenia, a nie ambicji...”

Łączył miłość Boga i Ojczyzny, gdy pisał do Ojca Świętego Piusa IX: „Moskwa rozumie, że z katolicką Polską nie da sobie rady, toteż teraz największą wściekłość na naszych duchowych pasterzy wywiera”. [...]

Zachował godność, gdy pełen spokoju i poddania się woli Bożej, z prawdziwą chrześcijańską odwagą, ze złożonymi rękoma i oczami podniesionymi ku niebu, składał

życie swoje w ofierze na ołtarzu miłości Ojczyzny. Docenili to mieszkańcy Warszawy, których dziesięcioletni tłum zebrał się u podnóża pobliskiej cytadeli, modląc się i śpiewając: „Święty Boże, Święty Mocny...”

Nie zachowasz w pełni godności, gdy w jednej kieszeni będziesz nosił różaniec, a w drugiej książeczkę przeciwniej ideologii. Nie możesz służyć jednocześnie Bogu i mamoni. Musisz dokonać wyboru, ale dokonaj go po głębokim przemyśleniu.

► 26 lutego 1984

Szkoła musi być narodowa. Musi dawać dzieciom i młodzieży miłość do Ojczyzny i do rodzimej kultury. Szkoła musi się liczyć z narodem, z jego wymaganiami, obyczajowością i religią.

Niebezpieczeństwo utraty przez młodzież więzi z przeszłością narodu i kulturą rodzimą, jakże często ośmieszoną i zniekształconą, przerwała „Solidarność”, która odkłamała wiele celowo przemilczanych faktów historycznych. Nie jesteśmy narodem tylko na dziś. Jesteśmy narodem, który ma przekazać w daleką przyszłość moce nagromadzone przez całe tysiąclecie.

► 27 maja 1984

W dużej mierze sami jesteśmy winni naszemu zniewoleniu, gdy ze strachu albo dla wygodnictwa akceptujemy zło, a nawet głosujemy na mechanizm jego działania. Jeśli z wygodnictwa czy lęku poprzemy mechanizm działania zła, nie mamy wtedy prawa tego zła piętnować, bo my sami stajemy się jego twórcami i pomagamy je zalegalizować.

► 26 sierpnia 1984

W czasach zaborów, zwłaszcza na terenie zaboru rosyjskiego, czynnik religijny i maryjny dominował w manifestacjach patriotycznych. Carscy czynownicy walczyli również i z pieśniami maryjnymi, które rozbrzmiewały w kościołach. Sotnie kozackie widziały też w Matce Boskiej Częstochowskiej swojego wroga. Szukano po domach obrazków z Jej wizerunkiem. Zdzierano z drzwi domów i murów kamienic obrazki, które były naklejane w formie jakby niepisanych ulotek. Z pewnym lękiem słuchali urzędnicy carscy z komisji śledczych o tak zwanych „wojennych czynach” Pani Jasnohorskiej, której w czasie powstania styczniowego nie wahali się kiedyś nazwać główną rewolucjonistką.

Trzeba wyzbyć się lęku, który paraliżuje i zniewala umysł i ludzkie serce. Tu powtarzam często wypowiedziane z tego miejsca zdanie, że bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa za parę srebrników jałowego spokoju. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... samotność

Samotność nie jest problemem nowym, lecz tak starym jak dzieje samej ludzkości. Związana jest esencjonalnie z naszym istnieniem, niezbywalnie, i nie ma sposobu, by tego uniknąć. Uciekając przed własną samotnością, kryjemy się tak naprawdę przed samymi sobą. Stanowi ona prawo człowieka, umożliwiając koncentrację na swym własnym wnętrzu, jawi się wręcz dlań czymś niezbędnym w indywidualnym rozwoju i doświadczeniu własnej odrębności. Bywa często świadomym wyborem człowieka, który się na nią decyduje, z różnych powodów. Istnieje też jednak samotność wymuszona, niechciana, która łatwo przerodzić się może w osamotnienie, utratę radości życia i poczucia własnej wartości. Osamotnienie

czyli swej samotności w przeżyciach z dzieciństwa. Na gruncie fenomenologicznym przyczyn samotności upatruje się we wnętrzu człowieka, w jego doznaniach i przeżyciach, nie wiążąc jej z przeszłymi doświadczeniami. Według egzystencjalistów człowiek jest samotny z natury, sama samotność dostarcza zaś energii i kreatywności, mimo że bywa często bolesnym doświadczeniem. W perspektywie interakcjonistycznej wyróżnia się samotność społeczną i emocjonalną; pierwsza wynika z braku identyfikacji ze wspólnotą i deficytu więzi społecznych, druga – z braku relacji intymnych i personalnych. Wydaje się, że dopiero integralne ujęcie tych stanowisk pozwala na uchwycenie fenomenu samotności w całej jego złożoności.

WEDŁUG EGZYSTENCJALISTÓW CZŁOWIEK JEST SAMOTNY Z NATURY, SAMA SAMOTNOŚĆ DOSTARCZA ZAŚ ENERGII I KREATYWNOŚCI, MIMO ŻE BYWA CZĘSTO BOLESNYM DOŚWIADCZENIEM.

nie, w przeciwieństwie do samotności, ma zawsze negatywne skutki. Wypacza ono dar samotności. O ile dobrze i nie nazbyt długo przeżywana samotność staje się przyczynkiem do osobistego rozwoju, o tyle poddanie się poczuciu osamotnienia i zatrącanie się w nim powoduje regres osoby.

Samotność ma charakter obiektywny i subiektywny, stąd może być przeżywana i ujmowana w sposób pozytywny i negatywny – zarówno jako nośnik przykrych doznań i przeżyć, jak i otwarcie szansy do nawiązania świadomej relacji z samym sobą, rozwijania wyobraźni i intensyfikacji sił twórczych, wewnętrznego wyciszenia, kontemplacji i rozmowy ze sobą i z Bogiem. Każdy z nas ma przecież swoją Górę Kamel i żeby dojść na jej szczyt, trzeba umieć sięgnąć wzrokiem poza widzialny horyzont, w świat transcendentny, przejść przez „noc czynną” i „noc ciemną”, co wymaga odwagi zanurzenia się w swą najgłębszą samotność.

Rozważania nad problemem samotności prowadzą do wielu skrajnie nawet sprzecznych stanowisk. W zależności od przyjętej perspektywy filozoficzno-psychologicznej możemy samotność rozpatrywać wielorako. W ujęciu psychodynamicznym samotność odczuwana jest jako moc patologiczna i dynamiczna, samotnicy postrzegani są zaś jako ludzie pasywni, apatyczni, zdeprawowani, upatrujący przy-

Samotność towarzyszy człowiekowi w różnych momentach jego życia i z różnym nasileniem. Można wyróżnić kilka jej rodzajów: (1) samotność ontologiczną, czyli samotność naszego istnienia, wynikającą z racji bycia osobą i posiadania własnego, nieprzekazywalnego wewnętrznego świata, najmocniej odczuwaną w sytuacjach wywołujących traumatyczne przeżycia, o doświadczeniu których niezwykle trudno jest opowiedzieć innemu człowiekowi; (2) samotność metafizyczną związaną z poczuciem przemijalności i przygodności człowieka, ulotności i kruchości wobec ogromu czasu, przestrzeni i czasu; (3) samotność społeczną będącą konsekwencją osłabienia lub braku więzi z drugim człowiekiem i społeczeństwem; (4) samotność psychiczną odczuwaną subiektywnie, wynikającą z poczucia braku więzi psychicznej z drugą osobą i z samym sobą; (5) samotność moralną określaną jako osamotnienie osoby w wyznawanych przez siebie wartościach i poglądach bądź też brak poczucia sensu swojego życia, a także braku harmonii pomiędzy światem zewnętrznym a wewnętrznym człowieka; (6) samotność umierania. Ta ostatnia jest szczególnym rodzajem doświadczenia, które skupia w sobie samotność ontologiczną i metafizyczną, potęgowaną powagą i nieodwracalnością sytuacji. Każdy umiera samotnie, ważne jednak, by nie umierał w osamotnieniu. ■

Ewa Polak-Palkiewicz

WSZYSTKO ZOSTAŁO PRZEPowiedziane

**Matka Boża nigdy
nie rzuca słów na
wiatr. Wszystko,
co zapowiada,
spełnia się zawsze
z największą
dokładnością;
wszystko ma też
niewyobrażalnie
wielkie znaczenie
dla historii świata.
Całej historii – nie
jej wycinka.**





„Widzieć Dziewicę, która rodzi Dziecko, nie jest czymś bardziej niewiarygodnym, niż widzieć umarłego, który opuszcza swój grób” – powiedział ktoś w dyskusji na temat Niepokalanego Poczęcia. „Kto nie przyjmuje początku Ewangelii, nie może potem ocalić jej końca”. Vittorio Messori podkreśla, że pobożność maryjna jest zjawiskiem przenikającym do głębi historię narodów, do których dotarło przesłanie chrześcijańskie. Historia naszego kraju zaś uczy, że Polacy mieli rozwinięty ów dar przyjmowania za prawdę rzeczywistości po tysiącokrot przekraczającej ludzkie wyobrażenia, jak Niepoklane Poczęcie. Kult Matki Bożej daje taką wolność i otwiera takie horyzonty, że stało się u nas możliwe utworzenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów, że uznawano za oczywisty obowiązek ekspansję kulturową i religijną na Wschód, że Polacy ustanowili konstytucję dającą prawa obywatelskie temu stanowi, który u innych narodów odpowiadałby poziomowi niewolników.

„Tam, gdzie Maryja jest czczona, tam wierzy się w Syna, i to prawowiernie... Obecność Maryi strzeże zdrowej konkretności wcielenia, zdrowej materialności wiary. Wiadomo natomiast, że tam, gdzie o Maryi się zapomina, również i Syn znika, rozplywając się w oparach kultury, moralności czy gnostycyzmu, stając się mistrzem etyki o wiele bardziej niż Słowem Wcielonym” (V. Messori).

► Pierwszy beatyfikowany jezuita

Wielu historyków i pisarzy podkreśla, że Polacy zawdzięczają kultowi Matki Bożej narodową spistość, stanowiącą nieraz przedmiot pewnej zażyłości. Ufność pokładana w Bogu, jakiej wzorem jest Najświętsza Maryja Panna, przypominała o pozaziemskim celu egzystencji człowieka i zbliżała Polaków do siebie. Wymagała też często prawdziwego męstwa, biorąc pod uwagę to, jak dramatyczne były losy Rzeczypospolitej. „Męstwo nie polega na zbrojnej walce czy traktowaniu innych jako nieprzyjaciół, ale na tym, że my sami pozostajemy wierni i pomagamy innym trwać w wierności. Z im większą obojętnością lub nienawiścią spotyka się chrześcijańska miłość i prawda, tym gorliwiej powinniśmy nimi żyć” – napisali polscy biskupi, ogłaszając rok 2018, w którym świętujemy stulecie Niepodległości, także Rokiem Świętego Stanisława Kostki.

Ten polski jezuita, syn szlacheckiej rodziny herbu Dąbrowa, urodzony w 1550 roku, nie jest dziś w Polsce postacią szczególnie znaną. Delikatny, ale niezwykle silny charakterem młodzieniec, który przeżył zaledwie osiemnaście lat, nie był nigdy

w stanie pogodzić się z kłamstwem; chciał żyć w harmonii z prawdą. Jej uosobieniem, najpiękniejszym obrazem była dla niego Matka Boska. Syn senatora i kasztelana zakroczymskiego został wysłany razem ze starszym bratem do szkoły jezuickiej w Wiedniu. Atmosfera miasta, w którym na studentów czekały niewyszukane rozrywki, swobodne obyczaje, a zarazem oglądany z bliska blachtr życia dworu cesarskiego, nie były tym, czego szukał. Nie odpowiadał mu psychiczny przymus uczestniczenia w tym wszystkim. Jego duchowe *credo* „Do wyższych rzeczy jestem stworzony”, było odpowiedzią na taniość życia wiedeńskiej socjety. Lekcje tańca, strojenie się, wizyty u malarzy, którzy sporządzali portrety młodych szlachciców, a zwłaszcza wieczorne ucztowania i pijatyki w domu protestanckiego mieszczanina Kimberkera przy ulicy Currentgasse, gdzie obaj z bratem mieszkali, męczyły go. Brat, widząc jego pobożność, uznał ją za dziwactwo i próbował wymusić siłą uczestnictwo w wesołej kompanii. Gdy Stanisław stawiał opór, regularnie bił go i katował razem z innymi mieszkańcami stancji. Stanisław zdecydował, że będzie zakonnikiem, w ten sposób chciał wypełnić młodzieńczy ślub złożony jeszcze w Polsce. Jednak ojciec nie wyraził zgody na jego wstąpienie do jezuitów, a zakonnicy takiej zgody wymagali. Siedemnastoletni Stanisław tuż przed powrotem do Polski uciekł piechotą z Wiednia, by kołatać do innej prowincji jezuickiej. Przeszedł 650 kilometrów, przez Augsburg i Dillingen, a potem przez Alpy, do Rzymu. Zaraz za granicami Wiednia musiał zrzucić swój bogaty ubiór i przebrać się w strój żebraka, gdyż rodzina zorganizowała pogoń za uciekinierem. Po wielu perypetiach został przyjęty do nowicjatu w Rzymie. Zdążył tam być dziesięć miesięcy. Ten silny i krzepki młody człowiek po pięciu dniach niezdiagnozowanej choroby nagle zmarł, otoczony modlitwą współbraci, którzy widzieli w młodym Polaku kogoś niezwykle gołego. Dzień śmierci stał się pierwszym dniem jego kultu, który z nadzwyczajną szybkością, wśród wielu znaków, rozprzestrzenił się po całej Europie. Stanisław Kostka został pierwszym beatyfikowanym jezuitą i patronem Polski.

► Z ziemi włoskiej do Polski

Czterdzieści dwa lata po śmierci Stanisława Kostki (15 sierpnia 1568 roku), jego współbrat, o. Giulio Mancinelli, 73-letni zakonnik, wyruszył piechotą z Neapolu do Krakowa. Szedł w pościechu, przynaglany tajemniczym zobowiązaniem. Doszedł na miejsce 8 maja 1610 roku. Zapewne

nie spodziewał się ujrzeć w odległym kraju miasta tak jaśniejącego wspaniałością kościołów, architektury, zadbanego i bogatego. Kraków jawił się mu jako „drugi Rzym”. Polska była wówczas jedną z największych potęg terytorialnych i ekonomicznych Europy. Co było powodem podróży starca? Zanim w czasie potopu szwedzkiego papież Aleksander VII zaczął namawiać polskich biskupów, by nie zwlekając, ogłosili Maryję Królową Polski, miano to usłyszał właśnie ów zakonnik od samej Niepokalanej, gdy modlił się do Niej 14 sierpnia 1608 roku, w wigilię Wniebowzięcia. Ujrzał Madonnę z Dzieciątkiem i klęczącego u Jej stóp Stanisława Kostkę, znanego mu osobiście tak dobrze. Był jego mistrzem nowicjatu, był też przy jego śmierci. Gdy do głębi poruszony wizją rozmyślał, jakimi słowami powinien jeszcze zwrócić się do Maryi, by wychwalać Ją w sposób najbardziej Jej miły, usłyszał: „A czemu Mnie Królową Polski nie zowiesz? Ja to królestwo wielce umiłowałam i wielkie rzeczy dlań zamierzam, ponieważ osobiwą miłością ku Mnie pałają jego synowie”. Kościół potwierdził prawdziwość objawienia. Ojciec Mancinelli przyjęty został z wielkimi honorami na dworze królewskim i przekazał słowa Maryi ks. Piotrowi Skardze. Zygmunt III Waza nie był jednak skłonny podjąć wezwania. Pielgrzymka starca z Neapolu miała kulminacyjny punkt w katedrze wawelskiej, gdzie znów ujrzał Maryję, która utwierdziła go w misji i poprosiła o modlitwę w intencji Rzeczypospolitej: „Ja Jestem Królową Polski. Jestem Matką tego narodu, który jest mi bardzo drogi, więc wstawiaj się do mnie za nim i o pomyślność tej ziemi błagaj mnie nieustannie”. Ten fakt jest także częścią naszej historii (jego pamiątką jest korona na wieży bazyliki Mariackiej). Historii, trzeba przyznać, mało znanej.

► „Błagaj nieustannie”?

Co takiego jest w historii Polski, że Maryja prosiła włoskiego jezuitę (dziś błogosławionego) o nieustanną modlitwę? Zauważmy linię pedagogiczną Maryi. Nigdy nie zamierzała niczego czynić za nas. Nie przynosiła nam w podarunku na tacy wolności, uchronienia od wrogich napaści, pomyślności; my sami musieliśmy odkrywać, o co i w jaki sposób walczyć. Wtedy mogliśmy liczyć na Jej pomoc, zawsze skuteczną. „Kiedy w 1655 roku w granice Polski wdarli się Szwedzi, a opuszczony król musiał uciekać poza granice kraju, rozpaczeni biskupi pisali do papieża: »Zginęliśmy, jeśli Bóg nie zlituje się nad nami«. Wtedy Ojciec Święty Aleksander VII, powołując się na objawienie o. Mancinelli odpowiedział: »Nie, Maryja was uratuje, to Polski

Pani. Jej się poświęćcie. Jej oficjalnie ofiarujcie. Ją Królową ogłoście, przecież sama tego chciała«” (ks. Czesław Wilczyński).

Dopiero dziś, po dłuższej przerwie, doczekaliśmy czasów, gdy suwerenne władze Rzeczypospolitej zabiegają o poprawę losu najbiedniejszych Polaków, tak jak zadeklarował w ślubach lwowskich 1 kwietnia 1656 roku Jan Kazimierz. To on przyjął orędzie Maryi przekazane przez Mancinellogo, dokonał uroczystych ślubów w katedrze we Lwowie, dzieląc się swoją władzą monarszą z Królową Polski. Nie wypełnił jednak ślubowania właśnie w tej dziedzinie, która wymagała czynnego poprawiania losu Polaków najniższego stanu. Nie uczynili tego także jego następcy.

Podczas najazdu Szwedów w XVII wieku dobroczynnym w skutkach wstrząsem dla Polaków – których większość zdawała się już pogodzić z podbojem i protestanckim władcą Polski – okazała się wieść o obleżeniu sanktuarium jasnogórskiego. Wtedy jakby łuski spadły z oczu tym arystokratom i hetmanom, którzy byli gotowi przyjąć Szwedów z dobrodziejstwem inwentarza. Rabunkowe podłoże inwazji stało się dla wszystkich oczywiste. Wiadomość o próbie zagarnięcia bezcennych wotów składanych Maryi przez wieki była kroplą przepełniającą czarę. To „niewyobrażalne wręcz świętokradztwo” obudziło w narodzie ducha walki. Szwedzi uciekali chyłkiem spod Jasnej Góry nocą, 26 grudnia 1655 roku, bez żadnych oznak żołnierskiej odwagi, którą wcześniej tak się szczylic. Niewiarygodny fakt – utrzymanie przez pięć tygodni twierdzy bronionej przez garstkę zakonników i kilku szlachciców, gdy napastnikami były 2 tys. Szwedów posiadających potężne działa – odczytano jako znak nadzwyczajnej opieki Bogurodzicy. Szwecja po wojnie przegranej z Polską straciła pozycję mocarstwa i nigdy już jej nie odzyskała. Spadła do poziomu północnego ludu, coraz bardziej podupadając cywilizacyjnie w wyniku przyjęcia protestantyzmu i widocznego zmateralizowania jej mieszkańców.

► Gdy nie patrzymy tylko po ludzku

Zwycięstwo militarne Polski 15 sierpnia 1920 roku, w święto Wniebowzięcia Matki Bożej, ma także swoją tajemnicę. Patrząc tylko po ludzku, nie mieliśmy w starciu z Moskalami dużych szans. Sowieci posuwali się w głąb Polski w szaleńczej euforii. Dowódcy wysyłali do idących do boju oddziałów grupy grajków z bałajkami, by podtrzymywać nastrój triumfu. Ale choć kraj był osłabiony ponad stuleciem zaborów, wśród Pola-

ków ujawnili się ludzie, którzy wobec zagrożenia wykazali się nieprawdopodobnym męstwem. „Losy wojny są w ręku Boga – mówił do swoich żołnierzy w Łucku, pół roku przed Bitwą Warszawską marszałek Piłsudski (posądzany tyle razy, że był ateuszem) – ale ludzie są po to, by wojnie dopomóc”. Władze odrodzonego polskiego państwa nie twierdziły, że Polska jest państwem „neutralnym światopoglądowo”. Polacy w 1920 roku nie zachowywali się tak, jakby religia była ich sprawą prywatną. A wojna bolszewicka to nie była zwykła wojna. Jej głębsze przyczyny wykraczały poza rachuby polityczne. Rabunek dóbr materialnych obywateli Rzeczypospolitej, ugodzona pycha sowieckich przywódców po wyprawie polskich wojsk na Kijów, nienawiść do marszałka Piłsudskiego, który swoim talentem militarnym i politycznym przewyższał wybitnych wojskowych, chęć zatknięcia czerwonej płachty nad Berlinem i Paryżem, spacyfikowanie kraju, który mógł pod boki Rosji wyrosnąć na potęgę Europy, to wszystko przybliżenia niesięgające istoty tej wojny. Władza bolszewicka nie była zwykłą władzą. Podbój Polski był związany z jej naturą. I z planami, jakie wobec niej legły się także na Zachodzie, gdzie od rewolucji francuskiej, z roku na rok zdobywała coraz większe polityczne wpływy masoneria (a plany rozbioru Polski sięgały czasów wojny ze Szwedami, gdy porozumiała się w tej sprawie kraje protestanckie). Rozumiał to dobrze ówczesny papież Benedykt XV, który wspierał odrodzenie Polski jeszcze w pierwszej fazie I wojny światowej, a potem niejednokrotnie prosił świat katolicki o modlitwę i pomoc dla Polski.

Powszechna mobilizacja Polaków przeciw bolszewikom była nie tylko zwykłym odruchem obrony państwa ze strony obywateli, była także odrzuceniem „zdrady” Nieba na rzecz ziemi, jak nazywa Messori przyjęcie materialistycznych doktryn jeszcze w XVIII wieku, gdy samo myślenie o wieczności stało się czymś nagannym z punktu widzenia „ludzi kulturalnych”. „Kobiety z towarzystwa, poważni filozofowie mieli swoje własne katedry niedowiarstwa. Na koniec zostało stwierdzone, iż chrześcijaństwo jest systemem barbarzyńskim, którego upadek powinien nastąpić jak najwcześniej w imię wolności ludzkości, postępu oświecenia, rozkoszy życia i wykwintu sztuk [...] Każdy autor [antykatolickich dzieł – przyp. E.P.P.] błogosławił swój los, który sprawił, że narodził się w pięknym wieku Diderotów i d’Alambertów, kiedy to świadectwa ludzkiej mądrości zostały ułożone w porządku

alfabetycznym w Encyklopedii, tej wieży Babel nauk i rozumu” (F.R.Chateaubriand).

„Nienormalny był niegdyś ten, kto patrzył tylko w dół; w wiekach nowożytnych nienormalny jest ten, kto patrzy w górę” – podsumowuje szaleństwo rewolucyjnego przewrotu w głowach ludzkich Vittorio Messori. Także z tego powodu w 1920 roku zarówno ci Polacy, którzy chwycili za broń, jak i ci trzymający w ręku krzyż, byli tak jak kiedyś wandejscy powstańcy samotnymi obrońcami Europy chrześcijańskiej, która tymczasem sama się oszukiwała, że może egzystować dalej w pokoju, wyposażając swoje konstytucje w rewolucyjne dogmaty przybrane w formę paragrafów i zrywając konkordaty.

Akta procesu kanonizacyjnego św. Andrzeja Boboli zawierają opisy 350 łask i cudów, wśród nich 11 wskrzeszeń zmarłych i 15 przypadków odzyskania wzroku. Z osobistą prośbą o kanonizację męczennika zwrócił się do Ojca Świętego naczelnik państwa Józef Piłsudski przed Bitwą Warszawską. Doskonale zdawał sobie sprawę z położenia Polski nuncjusz apostolski, Achilles Ratti. W sierpniu 1920 roku wraz z kard. Kakowskim, metropolitą Warszawy, odwiedzał rannych w szpitalach i żołnierzy w okopach. Siły nieprzyjaciela pięciokrotnie przewyższały liczebność naszej, złożonej w większości z ochotników armii. Potrzebne było nie dożałne odparcie wroga, lecz zwycięstwo radykalne, całkowita zmiana sytuacji. Potrzebna była interwencja Kogoś, kto patrzy z wysoka i widzi nie tylko krzątanie przy działach i koniach, nielicznych samolotach i pociągach pancernych oraz nadludzkie wysiłki dowódców i utrudzonych ponad wszelką miarę żołnierzy. Nasza wiktoria w wojnie bolszewickiej nie była tylko zwycięstwem militarnym. Z tego też powodu ślady tego tryumfu Maryi Królowej Polski zacierano gorliwie od początku. Określenie „Cud nad Wisłą” szybko, na skutek wysiłków agentury sowieckiej i maońskiej, zaczęło funkcjonować jako hasło o prześmiesznym wydźwięku. (Sam Piłsudski w swojej książce „Rok 1920” wspomina błyskawiczną ofensywę polskiego wojska jako „sen”. „W określeniu tym było właściwie wszystko – dopowiada w książce o Marszałku Bohdan Urbanowski – i zdziwienie łatwością zwycięstwa, i poczucie spełnienia marzeń, i – chyba głównie – poczucie dziwnej nierealności historii”).

► Naród polski padał na kolana

Intencje naszej Królowej i obrońców ojczyzny zbiegły się. Poświadczą to wizja Matki Boskiej na niebie nad Warszawą, nad ranem 14 sierpnia

1920 roku. Ukazała się otoczona hufcami rycerskimi, w znaku Patronki Warszawy, w granatowym płaszczu, w koronie, z rozpostartymi ramionami, trzymająca w dłoniach połamane strzały. Dla żołnierzy bolszewickich obraz ten był tak przerażający, że w jednej chwili zapomnieli o rozkazach i niechybnej śmierci za ich złamanie. A także o czekających ich w Warszawie bogatych łupach. Uciekali jak wicher, rzucając po drodze broń, konie, działa, nawet buty. Świadczą o tym relacje okolicznej ludności, która słyszała osobiście słowa czerwonoarmistów, spisane i przechowywane dziś w parafiach Wyszkowa, Ossowa, Radzymina, Kobyłki. Matka Boża ukazała się w chwili, gdy na polu pod Ossowem oddawał życie ks. Ignacy Skorupka. Komunikat Sztabu Generalnego Wojska Polskiego z 16 sierpnia wspomina o „bohaterskiej śmierci ks. kapelana Ignacego Skorupki [...], który w stule i z krzyżem w ręku przodował atakującym oddziałom”. Tę scenę Pius XI, w 1920 roku przebywający w Polsce jako nuncjusz apostolski, zechciał później utrwalić na malowidle w jego prywatnej rezydencji w Castel Gandolfo (nad drzwiami zaś umieścił herb Piłsudskich, Kościusza).

W obliczu śmiertelnego zagrożenia nasi rodacy sprzed 100 lat nie mieli wątpliwości, kogo należy przede wszystkim prosić o ratunek. Nie międzynarodowe organizacje, nie zarozumiałe rządy państw Zachodu, nie przeróżnych „dobrodziejów ludzkości”, ligi, unie, komitety i towarzystwa, których przedstawiciele mają usta pełne frazesów o obronie „wolności i demokracji”. Mimo apeli Benedykta XV Polska nie doczekała się zorganizowanej pomocy ze strony wielkich mocarstw. Rewolucja już zbierała żniwo w Europie. W przeddzień ataku na Warszawę spowiednicy, wśród nich ks. Ignacy Skorupka, dzień i noc udzielali posługi. Dwa miesiące wcześniej Polacy zwrócili się do Chrystusa Króla. 19 czerwca 1920 roku w Warszawie publicznie oddali się Sercu Pana Jezusa. Wszystkie stany – duchowieństwo wraz z władzami cywilnymi i wojskowymi. Byli wśród nich nuncjusz Ratti i marszałek Piłsudski. Generał Weygand odnotował podczas wykładu w Brukseli w 1930 roku: „Podziwiałem, w owym sierpniowym 1920 roku, z jaką żarliwością naród polski padał na kolana w kościołach i siedł w procesjach po ulicach Warszawy. Ja nigdy w życiu nie widziałem takiej modlitwy”.

Ksiądz Ignacy Skorupka, kapelan 266 Pułku Piechoty Ochotniczej im. Weteranów Powstania Styczniowego, 13 sierpnia, w czasie Mszy św. polożił przed kościołem w Żąbkach, wypowiedział proroctwo: „Czekają nas jeszcze ciężkie ofiary, ale niezadługo – bo piętnastego, w dzień Naszej Królo-

wej, losy odwrócą się w naszą stronę”. Chwila, w której padał przeszyty bolszewicką kulą, okazała się decydującą w przebiegu bitwy. Wydarzenia wojenne zaczęły się toczyć nagle jakby w „przeciwonym kierunku”. „Adam Grzymała-Siedlecki odnotował na bieżąco wypowiedzi mieszkańców pobliskich okolic [tnz. okolic Mińska Mazowieckiego – przyp. E.P.P.] świadczące o tym, że Rosjanie – którzy jeszcze poprzedniego dnia zapraszali na świętowanie zwycięstwa do Warszawy – 17 sierpnia »od rana pędzili ku Kałuszynowi w jakimś niepojętym panicznym strachu. Drogi były zatłoczone – dodaje rozmówca Grzymały. – Od razuśmy uczuli, że musiało się stać dla nich coś przeraźliwego«” (Bohdan Skaradziński, „Polskie lata 1919–1920”).

► Bunt przeciwko Kościołowi

Objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie (1877 rok) nastąpiły właśnie wtedy, gdy Polska nie miała już żadnej nadziei na wskreszenie. Księża, którzy prowadzili modlitwę i głosili kazania w języku polskim w zaborze pruskim, zamykani byli w więzieniach, kościoły zatrzaskiwane były naглуcho, pustoszały parafie. Był to „czas kiedy upadek Polski sięgnął chyba dna. Klęska militarna trzech powstań, kasaty, wynaradawianie Polaków, opuszczenie Polski przez naturalną warstwę przywódczą (Paryż albo Sybir). Pozostała reszta niezdolna, zdawałoby się, do zapewnienia ciągłości bytu Polski, nie została opuszczona przez Królową Polski. I od tego zaczęło się podnoszenie upadłego ducha Polski”. Matka Boża objawiła się w Gietrzwałdzie jako Królowa otoczona gromadą Aniołów: Jej obietnica związana z odzyskaniem wolności dla Kościoła katolickiego na obszarze Polski oznaczała także zapowiedź odzyskania niepodległości polskiego państwa. Matka Boża nigdy nie rzuca słów na wiatr. Wszystko, co zapowiada, spełnia się zawsze z największą dokładnością: wszystko ma też niewyobrażalnie wielkie znaczenie dla historii świata. Całej historii – nie jej wycinka. Wszystko powiedziane jest też z niezrównaną delikatnością, w taki sposób, by ludzki rozum pojął, że jest szanowany. I zarazem, że ma do czynienia z tajemnicą, która przekracza po wielokroć jego zdolności pojmowania. Gietrzwałd bezpośrednio poprzedził Fatimę (1917 rok). Między oboma faktami historycznymi, które nazywamy objawieniami, zachodzi ścisły związek, który my Polacy, tak wyróżnieni przez Matkę Bożą przez wieki naszej historii, powinniśmy umieć odkryć.

„Wraz z reformacją odchodzi wszelkie piękno – przypomina Messori – z jedynych miejsc pu-

blicznych, jakimi w tych czasach były kościoły. Pozostały tylko nagie, surowe mury budowli, otwieranych raz w tygodniu (a dla wyznawców Zwinglego – tylko cztery razy w roku)”. Dzieła sztuki z wnętrz byłych świątyń katolickich trafiały w najlepszym razie po wielu latach do muzeów. Największą nienawiścią protestanci darzyli wizerunki i figury Matki Bożej.

Europejscy władcy w czasach reformacji – tej części Europy, która pozostała katolicka, także władcy Polski – odznaczeni się pewną cechą, dziś niezwykle rzadką. Byli świadomi swej małości, a wręcz nicości wobec Boga. Ich naturalną postawą wobec Boga była postawa klęcząca. Nie wstydziła się przyznać do swojej znikomości, do tego, że nic nie znaczą wobec Boga, bo rozumieli pojęcie nadprzyrodzoności i nieskończoności, pomimo że nie mieli ukończonych fakultetów teologicznych (wyjątkiem był Jan III Sobieski, który odbywał prywatne studia teologiczne). Dziś niektóre z tradycyjnych pojęć dotyczących wiary zaczynają pobudzać wyobraźnię ludzi ze świata artystycznego. Powstają książki i filmy o świętych. Ale kto dziś pisze i mówi o Bogu, który z nieskończonych wyżyn „udziela łaski”, czy o człowieku, który powinien pokornie o łaskę prosić? Bunt przeciwko Kościołowi, jakim była reformacja Lutra, który był wypowiedzeniem posłuszeństwa władzy duchownej i odrzuceniem prawdy katolickiej, w konsekwencji stał się także początkiem niszczenia kultury i struktury społecznej, której widzialnym znakiem było dominujące położenie budynków kościołów, ich artystyczne piękno, harmonia, okazałość będące symbolicznym ukazaniem zależności człowieka od Stwórcy.

► „Nie bójcie się, przychodzę z Nieba”

Dlaczego życie Matki Najświętszej było życiem ukrytym? „Ukrycie” kojarzymy zwykle ze wstydlivością, poczuciem małej własnej wartości. Nie rozumiemy już często, co właściwie znaczy pokora. A może pokora to mądrość życia? Praca nad każdym własnym krokiem, a nie nad ideami czy nad tym, by „poprawić” drugiego człowieka. Odkąd Niepokalana żyła w świadomości tego, Kim jest Bóg, skupienie, w jakim trwała, pozwalało Jej rozpoznawać w swoim życiu działanie Boga. W każdym fragmencie życia, w każdej chwili, w każdym wydarzeniu, w każdym spotkaniu z człowiekiem. Jednoznaczność, prostota, spokój, pewność, wytrwałość, zaufanie, męstwo – to są właśnie cechy Matki Bożej. W każdej chwili życia absolutne poczucie bezpieczeństwa płynące ze świadomości tego, Kim

jest Bóg, i z przekonania o Jego miłości. Stąd mądrość każdego kroku, głębia każdej myśli.

Taktyka Maryi jest odwrotnością pomysłów autorów wyrafinowanych i zawiłych strategii wyprowadzania wroga w pole. Nie można się jej nauczyć z podręczników gry politycznej, wywieść z zasad psychologii i filozofii, z socjo- i psychotechniki, inżynierii i strategii militarnej. Aby ją zrozumieć, trzeba poddać się Opatrzności. Tak jak uczynił to młody chłopak Stanisław Kostka, ruszając z Wiednia przez Alpy w przebraniu żebraka. Jego wstawiennictwu przypisywali Polacy zwycięstwo nad Turkami pod Chocimiem w 1621 roku, a król Jan Kazimierz przypisywał mu zwycięstwo w bitwie pod Beresteczkiem.

Religia protestancka, gdzie kwitnie kult zmysłów, gdzie część religijną oddaje się człowiekowi i jego chwiejnej woli, gdzie humanizm jest najszczytniejszą ideą i zarazem kresem możliwości człowieka, jest tylko płaską karykaturą wiary katolickiej. Protestantyzm wdzierający się do Kościoła jest tylko jeszcze jedną próbą, którą musi przejść Kościół, a wraz z nim jego wierni. Era największych katastrof ludzkości zapoczątkowana przez bunt Lutra kończy się na oczach naszego pokolenia. Kończy się na nieuchronnym powrocie do prawd katolickich przypominanych łagodnym głosem Niewiasty o delikatnych rysach, ukazującej się w białych lub błękitnych szatach. Zjawia się Ona niespodziewanie w najodleglejszych od światowego zgiełku miejscach. Daje się jednak zobaczyć tylko osobom wyzutym z przeświadczenia o własnej bezgrzeszności, siłę, mądrości, nieograniczonych możliwościach. Ukazując się, zapewnia o swej opiece, a zarazem o władzy królewskiej, którą ma od Boga. Zawsze, choć na różne sposoby, powtarza słowa, które wyrzekła do Indianina Juana Diego w Meksyku: „Czyż nie jestem przy tobie ja, Twoja Matka?”, do dzieci w Fatimie: „Nie bójcie się... Przychodzę z Nieba” i do dziewczynek w Gietrzwałdzie: „Jestem Niepokalanie Poczęta”. Pragnie tylko jednego: byśmy Jej posłuchali.

„Trudno jest pisać prawdziwą historię. Przed Maryją klęczą grzesznicy; Ona chroni przed skutkami ich błędów; świadomych i nieświadomych. Ale czy klęczeć będą? Czy nadal będą kontemplanować Jej tajemnice? Czy będą w Jej tajemnicach widzieć prawdziwą historię, równie realną jak wydarzenia opisywane w książkach historycznych? Czy będą czuli wagę świętej historii, przy której każde inne doniosłe wydarzenie staje się tylko epizodem?” (Zygmunt Krzyżanowski, „Historia łaskami wytyczana”). ■

WOLNE MEDIA - WOLNA POLSKA!

STOP CENZURZE W INTERNECIE

Celem działania naszej Fundacji jest walka o wolną Polskę poprzez wspieranie niezależnych mediów.

Dzięki pomocy ludzi, dla których ważna jest Polska
- niezależni dziennikarze mogą pisać prawdę.

DANE DO PRZELEWU W POLSCE

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA, ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Bank Pekao SA, Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864

TYTUŁEM: DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA,

ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa, POLAND

Bank Pekao SA, ul. Grzybowska 53/57, 00-950 Warszawa

NUMER KONTA - PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864

SWIFT CODE - PKOP PL PW

TYTUŁEM: AS A DONATION FOR „FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA”



Wspomóż
naszą Fundację
nawet skromnym
datkiem



FUNDACJA
NIEZALEŻNE
MEDIA

Tomasz P. Terlikowski



ŚWIĘTY OD ZADAŃ SPECJALNYCH

Tym, którzy szatana czy cuda traktują jak średniowieczne bajki, niegodne nowoczesnego człowieka, warto przedstawić ojca Pio. On także jest najlepszą odpowiedzią na film „Kler”.

Ten, kto chce zobaczyć, kim naprawdę jest, a przynajmniej może być katolicki kapłan, powinien poznać ojca Pio. W nim jak w soczewce skupiają się najważniejsze elementy kapłaństwa i życia zakonnego. Mnie osobiście z ojcem Pio wiąże bliska relacja, bowiem to on pokazał mi, jak bardzo jest skuteczny. Wiele lat temu wracałem z przyjacielem kapucynem z Olsztyna do Warszawy i miałem być o godzinie 11 w telewizyjnym studiu. Jednak tak się złożyło, że o 10.45 byłem w Łomiankach. Gdy zadzwonił telefon ze studia, uprzejmie wyjaśniłem pani z telewizji, że na wywiad nie zdążę. I wtedy odezwał się mój przyja-

ciel kapucyn. „Powiedz, że zdążysz. Pomodliłem się do ojca Pio” – oznajmił. Próbowałem z nim polemizować, ale ucieszona pani wzięła jego słowa za dobrą monetę. Po rozłączeniu się, próbowałem go przekonywać, że trasy z Łomianek do studia zwyczajnie nie da się pokonać w kwadrans, ale on był niewzruszony. „Pomodliłem się do ojca Pio i wiem, że zdążymy” – przekonywał mnie. „Nawet ojciec Pio nie jest w stanie wygrać z korkami i odległością” – polemizowałem z nim. „Będziesz jeszcze ojca przeproszał” – zakończył mój współtowarzysz podróży. I miał rację. O 11 byliśmy w telewizji, a ja po wyjściu ze studia musiałem mu przyznać rację. Ojciec Pio

to rzeczywiście mocarny święty, który nawet drogę może skrócić albo czas wydłużyć.

► Życie kapucyńskiego zakonnika

Dla tych, którzy znają jego życiorys, nie jest to oczywiście specjalne zaskoczenie. Święty ojciec Pio już za swego życia zasłynął masą darów, które pomagały mu pozyskiwać wiernych dla Chrystusa. Jego penitenci ze zdumieniem odkrywali, że doskonale zna on ich grzechy, zanim jeszcze zdążyli je wyznać (a jeśli je zataili, zdarzało mu się ich wypędzać), współbracia mogli wyczuć szczególny zapach, który otaczał jego rany; a ludzie, którzy przybywali do San Giovanni Rotondo, niekiedy przekonywali się, że już wcześniej spotkali tego szczególnego zakonnika, i to w czasie, gdy przebywał on fizycznie w innym miejscu. Dary bilokacji, stygmatów, wiedzy wlanej, objawień Bożych (ale i szatańskich zjaw, które niezmiennie go męczyły) – to był standard w życiu tego kapucyńskiego zakonnika. On sam – a pierwsze dary czy widzenia miał jeszcze jako dziecko – uważał je początkowo za coś zupełnie normalnego i był przekonany, że wszyscy mogą zobaczyć Matkę Bożą czy Jezusa, a później był często zawstydzony tym, co otrzymał. A inni? Inni albo jak pewien biskup najpierw nie dowierzali i przekonywali, że średniowiecze już dawno się skończyło i takie rzeczy są niemożliwe, a gdy stykali się z cudem, uciekali. Albo jak tłumy pielgrzymów ciągnęli do ojca Pio, by się u niego wypowiadać i nawrócić. Albo... knuli przeciwko niemu rozmaite spiski, które miały dowieść, że w istocie jest on oszustem albo wariatem. Część z nich zresztą po jakimś czasie przechodziła na stronę kapucyna i zaczynała głosić wielkie rzeczy, jakie czynił on ludziom.

► Humor ojca Pio

Myliliby się jednak ten, kto sądziłby, że tak obdarowany człowiek miał – czysto po ludzku – łatwe życie. Nic bardziej błędnego. Z przyziemnej perspektywy ojciec Pio (a w zasadzie Francesco Forgione) miał trudne, by nie powiedzieć dramatycznie trudne życie. Był skazywany na milczenie, zakazywano mu sprawowania Mszy świętej, atakowały go demony i wrodoży mu ludzie. On sam jednak nigdy się nie poddawał, a otrzymane przez siebie dary traktował jako dane po to, by były przypomnieniem światu, że Bóg nie tylko istnieje, lecz także nadal działa, i to z mocą. „Bóg dlatego napełnił jego życie zjawiskami nadzwyczajnymi, aby fakty tego rodzaju przekroczyły granice wieków. Bar-

dzo rzadko w historii Kościoła spotykamy coś takiego, co w ujęciu całościowym byłoby choć trochę podobne” – mówił o ojcu Pio kardynał Giuseppe Siri. Sam ojciec Pio jednak, choć miał świadomość ogromu darów, jakimi został obdarowany, zawsze pozostawał człowiekiem nie tylko niezmiernie skromnym, zakłopotanym popularnością, lecz także... pełnym humoru. Do jego ulubionych żartów należały te z prawników i lekarzy. Z upodobaniem na przykład cytował rzekomą wypowiedź jednego z papieży, który zapytany o to, kto w procesjach powinien iść pierwszy: prawnicy czy lekarze, odpowiedział: „najpierw kaci, potem zbóje”. Żartować zdarzało mu się jednak także z niebian. Jedną z jego ulubionych historii była anegdota o tym, jak Jezus wezwał św. Piotra, by dowiedzieć się, dlaczego w niebie jest tylu strasznych grzeszników. Święty Piotr długo się tłumaczył, aż w końcu zapewnił, że teraz to już wszystkiego dopilnuje. To się jednak nie udało i po tygodniu do nieba znowu weszło wielu grzeszników. „Nie widzisz, co się dzieje” – strofował Jezus Piotra. Ten odpowiedział: „Panie, nie śmiałem Ci tego mówić, ale skoro tak dochodzisz prawdy, to Ci powiem: otóż gdy tylko odejdę od bramy, zaraz podchodzi Twoja Matka. Otwiera bramy, bo ma drugi klucz, i wpuszcza, kogo chce. Ja nie potrafię tego upilnować” – miał mówić św. Piotr, który na koniec zadał pytanie, co ma zrobić? „Udawaj, że tego wszystkiego nie widzisz” – mówił w opowieści ojca Pio Jezus. I taka pełna pogodnej miłości do Maryi była też wiara ojca Pio.

► Nie zostawił nas samych

Śmierć (której spodziewał się od wczesnej młodości i o którą się nieustannie modlił) przyszła dość niespodziewanie. W 50. rocznicę otrzymania przez ojca Pio stygmatów w San Giovanni Rotondo odbywał się Międzynarodowy Kongres Grup Modlitewnych założonych przez ojca Pio. Uczestniczyły tłumy pielgrzymów. I to właśnie dla nich ojciec Pio odprawił ostatnią w swoim życiu mszę. W nocy zaczęła się agonia. Ojciec Pio trzymał w rękach różaniec i powtarzał nieustannie „Jezus, Maryja”. Krótko przed śmiercią miał jeszcze powiedzieć: „Widzę dwie matki” (chodziło o jego matkę i Matkę Bożą), a potem zmarł. Jednak śmierć nie oznaczała końca jego interwencji w życiu ludzi. Najlepiej się jednak o tym przekonać osobiście, prosząc go w modlitwie o wsparcie. Każdy, kto szczerze to robi, doczeka się pomocy. Ojciec Pio bowiem – jak Pan Bóg – nigdy nie mówi nie. Czasem zaś ma do zaproponowania coś lepszego niż to, o co go prosimy. Satysfakcja gwarantowana! ■

TU NIE BĘDZIE MIEJSCA NA PEDAGOGIKĘ WSTYDU



Trudno prowadzić skuteczną politykę historyczną bez pozytywnego nastawienia do własnej historii, eksponującego to, co jest powodem do dumy dla Polaków. To od początku było jasne dla twórców Muzeum Historii Polski i znajdzie wyraz na otwieranej zgodnie z planami za dwa i pół roku wystawie stałej tej placówki. Oczywiście koncepcja spotkała się z wieloma krytycznymi opiniami ze strony liberalnych kręgów, przyzwyczajonych do „pedagogiki wstydu”.

Teren warszawskiej Cytadeli zmienił się od paru miesięcy nie do poznania. Z miejsca w większości niedostępnego dla zwykłego zwiedzającego, poza X Pawilonem oraz Muzeum Katyńskim, stał się placem budowy jednej z najważniejszych inwestycji kulturalnych po II wojnie światowej. Już za niecałe trzy lata mieścić się tu będzie największy kompleks muzealny w Polsce. Park Niepodległości – bo taka będzie jego nazwa – będzie obejmował dwa wielkie, częściowo połączone ze sobą częścią magazynową, nowoczesne muzea narracyjne: Muzeum Historii Polski oraz Muzeum Wojska Polskiego. Na początku października odbyła się z udziałem premiera Mateusza Morawieckiego i ministra kultury Piotra Glińskiego uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pod budowę Muzeum Historii Polski, którego budżet przekracza 700 mln złotych. Przypomniano na niej również złożoną historię dotychczasowego istnienia placówki. Stanowi ona najlepszą ilustrację meandrow polskiej polityki historycznej.

► Program nowej polityki historycznej

Koncepcja powstania instytucji opowiadającej całą historię Polski zrodziła się w 2004 roku w konserwatywnych kręgach intelektualnych w ramach programu „nowej polityki historycznej”. Po wygranych przez Prawo i Sprawiedliwość wyborach z 2005 roku została ona podjęta przez ówczesne kierownictwo Ministerstwa Kultury. Gorącym oponentem idei powstania muzeum był wiceminister Tomasz Merta, który zginął w katastrofie smoleńskiej. Pierwotnie placówka miała powstać jako Muzeum Wolności, co jednak szybko zmieniono na Muzeum Historii Polski.

Choć potrzeba powstania nowoczesnej instytucji prezentującej historię Polski, którą można by pokazać choćby zagranicznemu turystyce odwiedzającemu stolicę, jawi się dziś jako oczywista, to w 2005 roku spotkała się, podobnie jak sam program nowej polityki historycznej, z ostrą krytyką ze strony liberalnego establishmentu. Podnoszono zarzuty, iż sama idea prowadzenia przez państwo polityki historycznej stwarza zagrożenie dla wolności badań historycznych, a dodatkowo negatywnie kojarzy się z propagandą historyczną czasów PRL-u. Absurdalność takiej argumentacji jest tym bardziej dojmująca, iż podnoszona była przez naukowców, którzy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że sprawna politykę historyczną uprawiają wszystkie nowoczesne państwa zachodnie i że jest ona bardzo ważnym elementem polityki każdego rządu. Przykładem doskonałym jest tu szczególnie charakterystyczny. I co ciekawe doskonale znany był takim krytykom idei polityki historycznej, jak Anna Wolff-Powęska czy Robert Traba.

Otóż w połowie lat 80. kandydat na kanclerza Niemiec Helmut Kohl ogłosił program „zwrotu duchowo-moralnego” mającego stanowić antidotum na kryzys niemieckiej świadomości narodowej. Głosił on bliźniaczo podobne postulaty co polski program nowej polityki historycznej, w tym konieczność budowy dużych nowoczesnych placów-

wek muzealnych. Kohl pod takimi hasłami zdobył w Niemczech władzę na kilkanaście lat, a Niemieckie Muzeum Historyczne i Dom Historii RFN otwarte zostały jeszcze w latach 80. Natomiast w Polsce musiało upłynąć kilkanaście lat zanim upowszechniła się idea prowadzenia przez państwo skutecznej polityki historycznej, a Muzeum Historii Polski, choć powołane do życia w 2006 roku, otworzy swą wystawę główną piętnaście lat później.

► PO-PSL nie wsparli, PiS znalazł fundusze

Dyrektor Muzeum Robert Kostro żartuje, że jest najdłużej urzędującym dyrektorem muzeum nieposiadającym swojej siedziby. Powód jest prosty: dla sprawującej władzę w latach 2007–2015 koalicji PO–PSL celem nadrzędnym było blokowanie rozwoju muzeum. W pewnym momencie dyrektor Kostro musiał zagrozić nawet podaniem się do dymisji. Rozstrzygnięty już konkurs na projekt architektoniczny został szybko unieważniony, a projekt budynku rozpiętego nad Trasą Łazienkowską powędrował do kosza. Wygodnym pretekstem dla władz PO był koszt budowy. Co ciekawe, kryzysem finansowym uzasadniała nieskierowanie do realizacji budowy siedziby muzeum jeszcze pod koniec 2014 roku ówczesna minister kultury Małgorzata Omilanowska. Jak mówiła, byłoby skrajną nieodpowiedzialnością zdecydowanie się na budowę siedziby w obliczu trudnej sytuacji budżetowej... Dodajmy, że jednocześnie rząd PO o 100 mln zwiększył fundusze na budowę gdańskiej perełki w oczach premiera Tuska, czyli Muzeum II Wojny Światowej. I to tylko z uwagi na konieczność ratowania przyszłego budynku tego muzeum przed zalaniem z powodu złego rozpoznania terenu... (Ciekawe, że po dojściu do władzy PiS-u, po niespełna dwóch latach znalazło się bez problemu ponad 700 mln złotych na budowę Muzeum Historii Polski). Jedynym powodem niechęci do wzniesienia tej placówki było więc kojarzenie jej dyrekcji z Prawem i Sprawiedliwością. Ostatecznie premier Kopacz wymyśliła wariant oszczędnościowy, ogłaszając, iż nową lokalizacją siedziby będzie Cytadela w Warszawie, a muzeum będzie częściowo połączone z budowanym nowym Muzeum Wojska Polskiego (przenoszonym z gmachu Muzeum Narodowego). Nie była to propozycja nie do przyjęcia, jednak trzeba było po dziewięciu latach od powołania instytucji wszystko zaczynać od początku. Na szczęście rychło wybory z 2015 roku przyniosły nowe rozstrzygnięcia, a nowe władze zapoczątkowały ideę muzealnego Parku Niepodległości na Cytadeli. Ta lokalizacja ma jedną zasadniczą zaletę, iż ożywia teren dotąd zamknięty dla warszawiaków. Przypomnijmy, że podobne, „pocytadelowe” obiekty czy tereny w innych miastach Polski od kilkudziesięciu lat służą mieszkańcom za miejsca rekreacji czy parki. Przykładem Park Cytadela w Poznaniu, który jest największym tego typu obiektem w tym mieście, jednocześnie pełniąc funkcję miejsca upamiętnienia czynu zbrojnego wielu pokoleń Polaków. Dlatego wzniesienie budynku muzeum w bezpośrednim sąsiedztwie nowego Muzeum Wojska Pol-

skiego, Pawilonu X oraz Muzeum Katyńskiego stwarza szansę, że za kilka lat na mapie Warszawy przybędzie zupełnie nowy jakościowo punkt, swoista „wyspa muzeów”, analogicznie do tej berlińskiej. Co istotne, Muzeum Historii Polski może być odwiedzane nawet przez milion gości rocznie.

► Wspólne doświadczenie kilku pokoleń

Muzeum od początku istnienia mimo braku siedziby odpowiedniej na wystawę prowadzi działalność wystawienniczą, edukacyjną i naukową. We współpracy z innymi instytucjami, muzeami, archiwami czy parlamentem przygotowało wiele świetnych wystaw czasowych prezentowanych w wielu miastach Polski i za granicą. Dość tu wymienić dwie z nich. Pierwsza – w Zamku Królewskim w 2012 roku „Pod wspólnym niebem. Rzeczpospolita wielu narodów”, przedstawiająca wielonarodowy charakter dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, zdobyła bardzo dobre opinie w różnych środowiskach. Druga – „Wojenne rozstania” z 2010 roku – była przykładem nowego podejścia do prezentacji polskiej historii, a zarazem obecności w polskim muzealnictwie nurtu tzw. historii społecznej, a więc historii życia codziennego. To światowa już tendencja na wystawach, aby pokazywać wielką historię przez pryzmat małych opowieści dotyczących codziennych dylematów zwykłych ludzi niesionych przez uwikłania w historię. Wspomniana wystawa prezentowała siedem przykładów z różnych stron Polski, pokazujących rodzinne tragedie wynikające z rozstań wymuszonych przez wojnę. Rozłąki poprzez pobyt w obozie jenieckim, służbę wojskową, wcielenie do wojska okupanta, przymusowe „późne powroty” z wojny czy konieczność ukrywania się pod inną tożsamością. Takie ujęcie tematu wielkiej historii daje szansę na to, iż lepiej przemówi ona do kolejnych pokoleń, bo odwołuje się do tematów bliskich nam wszystkim. Zwłaszcza że – jak dowodzą badania socjologiczne – wojna dla zdecydowanej większości Polaków pamiętających tę pożołą i znających ją z opowieści to doświadczenie rodzinne. Zło niesione przez ten konflikt to we wspomnieniach właśnie śmierć najbliższych, rozstania, zniszczenie mienia i cierpienia. W tej kwestii wystawa ta (jak zresztą i inne przygotowywane przez muzeum) świetnie wpisuje się w najnowsze trendy prezentacji historii.

Ale dotychczasowa działalność tej instytucji to nie tylko wystawy. To również liczne konferencje naukowe, jak choćby międzynarodowa konferencja o muzeach narracyjnych z 2012 roku czy niedawna z 2018 roku o dziedzictwie II Rzeczypospolitej, podsumowująca refleksje nad plusami i minusami tego okresu w związku ze 100-leciem odzyskania niepodległości.

To także prowadzenie konkursu grantowego „Patriotyzm jutra”, dzięki któremu co roku kilkaset instytucji realizuje interesujące projekty upowszechniające historię Polski. A także wiele cennych i potrzebnych książek wydanych przez muzeum.

► Pozytywne przesłanie ze złożonych dziejów Polski

Przygotowana już i skonsultowana z wieloma środowiskami naukowymi wystawa główna placówki bazować będzie nie tylko na pozyskanych od ludzi oraz w drodze zakupu eksponatach, lecz uzupełniać będzie także obraz historii przez wykorzystanie nowoczesnych multimediów. Co ważne, prezentować będzie wyważony, ale pozytywny obraz polskiej historii, daleki od propagandy, lecz stroniący też od samobiczowania, którego tak wiele eksponowano przez dwie dekady III RP. Jest to kluczowe, ponieważ trudno prowadzić skuteczną politykę historyczną bez pozytywnego nastawienia do własnej historii, eksponującego to, co jest powodem do dumy dla Polaków. To od początku było jasne dla twórców Muzeum Historii Polski i znajdzie wyraz na otwieranej zgodnie z planami za dwa i pół roku wystawie stałej. Było to też powodem wielu krytycznych opinii ze strony liberalnych kręgów, przyzwyczajonych do „pedagogiki wstydu”.

Można powiedzieć, iż nietrafność argumentacji licznych krytyków zweryfikowało samo życie, ponieważ dziś istnieje w całym kraju w nowych, wspaniałych budynkach co najmniej kilka nowoczesnych muzeów, a kilkanaście innych jest w budowie lub fazie tworzenia. Zdecydowana większość ma pozytywne przesłanie ze złożonych dziejów Polski. Można też uznać, iż instytucje te stanowią filar polskiej polityki historycznej, ciesząc się ogromną popularnością wśród publiczności zarówno z Polski, jak i przyjezdnych z zagranicy. Dość wymienić Muzeum Powstania Warszawskiego otwarte w 2004 roku czy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku otwarte rok temu oraz mniejsze, ale bijące rekordy liczby odwiedzających muzeum Emalia Fabryka Oskara Schindlera w Krakowie działające od sześciu lat. Szczególne znaczenie wśród nich niewątpliwie przypada Muzeum Historii Polski. Zwłaszcza dla obecnego rządu, dla którego budowa siedziby placówki stanowi bezdyskusyjnie priorytet polityki kulturalnej.

Jest tak z kilku powodów. Przede wszystkim z uwagi na tematykę. Muzeum ma prezentować całą polską historię. Motywami przewodnimi są tutaj idea wolności oraz ukazanie różnorodności i wielokulturowości dziejów Polski. Ma być też największym muzeum historycznym w Polsce. Na to wskazują zarówno zaangażowane środki, jak i powierzchnia przeznaczona na ekspozycję wystawy stałej. Jeśli do tego dodamy możliwość realizacji dzięki muzeum długofalowej polityki historycznej, której program wytyczono już w 2005 roku i która jest konsekwentnie realizowana przez władze Prawa i Sprawiedliwości, to priorytet przyznany tej inwestycji jest w pełni zrozumiały. ■

dr hab. prof. UAM Bartosz Korzeniewski jest prezesem Ośrodka Badań nad Pamięcią Zbiorową i Studiów Muzealnych, pracownikiem Wydziału Historycznego UAM, kierownikiem wieloletniego projektu „Polskie miejsca pamięci”.



Ryszard Czarnecki

Złoto bez „Mazurka”

Przed wyjazdem naszych Orłów do Rosji mieliśmy olbrzymie aspiracje. W rankingu FIFA Polska była na miejscu 5. potem 6. Byliśmy rozstawieni, a wylosowanie Kolumbii, Senegal i Japonii uznano za bardzo dla nas szczęśliwe. Ta narodowa reakcja na skład naszej grupy podczas piłkarskiego rosyjskiego mundialu była dla mnie pierwszym sygnałem, że wcale nie musi być lekko, łatwo i przyjemnie – pamiętałem identyczne reakcje moich rodaków przed mistrzostwami świata w Japonii i Korei, gdy wylosowanie gospodarzy – Koreańczyków – oraz Portugalii i USA uznano za wielce pomyślne i zastanawiano się tylko, z kim zagramy w kolejnej rundzie. A później dostaliśmy straszny łomot: z gospodarzami 0:2, z Portugalią 0:4 i na otarcie łez, już w meczu o pietruszkę – wygraliśmy z Amerykanami 3:2, mimo że Maciej Żurawski nie strzelił karnego. Sport kocha niespodzianki i zamiast faworytów znad Wisły i Tagu z grupy wyszła Korea i USA właśnie. Jak było w Rosji, pamiętamy: znów mieliśmy „mecz otwarcia”, później „mecz o wszystko”, a na końcu tradycyjnie „mecz o honor”. Tyle że w Rosji na „dzień dobry” w roli Korei wystąpił zespół z Afryki, w roli Portugalii – zawodnicy z Ameryki Łacińskiej, a minimalna porażka z Polską (0:1) wystarczała osadzonej w roli USA Japonii, aby awansować.

W Polsce podobno wszyscy znają się na polityce, medycynie i piłce nożnej. Obejrzałem na żywo setki meczów piłkarskich, ostatnio nawet byłem na spotkaniu czwartoligowego Lubuszanina Trzcianka. Ale dzisiaj o futbolu piszę nie jako ekspert i nie żeby się znęcać, lecz aby unaocznić kontrast. Kontrast między polskimi piłkarzami, którzy zebrali baty na mundialu w Rosji, lecz uzyskali krocie z reklam, a polskimi siatkarzami, którzy właśnie na mistrzostwach świata w Bułgarii i we Włoszech zdobyli złoty medal, chociaż na próżno szukać ich w jakichkolwiek reklamach. OK, wiem, że sport dzieli się na piłkę nożną i resztę. I że dla wielu piłka nożna to religia. A siatkówka to w sensie marketingu kąsek lepszy niż futbol. Tak to już jest i choć to niesprawiedliwe, to pewnie tak pozostanie. Ale to właśnie polska siatkówka

jest tą dyscypliną drużynową, która najlepiej promuje Polskę w świecie. Nasi siatkarze w czterech ostatnich mistrzostwach świata aż trzykrotnie wystąpili w finale, dwa razy zresztą zdobywając tytuł mistrza. Ciekawe, że zawsze owe finały graliśmy z Brazylią. „Po drodze” zdobyliśmy w 2009 roku tytuł mistrza Europy (pierwszy raz w historii, bo wcześniej cztery razy mieliśmy srebrne medale). Wygraliśmy Ligę Światową i byliśmy na podium Pucharu Świata. Pod względem sukcesów nasza siatkówka rywalizuje na pewno nie z piłką nożną, która ostatni medal zdobyła na igrzyskach w Barcelonie A.D. 1992 (srebro), a jej ostatni sukces to ćwierćfinał EURO 2016 przegrany po dramatycznych karnych z późniejszym mistrzem Portugalii z Cristiano Ronaldo. Tym godnym rywalem siatkarzy do niedawna byli piłkarze ręczni, którzy otarli się o medal na ostatnich IO w Rio (walkę o finał przegrali dopiero po dogrywce z późniejszymi mistrzami Duńczykami), a na igrzyskach w Pekinie pechowo przegrali mecz o półfinał z czarnym koniem, późniejszymi wicemistrzami igrzysk – Islandią. Właśnie „ręczni” na mistrzostwach świata wywalczyli w ostatniej dekadzie trzy medale, jak siatkarze, tylko że skromniejszego kruszcu: jedno „srebro” i dwa „brązy” (uściślijmy, że siatkarze mistrzostwa globu mają aż co cztery lata, a „ręczni” – co dwa).

Dodam, że gdy chodzi o polskie kluby, to nasza męska liga siatkarska jest jedną z trzech najsilniejszych w Europie. W tym sezonie zaś po raz kolejny polski klub był w pierwszej europejskiej „czwórce”, a dwa polskie kluby w pierwszej „ósemce” klubowych mistrzostw świata. O piłkarskich klubach nie napiszę nic, bom pełen miłosierdzia. Za to nasz najlepszy klub piłki ręcznej przed dwoma laty został klubowym mistrzem Europy.

Nie bez kozery postanowiłem poświęcić cały felieton polskiemu sportowi w kontekście dyscyplin drużynowych. Do końca życia będę bowiem pamiętał godziny spędzone przeze mnie w hali w Turynie, gdy Bialo-Czerwoni w finale mistrzostw świata spuścili łanie Canarinhos, czyli Brazylii. A potem był skandal, bo włoscy organizatorzy nie odegrali „Mazurka Dąbrowskiego”. Ale i tak to złoto smakować będzie nam, polskim kibicom, szczególnie... ■

ZABIĆ ŚMIERĆ

Zrobimy dziś wszystko,
by uchronić się przed
starością, przed śmiercią.
„Meditatio mortis” już
dawno przestało mieć
jakikolwiek znaczenie,
teraz ważne jest tylko, by
uciec śmierci spod kosi.
W kulturze kultu życia,
młodości, witalności,
piękna nie ma na nią
bowiem miejsca.

Małgorzata Matuszak



Zaczynamy sięgać po coraz bardziej wyrafinowane środki, by niewygodne tematy o starości i śmierci odsunąć i zastąpić je myśleniem o tym, jak się tej nieuchronności pozbawić i w jaki sposób uczynić starość zdrowszą i szczęśliwszą. Nie wystarczy przecież żyć długo. Egzystencja bowiem powinna mieć określoną jakość, w której nie ma miejsca na to, co towarzyszy starzeniu. Długotrwała młodość, przekraczające znacznie dotychczasowe normy trwania życia, a nawet nieśmiertelność – to wyzwania przyszłości. Przyszłości, która ma początek już dzisiaj.

► Uleczyć starość

Czy powstrzymanie starzenia się organizmu ludzkiego jest możliwe? Naukowcy nie mają wątpliwości, że tak. Profesor Gordon Lithgow, ekspert w dziedzinie medycyny poświęconej starzeniu się, mówi wprost: „Mamy wszelkie powody, aby w to wierzyć. Przyszłość przynosi nowe odkrycia biologiczne, które zaczynamy odnosić do działania ludzkiego organizmu. 20 lat temu starzenie się było biologiczną zagadką. Obecnie zaczynamy rozumieć, na czym polega”. Jedną z substancji, która miałaby wydłużyć życie człowieka, sprawić, by mógł dożyć w zdrowiu 110–120 lat, miała być choćby metformina, lek do tej pory podawany w leczeniu cukrzycy. Badania na zwierzętach wykazały, że znacznie wydłużał ich życie, wzmacniając także kości. Zawarta w metforminie duża ilość tlenu, która uwalnia się do komórek i odżywia je, miałyby sprawić, że ludzie przyjmujący ją w wieku 70 lat będą mieli sprawność fizyczną i psychiczną 50-latków.

Metformina to lek znany od dawna, zaczęto tylko odkrywać inne jego zastosowania. Inne zespoły badawcze idą dalej. Ten z Erasmus University Medical Center twierdzi, że opracowane przez niego tabletki odmladzające, PBS i FOXO4-DRI, wkrótce trafią na rynek. Wyniki wstępnych testów są obiecujące – myszy w podeszłym wieku po roku terapii odzyskiwały sprawność funkcjonowania wątroby, wzrosła ich wytrzymałość fizyczna, a także poprawił się wygląd ich futra. Rosjanie z kolei odkryli antyoksydant SkQ1, powstrzymujący mutacje komórkowe odpowiedzialne za proces starzenia się organizmu. Naukowcy pracowali nad nim od dekad. Testy na gryzoniach wypadły obiecująco, po sprawdzeniu, jak działa na ludziach, na rynek ma trafić za trzy lata. Naukowcy z Harvard Medical School i University of New South Wales odkryli zaś rewolucyjną cząsteczkę o nazwie NAD, która ma kluczowe znaczenie dla procesów na poziomie komórkowym odpowiadających za starzenie się. Powstrzymuje ona DBCI i inne białka przed hamowaniem procesu naturalnej naprawy komórki. Na razie enzym zwiększający ilość NAD jest testowany na myszach, z niezwykłym obiecującym skutkiem, a za kilka lat ma być już dostępny w sprzedaży.

Powstrzymywanie procesów starzenia, zapobieganie rozwojowi groźnych chorób to tylko jedno z najważniejszych

wyzwań współczesnej nauki. Zajmuje się ona jednak także sprawami bardziej skomplikowanymi i budzącymi wiele wątpliwości. Do takich należy problem, jak uczynić życie człowieka radykalnie dłuższym, wręcz nieśmiertelnym.

► Przeczekać śmierć

Nieśmiertelność oferuje chociażby amerykańska firma Alcor Life Extension. Proponuje możliwość zamrożenia ciała po śmierci i przywrócenie do życia wtedy, gdy medycyna znajdzie skuteczny sposób na wyleczenie choroby, która ich zabiła. Max More, dyrektor Alcor Life Extension, tak przekonuje do usług oferowanych przez firmę: „Kriónica nie polega na zamrażaniu denatów. Jest to przedłużenie medycyny. Jeżeli właściwie przeprowadzimy krioprezervację, osoba ta nie jest nieżywa. Trudno nam to zrozumieć. Wiele osób pyta, czy oni są żywi. Nie są, bo nie chodzą, nie mówią, ich mózg nie pracuje. Zatem nie żyją? Otóż nie. Są w zawieszeniu. Czekają na przywrócenie do życia wtedy, kiedy choroba, na którą zapadli, stanie się uleczalna. Możemy ożywić także tych, którzy są zdrowi, ale chcą wrócić tu odmłodzeni”.

Kiedy tylko zostanie stwierdzony zgon klienta, zespół specjalistów zamraża jego ciało. Krew zastępowana jest płynem, który nie ulega zamrożeniu, ciało zaś umieszcza się w ciekłym azocie, w temperaturze minus 196°C. Kriogenizacja całego ciała kosztuje 200 tys. euro, a samej głowy – 80 tys. (około 75 proc. pacjentów Alcora to tzw. pacjenci neuro, czyli mózgi przechowywane w głowie lub osobno). Przez 45 lat działalności firmy, która powstała w 1972 roku, nie ożywiono żadnego ze 148 pacjentów.

Kriogenizacja budzi ogromne wątpliwości natury etycznej. Także z tego powodu, że nie ma praktycznie szansy, by mogła ona osiągnąć pożądany skutek. Nie można w ten sposób zamrozić ciała, żeby mu nie zaszkodzić, do krioprezervacji używa się bowiem środków chemicznych, które same w sobie są szkodliwe. Doktor Boris Rubinsky pracuje zatem nad nową metodą – hibernacją w wersji ekstremalnej, dzięki której udało się już w taki sposób zahibernować robaka, że przetrwał on krioprezervację, woda w jego komórkach nie zamarzała (w tej metodzie temperaturę obniża się do minus 5°C, wykorzystując stalową butlę pod wysokim ciśnieniem), a tkanki pozostały nienaruszone. Doktor Rubinsky przekonany jest o tym, że podobną procedurę można zastosować względem organizmu ludzkiego, to tylko kwestia czasu i dopracowania metody, pod względem biofizycznym proces byłby bowiem taki sam, jak w przypadku robaka.

► Mózg na twardym dysku

Metody kriogeniczne, chociaż kuszące, nie zapewnią wiecznego życia, przynajmniej nie w bliżej określonej przyszłości. Zaczęto marzyć więc o czymś innym – o nieśmiertelności cyfrowej. „Być może przyszłością naszego gatunku

nie jest białko, lecz krzem?” – pytają transhumaniści. Zmienając mózg w pakiet danych, będzie można go kopiować, robić backupy i wgrywać tam, gdzie będzie to potrzebne.

Robertowi McIntyre'owi, inżynierowi i informatykowi, udało się zakonserwować w stanie nienaruszonym mózg królika z miliardami synaps. Stwierdza: „Oto przykład doskonale zachowanego mózgu. W pierwszej fazie trzeba zabezpieczyć połączenia synaptyczne, bo uważa się, że pamięć przechowywana jest w mózgu w synapsach”. Kolejny etap to przełożenie języka synaps na język informatyki. McIntyre nie zamierza ożywiać zwierzęcia, ale zapisać jego mózg na twardym dysku. Informatyk – podobnie jak wszyscy transhumaniści – marzy o tym, by stworzyć cyfrowy mózg tak doskonały jak oryginał. „Chcę, byśmy mogli z nim rozmawiać tak jak z człowiekiem z krwi i kości. Dla mnie tak właśnie wygląda życie wieczne” – mówi przekonany o tym, że w przyszłości będzie to możliwe.

Póki co firma Humai na przykład deklaruje, że zapewni nam cyfrową nieśmiertelność w ciągu 30 lat. Ma to nastąpić dzięki zbieraniu danych na temat naszej osobowości, zachowania, sposobu poruszania się – czyli informacji, które następnie połączą z jakimś sztucznym ciałem. Czy jednak nasza świadomość, nasze wspomnienia można zredukować do ciągu wyładowań elektrycznych i reakcji chemicznych? To, że transhumaniści są przekonani, iż nasze emocje i naszą świadomość będzie można „zacyfrować”, iż po naszej śmierci biologicznej pozostanie po nas cyfrowy sobowtór, nie oznacza jeszcze, że stanie się tak naprawdę. Ludzka świadomość wciąż pozostaje dla nauki jedną z największych tajemnic. Nawet jeśli poznanie jej to tylko kwestia czasu, trudno uwierzyć w to, by stworzone w ten sposób sobowtóry ludzi były czymś więcej niż tylko kopiami. Człowiek to przecież coś więcej niż ciało i umysł.

Rodzi się w tym miejscu pytanie także o to, jak miałoby wyglądać tak długie życie człowieka? Czy nie zostałyby on pozbawiony tym samym tego, co czyni je właśnie najpiękniejszym? Czy ludzie mając w perspektywie całą wieczność, nie przestaliby doceniać każdej chwili swego życia, tego, co w nim ważne i piękne? Czy człowiek nadal chciałby siebie przekraczać? Czy wieczne trwanie może być tym, co da nam szczęście?

► Genetyczne nożyczki

Innym sposobem na przedłużenie życia jest ingerencja w materiał genetyczny człowieka. Powody, dla których zaczęto próbować zmieniać DNA człowieka, są niezwykle ważne i znaczące – można dzięki temu uwolnić ludzkość od setek, a nawet tysięcy schorzeń o podłożu genetycznym. Niedawno naukowcy ogłosili przełom w tej dziedzinie. Metoda CRISP działa jak „genetyczne nożyczki”: wykorzystując enzym Cas9, odcina się niepożądane fragmenty DNA i zastępuje się genem MYBPC3 niemającym wady. Jest to prosty proces i stosunkowo łatwo go przeprowadzić, pozwala

przy tym wyeliminować wadliwe geny należące nie tylko do jednej rodziny, lecz także całej populacji.

Brzmi to dumnie, wzbudza jednak ogrom wątpliwości etycznych. Otwiera bowiem furtkę dla eksperymentów, które dotychczas znaliśmy tylko z książek i filmów science fiction. Wyraził je chociażby Stephen Hawking, który w swych pozostawionych po sobie artykułach, nieznanymi szerokiemu gronu, zawarł swoje obawy dotyczące przyszłości. Ten niezwykle dociekliwy fizyk uważał, że postępy w inżynierii genetycznej mogą doprowadzić do powstania rasy „superludzi”. „Jestem pewien, że jeszcze w tym stuleciu ludzie odkryją, jak modyfikować inteligencję i instynkty, takie jak agresja. Prawo prawdopodobnie będzie zakazywać stosowania inżynierii genetycznej u ludzi. Ale niektórzy nie będą w stanie oprzeć się pokusie poprawy ludzkich cech, takich jak pamięć, odporność na choroby i długość życia” – pisał, będąc przekonanym, że światowa elita, ludzie najzamożniejsi i najpotężniejsi, jeśli tylko będzie to możliwe, zaczną edytować swoje DNA, przyczyniając się do powstania nowego gatunku. Tym samym ludzie „zwykli”, którzy nie będą mieli środków na manipulacje genowe, zostaną sprowadzeni do podklasy „tych nieulepszonych”.

► Dokąd to prowadzi?

Manipulacje genowe, jak i inne formy nadawania ludzkiemu życiu cech nieśmiertelności, to ogromne wyzwanie, przed którym stosunkowo niedługo, biorąc pod uwagę całą jej historię, stanie ludzkość. Może się okazać, że to, co miało być drogą do nieba, stanie się pierwszym i kolejnym stopniem do piekła. Firmom i ośrodkom naukowym prowadzącym tego typu badania tylko pozornie chodzi o dobro człowieka. Leczyć go – to szczytny cel, istnieją jednak uzasadnione obawy, że nie tylko o to w tym wszystkim chodzi. To także dążenie do produkcji supermenów, aktu przekroczenia granicy, którego nie da się już cofnąć. Dla nas, zwykłych ludzi, to wciąż science fiction, to jednak naprawdę się dzieje. Nie ma co ukrywać, że w grę wchodzi tu ogromne pieniądze. Naukowcy robią wszystko, by starzenie człowieka nie było procesem nieuchronnym. Współczesne firmy biotechnologiczne prześcigają się w tym, by nie tylko znaleźć skuteczny lek na starość, lecz uczynić życie człowieka bezkresnym. W Dolinie Krzemowej Gafa, czyli połączenie Google'a, Amazona, Facebooka i Apple, zainwestowała ponad milion dolarów w startupy i badania w tej dziedzinie. I nie tylko oni. Trwa wyścig, w którym chodzi nie tylko o to, kto pierwszy wynajdzie skuteczny lek zapobiegający starzeniu się organizmów ludzkich i sposób na nieśmiertelność, lecz także o ogromne pieniądze, które z odkryciem tym się wiążą. Dla ośrodków oferujących nieśmiertelność liczy się tylko cel handlowy – to, ile można na swoich odkryciach zarobić. Dlaczego nie zastanawiają się głębiej, czemu to wszystko miałoby służyć i jakie zagrożenia dla ludzkości w związku z ich potencjalnymi sukcesami mogłyby się wiązać? ■



Jacek Podgórski

dyrektor Instytutu Gospodarki Rolnej, ekspert RG SWS

Czego brakuje polskim spółdzielniom rolnym

Korzyści płynące z tytułu funkcjonowania spółdzielni rolniczych dla gospodarstw Europy i samych rolników są nieocenione. Wciąż jednak poziom zorganizowania polskich gospodarstw wynosi zaledwie 15 proc. przy niemal 100 proc. w krajach Europy Zachodniej.

Wysoki poziom specjalizacji i koncentracji kapitału podmiotów działających w strukturach spółdzielczych pozwala na znaczne ograniczenie kosztów produkcji, poprawę pozycji negocjacyjnej na rynkach lokalnych i krajowym, daje możliwość korzystania ze sprzedaży łączonej, pozwala na wymianę doświadczeń, dywersyfikację ryzyka oraz konsolidację społecznej mieszkańców wsi. Dodatkowo, co pokazują przykłady wzorcowo funkcjonujących spółdzielni na rynku francuskim czy holenderskim, potrafią one skutecznie korzystać z kapitału zewnętrznego bez zagrożenia utraty autonomii, co z kolei daje możliwość akumulacji środków przeznaczanych później na inwestycje i marketing.

Nie sposób wprowadzić bezkolizyjnie wdroyć na polskim rynku modele marketingowe francuskich spółdzielni winiarskich czy holenderskich spółdzielni producentów kwiatów. Gdy jednak zastanowimy się, z czego słyną dwa powyższe kraje na światowych rynkach rolnych, bez zastanowienia wskażemy choćby na francuskie wina z Bordeaux, Langwedocji i Burgundii czy holenderskie tulipany. Pomijając częściowo kwestie historyczne, za promocję tych produktów odpowiadają właśnie tamtejsze spółdzielnie rolnie.

Zmiany okresu transformacji ustrojowej w Polsce pozwoliły zakorzenić się na naszym rynku wielkim firmom zagranicznym. Ekspert wskazuje, że w najbliższych latach kluczowym elementem przy wyborze produktów przez rodzimych konsumentów będzie kwestia patriotyzmu ekonomicznego. Spółdzielczość w modelu francuskim pozwoliła wyjść z produktami regionalnymi poza rynki lokalne i przyczyniła się do stopniowego wypierania z rynku artykułów pochodzenia obcego. Znaczącą rolę odegrały tu środki przeznaczone przez spółdzielnie na działania marketingowe oraz funkcjonowanie w tym kraju spółdzielczych giełd rolnych.

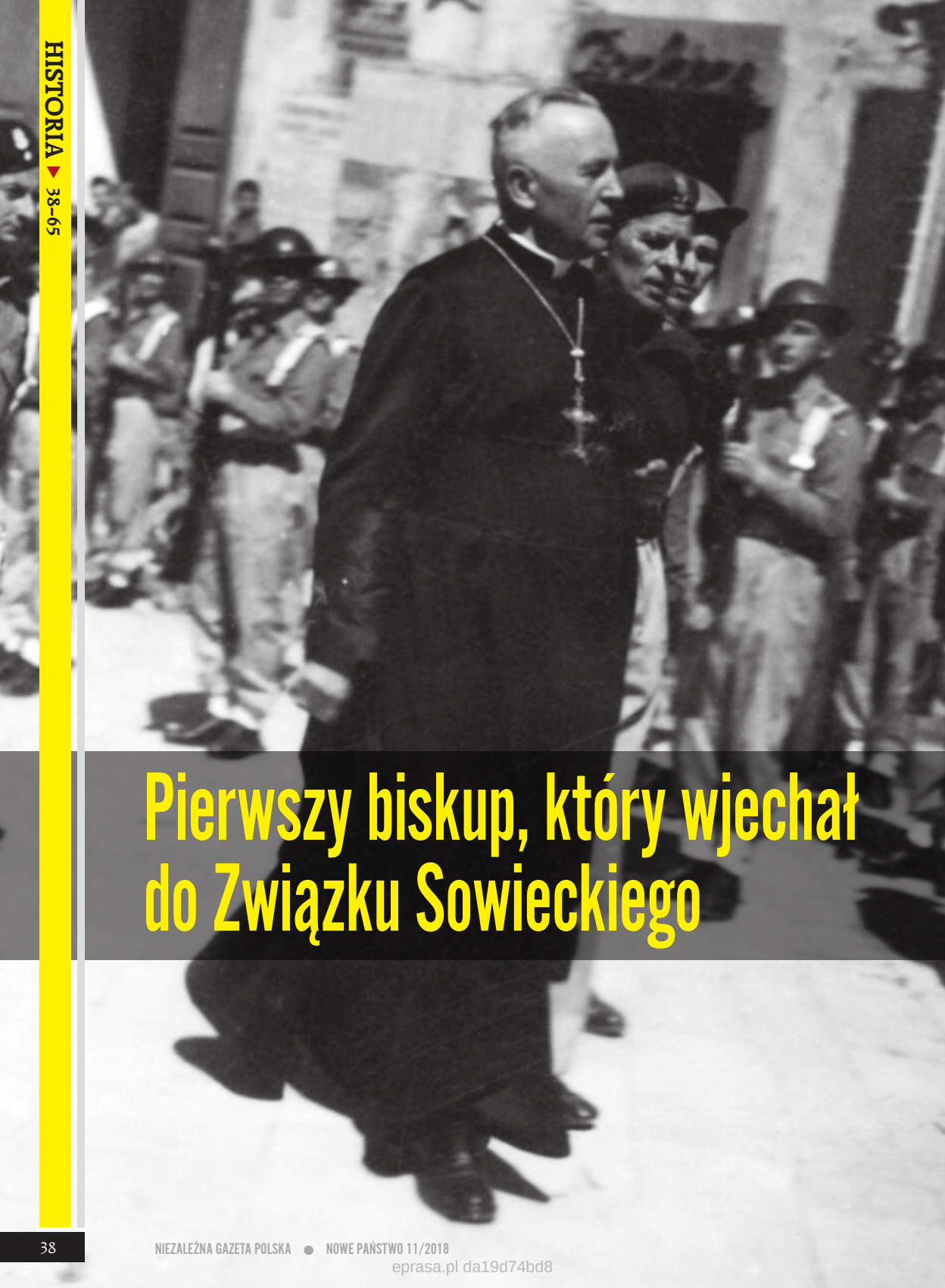
By uniezależnić się od wielkich odbiorców, kraje Europy Zachodniej powołały do życia właśnie spółdzielcze giełdy rolne. Nie są one w żaden sposób związane z aparatem państwowym i pozostają wyłączną własnością rolników. W ten sposób funkcjonuje choćby największa na świecie aukcja skór zwierząt futerkowych – duńska Copenhagen Fur. Koszty funkcjonowania tej giełdy, biorąc pod uwagę skalę tamtejszej produkcji, są relatywnie niskie i pozwalają na zapewnienie stabilności na rynku wewnętrznym i utrzymanie ekspansywnego charakteru duńskiego rolnictwa. Spółdzielcze giełdy rolne zapewniają też znaczne skrócenie łańcucha sprzedaży i dostaw oraz uniezależnienie się od kolejnych pośredników.

W niektórych regionach Polski funkcjonują wprawdzie spółdzielcze giełdy rolne, jednak ich zasięg – wynikający przede wszystkim z niewielkiej liczby członków spółdzielni – jest na tyle ograniczony, że nie są one w stanie przeciwstawić się zmonopolizowanemu cenom firm tworzących systemy monopolu lub oligopolu.

Zachodnioeuropejskie spółdzielcze giełdy rolnicze oferują nie tylko możliwość zbycia towarów, lecz także zindywidualizowane systemy ubezpieczeń rolnych, dopasowane rozwiązania logistyczne czy wsparcie kapitałowe. Ich funkcjonowanie pozwala jednak przede wszystkim na projektowanie produkcji w związku z potrzebami rynku kreowanymi w znacznej mierze przez same giełdy.

Poziom zorganizowania gospodarstw w Polsce nie pozwala na wdrażanie zaawansowanych struktur. Stanowi on jednak niszę możliwą do zagospodarowania przez MRiRW oraz podległe mu instytucje. Przeprowadzona w ostatnim czasie nowelizacja ustawy o spółdzielniach rolników pozwala szukać rozwiązań na przyszłość. Pierwszy raz od lat pojawiło się bowiem światelko w tunelu dla – niegdyś potężnego – polskiego systemu spółdzielni.

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

A black and white photograph showing Cardinal Stefan Wyszyński in the foreground, wearing a dark cassock and a pectoral cross. He is walking through a crowd of people, some of whom are wearing military uniforms and helmets. The background is slightly blurred, showing more people and what appears to be a building entrance.

Pierwszy biskup, który wjechał do Związku Sowieckiego



Piotr Lisiewicz

„Arcybiskup Gawlina widział w komunizmie niebezpieczeństwo grożące światu i Polsce w szczególności. Dawał temu świadectwo wielokrotnie w swym, nieraz krewkim, wyrazie. To, co dziś w rokowaniach Kościoła o normalizację nazywa się: »Państwo«, Gawlina w kazaniu na św. Wniebowstąpienie, wygłoszonym w Lourdes w r. 1954, nazwał: »Bezbożnym reżimem... Szatańskim zamiarem wrogów Boga i Polski« – pisał o nim Józef Mackiewicz. „Był pierwszym biskupem katolickim, który oficjalnie wjechał do Związku Sowieckiego” – tak wagę jego posługi oceniał arcybiskup Szczepan Wesoły.

P o latach, gdy arcybiskup Józef Gawlina, którego Jan Paweł II nazwał Biskupem-Tulaczem, urósł w oczach wygnańców do rangi postaci pomnikowej, nie pamiętano już, że biskupem polowym wojska polskiego został w okolicznościach cokolwiek gorszących.

► Wojna między Piłsudskim a biskupem Gallem

Opisuje je ks. Piotr Majka, dziekan Wojsk Obrony Terytorialnej, autor biografii duchownego „Generał Józef Gawlina. Biskup polowy”, która ukazała się w 2017 roku nakładem wydawnictwa „Bellona”. Oto pomiędzy Marszałkiem Józefem Piłsudskim a poprzednikiem Gawliny, biskupem Stanisławem Gallem, narastał w latach 30. ostry konflikt. Biskup Gall ostro potępiał publicznie rozwoje wojskowych, w tym legionowych towarzyszy broni Marszałka. Te go Piłsudski tolerować nie zamierzał. Zażądał jego odwołania, w odpowiedzi na co Episkopat przedstawił list pasterski w obronie nierozzerwalności sakramentu małżeństwa. Na co z kolei Piłsudski zabronił odczytywania go w kościołach garnizonowych...

Była też sprawa pogrzebu ministra wyznań Sławomira Czerwińskiego, który krytykował Kościół, a dopiero na łożu śmierci się nawrócił. Biskup Gall po mszy odprawionej za zmarłego nie dołączył do konduktu pogrzebowego, na czele którego szli Piłsudski z prezydentem Ignacym Mościckim. W odpowiedzi Piłsudski wstrzymał pobory biskupowi oraz pracownikom kurii. Przez dwa lata żaden z wniosków skierowanych przez biskupa polowego do ministra spraw wojskowych nie został pozytywnie załatwiony.

► Gawlina kontra „nielegalne żony”

Ta próba sił zakończyła się tym, że biskup Gall zrezygnował, a nuncjatura Stolicy Apostolskiej w Warszawie wytypowała uzgodnioną z Piłsudskim kandydaturę prałata Józefa Gawliny. Marszałek przyjął kandydata w półmroku. „Ksiądz nie jest moim kandydatem, lecz zgodziłem się na księdza. To znaczy, że nie zgodziłem się, ale przyjmuję, ponieważ nie mogę toczyć walki z Ojcem Świętym” – otwarcie przedstawił swoje stanowisko. Biskup Gawlina, były żołnierz, szybko zaczął rozumieć mentalność Marszałka. Choć niebawem zderzył się także z „nielegalnymi żonami”, które były przyczyną awantur z jego poprzednikiem. Wspominał biskup Gawlina: „W Polsce zaczęły grasować tzw. »poradnie świadomego macierzyństwa«. W wojsku wprowadzała je tzw. Rodzina Wojskowa z pp. Beckową, Hanną Hubicką i in. nielegalnymi żonami na czele”. Jako biskup zwrócił się do organizatorek poradni z urzędowym pytaniem, jakie

są ich cele. „Otrzymałem odpowiedź członka zarządu, p. Dory Wiesznickiej, że... »Rodzina Wojskowa stoi pod szczególną opieką p. Marszałka Piłsudskiego«. To znaczy, nie ucz nas, Biskupie, inaczej będziesz miał do czynienia z samym Marszałkiem” – pisał Gawlina. Dogodna okazja, by zagadnąć o tę kwestię Marszałka, pojawiła się niebawem. Oto przed 250. rocznicą wiktoria wiedeńskiej Jana III Sobieskiego Piłsudski wezwał Gawlinę, by pożalić mu się na arcybiskupa Sapiechę, który czynił przeszkody w planowanych obchodach i zapytał go, czy może udać się do niego. Ten spytał:

- Owszem, Panie Marszałku, lecz z jaką misją?
- Otóż gdy ja na czele plutonu złożonego z generałów do krypty wkroczę... Artyleria ma strzelać, przeciwko czemu protestuje Sapieha, bo on tu przeczenia wojsko, które mu przecież witraży nie wystrzeli, a równocześnie dzwony mają bić, na co się Sapieha również nie godzi, bo tu nie docenia wojska.

- A czy Pan Marszałek wie, czym są dzwony?
- No cóż, dzwony są dzwony.
- Tak jest, ale poza tym jest to sprzęt liturgiczny, który wtedy wkracza w akcję, gdy się odbywa jakiś akt liturgiczny.

- Na przykład?
- Gdyby Pan Marszałek chciał się publicznie pomodlić, to już sprawa rozwiązana.
- Kiedy ja się chcę modlić, ale nie wtedy, kiedy Sapieha sobie tego życzy. Na przykład, po tej ceremonii wszyscy pójdziemy przed ołtarz, tam ukłękniemy i pomodlimy się.

- Wspaniale.
- A więc proszę Sapieżę powiedzieć, że tak ma być.
- Panie Marszałku, tak prosto to nie jest. Książę Metropolitą jest ordynariuszem, a ja nie jego przełożonym.

- Co to jest ten ordynariusz?
- To jest pan na swoim terytorium kościelnym.
- Zrozumiałem. I cóż z tego?
- A czy Pan Marszałek nie złożyłby mu przedtem wizyty?

- Sądzić? Nie bardzo mi się chce.
- A cóż to Pana Marszałka kosztuje? Akt grzecznościowy, który świetnie działa.

- Jak sądzicie, to to uczynię...
- Panie Marszałku, to nie wszystko.

I tu Gawlina opowiedział Piłsudskiemu o kwestii poradni świadomego macierzyństwa. Zgodnie z przewidywaniami Gawliny, Marszałek nie okazał się entuzjastą owych ideologicznych fanaberii. Westchnął tylko:

- Tak niestety się to dziś robi.
- A najgorsze, że się powołują na Pana Marszałka. Czy Pan Marszałek zakazał tym paniom rodzic?

- Gdzież znów?! Głupstwo!

- A czy mogę się publicznie na to powołać?

- Możecie.

Jak wspominał Gawlina, tydzień później nie było już poradni świadomego macierzyństwa w wojsku.

► Ze szkoły wyrzucony z „wilczym biletem”

Józef Feliks Gawlina urodził się 18 listopada 1892 roku w małej miejscowości Strzybnik (po niemiecku Silberkopff) w powiecie raciborskim na Śląsku Opolskim. Jego ojciec Franciszek Gawlina prowadził gospodarstwo rolne i był właścicielem niewielkiej karczmy. Matka, Joanna z domu Banaś, zajmowała się wychowywaniem dzieci i domem.

„Mimo ogromnej presji germanizacyjnej, jaka miała miejsce w XIX wieku, zamieszkująca te tereny ludność polska nie porzuciła rodzimej mowy, obyczajów i kultury. Tak było w domu rodzinnym Józefa Gawliny” – pisze ks. Piotr Majka i zaznacza, że przyszły duchowny „nie należał do zbyt pokornych uczniów”: „W szkole powszechnej wielokrotnie ponosił dotkliwe kary za posługiwanie się mową polską, lecz nie zламаło go to i razem z kolegą założył kółko czytelnicze literatury polskiej”.

Wstąpił do związku patriotycznego organizowanego przez księdza Jana Brandysa. W efekcie został wydalony ze szkoły z wilczym biletem. Ale szansę kontynuowania dało mu nowo otwarte gimnazjum w Rybniku i jego dyrektor – katolik dr Joseph Georg Wahner. Tam Gawlina zdał maturę z wynikiem bardzo dobrym. Po niej postanowił kontynuować naukę na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego.

► W epicentrum sporu w czasie powstań śląskich

Gdy wybuchła I wojna światowa, trafił od armii pruskiej. Ranny w plecy wylądował w szpitalu, a z niego w kompanii sanitarnej, z którą trafił do Wrocławia, gdzie mógł kontynuować studia. Ale w 1917 roku został znów wcielony do oddziałów liniowych i wysłany na front turecki. Walczył w Syrii, zwiedzał Ziemię Świętą, zachorował na malarię, a wreszcie trafił do niewoli brytyjskiej. Po uwolnieniu z niej trafił do Błękitnej Armii generała Józefa Hallera.

Potem wrócił do wrocławskiego seminarium, a był to czas ostrych sporów na Śląsku między ludnością polską a niemiecką. Otwarte opowiedzenie się Gawliny za Polską skutkowało upomnieniami ze strony władz seminaryjnych. Święcenia diakonatu przyjął 19 czerwca 1921 roku, mając 29 lat. Trafił do parafii Wielkie Dębienko, której proboszczem był Niemiec szkykanujący polskich parafian. To była wybuchowa

mieszanka w czasie powstań śląskich. W wyniku trzeciego z nich ziemia rybnicka trafiła do Polski. Na czele polskiej śląskiej diecezji stanął biskup August Hlond, przyszedł prymas Polski. Młody ksiądz Gawlina obejmował przy nim liczne ważne funkcje, w tym sekretarza generalnego Śląskiej Ligi Katolickiej oraz redaktora „Gościa Niedzielnego”.

W 1926 roku Episkopat Polski postanowił utworzyć Katolickie Biuro Prasowe, którego zorganizowanie powierzono księdzu Józefowi Gawlinie. A ten przekształcił je w Katolicką Agencję Prasową, opierając się na zachodnich wzorcach i współpracy z korespondentami w Rzymie, Paryżu i Londynie. Rozwijał się też jego talent publicystyczny. Ważną częścią publicystyki Gawliny stała się walka z niemieckimi pomówieniami. Niemcy jego publikacje zaczęli nazywać „modlitwą wojenną polskich katolików” (der polnischen Katholiken Kriegsgebet). Katolicka Agencja Prasowa okazała się przedsięwzięciem bardzo udanym. „Sposób postrzegania działalności Kościoła katolickiego w Polsce i na całym świecie zdecydowanie się poprawił” – pisze ks. Piotr Majka.

W 1931 roku Polskę dopadł zapoczątkowany w Stanach Zjednoczonych światowy kryzys, który szczególnie dotkliwie uderzył w uprzemysłowiony Śląsk. Ksiądz Gawlina objął w tym czasie parafie św. Barbary w Królewskiej Hucie-Chorzowie, licząc 36 tys. parafian. Udało mu się uruchomić kuchnię parafialną, która wydawała 700 posiłków dziennie, biuro Caritasu i ochronkę dla dzieci. Kiedy zarząd huty zwolnił pracowników, a następnie zaproponował zatrudnienie ich na niekorzystnych warunkach, ksiądz wezwał go do powrotu do wcześniejszych zasad. Taka postawa zbudowała jego ogromny autorytet wśród parafian.

► „Marszałek polubił tego biskupa-żołnierza”

11 lutego 1933 roku papież Pius XI powierzył Gawlinie urząd biskupa polowego i misję uporządkowania spraw związanych z ordynariatem polowym, jako najbardziej drażliwych w stosunkach między Polska a Stolicą Apostolską. Na ile udało mu się odnieść sukces? Adiutant Marszałka, kpt Mieczysław Łepecki, wspominał po latach Gawlinę: „Marszałek polubił tego biskupa-żołnierza, który wojnę światową przeżył jako szeregowiec”. Także Gawlina przywiązał się do Piłsudskiego. „W sercu ks. Gawliny narosło żołnierskie przywiązanie i żołnierskie uczucie do Marszałka. Wyraz tych uczuć miałem możliwość obserwować w dniach żałoby Marszałka po stracie siostry, Zofii Kadenacowej. Na życzenie Marszałka ks. biskup Gawlina udał się z Nim do Wilna na pogrzeb... słowa jego mądrej pociechy wzbudziły we mnie dla niego najgłębszy szacunek”.

Wzajemne zaufanie potwierdza sposób, w jaki Marszałek rozmawiał z biskupem polowym. Gawlina tak wspominał rozmowy po defiladzie w Wilnie w 1933 roku: „Niech Ksiądz Biskup nie wierzy, że jestem antykościelny, jak to niektórzy mówią. Ja Kocham Matkę Boską, zwłaszcza Ostrobramską. Często-chowski obraz jest za surowy... A z tymi endekami to było tak: Gdy mi jakiegos figla splatali, a ja na nich, to oni – cup, chowają się za główny ołtarz. Wtedy ja wprost w nich, by ich wypędzić z ołtarza, a oni w krzyk: Piłsudski uderza w ołtarze. Nie w ołtarze, tylko w tych, co się za ołtarzami kryją”.

► Piłsudski – wykonawca dzieła Bożego

Kazanie Gawliny wygłoszone na pogrzebie Marszałka w 1935 roku należy z pewnością do wielkich, historycznych mów polskich duchownych. Nie miał wątpliwości, jakiej rangi było dzieło Piłsudskiego: „Stanęła nad Nim ręka Boska i upodobał go sobie Pan Bóg i naznaczył czoło Jego stygmatem Wielkości. I kazał mu pełnić posłannictwo w Narodzie naszym”. Piłsudski był wykonawcą dzieła Bożego, pewność tego faktu przebiegała z każdego zdania kaznodziei: „Wykonawcą stałeś się, Wodzu, wyroków sprawiedliwości Bożej za grzech i krzywdę rozbiorów Polski. Wykonawcą stałeś się, Marszałku, wyroków sprawiedliwości Bożej za tyle łez wylanych, za tyle rodzin zniszczonych, za przesładowanie wiary świętej, za kościoły zhańbione, za te fale wygnañców, co wśród cierpień na Sybir szły... Przez Ciebie nad barbarzyństwem zatryumfowała kultura chrześcijańska. Przed Tobą w kornym hołdzie czoło schyla Europa, dzięki ci składa Matka-Kościół, przez Ciebie wyswobodzona”. Mowę kończyła przysięga: „Na Twoje prochy i popioły, na ducha Twego znaczonego stygmatem wielkości, ślubujemy, że miłować będziemy jako ty miłowałeś Polskę, Ojczyznę naszą – tak nam dopomóż Bóg”. Biskup polowy, tuż przed wybuchem wojny mianowany arcybiskupem, nie wiedział, że za kilka lat sam będzie musiał dać trudne świadectwo wierności tej przysiędze...

► Wojenny fortel rannego arcybiskupa

1 września 1939 roku zastał Gawlinę w Warszawie. Zarówno dla wielu kapelanów wojskowych, jak i jego samego miał przyjść czas próby na polu walki. „Ręce nasze są czyste. Nie z naszej winy wybuchła wojna [...] Wojna nasza to rzecz święta” – napisał w liście pasterskim z 2 września 1939 roku. Ewakuacja Kurii Polowej nastąpiła 4 września. Na polecenie rządu Gawlina opuścił Warszawę i udał się na wschód. Sekretarz biskupa, ksiądz Mikołaj Drużbacki, zginął

w czasie bombardowania Łucka. Sam biskup został ranny, ale szybko powrócił do zajmowania się tymi, którzy ucierpieli bardziej. We „Wspomnieniach” napisze: „Gdy ciężko rannego lotnika (w plecy i szyję) spowiadałem – leżał biedak półnagi z powodu ciężkiej rany w plecach na podłodze, siostra trzymała go na odległość ramienia, by przytwierdzić opatrunek na szyi – więc i ja położyłem się obok niego na podłodze dla zachowania tajemnicy spowiedzi, gdyż sala była pełna rannych. Po rozgrzeszeniu chłopiec chciał pocałować stulę, a że jej nie miałem, pocałował mnie w opatrunek, jaki na twarzy nosilem”.

Wiść o wkroczeniu wojsk sowieckich zastała go 17 września w Kutach na granicy polsko-rumuńskiej. Zgodnie z decyzją o ewakuacji przekroczył granicę, jednak wtedy usłyszał o tym, że ranny został jego kapelan. W efekcie mimo wieści o zagrożeniu ze strony wojsk sowieckich... wrócił do kraju, by udzielić mu pomocy. Ostatecznie opuścił Polskę 21 września. Po przekroczeniu granicy Gawlina postanowił chwycić się fortelu. W tajemnicy odłączył się od konwoju zmierzającego do obozu internowania i dotarł do Budapesztu, gdzie zatrzymał się u abp. Aleksandra Cisar. Zabrał się do organizowania duszpasterstwa dla internowanych, ale jednocześnie podjął dyplomatyczne zabiegi o uzyskanie wizy Watykanu.

► Kazanie na pokładzie „Sobieskiego”

Udało się. 15 października papież Pius XII przyjął Gawlinę na prywatnej audiencji w Castel Gandolfo. Ten przedstawił mu prawdę o okrucieństwach Niemców. Watykan zdecydował, że bp Gawlina zachował jurysdykcję nad rozproszonym po różnych krajach wojskiem polskim. 18 października 1939 roku, po przybyciu do Paryża Gawlina objął obowiązki biskupa połowego Polskich Sił Zbrojnych na uchodźstwie. Organizował dla żołnierzy niedzielne nabożeństwa przez radio. Wydał Modlitewnik Żołnierza Polskiego. 19 września 1940 roku opuścił Francję wraz z towarzyszącymi mu kapelanami na transatlantyku „Sobieski”. Na jego pokładzie odprawił Mszę św., w czasie której mówił żołnierzom o nadziei i wierze w to, że szatan wyzywający Boga do walki musi zawsze przegrać...

W Anglii objężdżał polskie oddziały, odprawiając msze dla żołnierzy. W polskiej Radzie Narodowej w Londynie został wybrany przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych.

► Pierwszy biskup w Sowietach

Gdy po traktacie Sikorski-Majski generał Władysław Anders rozpoczął organizowanie polskiej

armii w Związku Sowieckim, bp Gawlina podjął zabiegi, by tam pojechać, co byłoby wydarzeniem bez precedensu. Arcybiskup Szczepan Wesoły, autor wstępu do książki „Biskup Józef Gawlina w Związku Sowieckim”, tak pisał o znaczeniu tego wydarzenia: „Józef Gawlina był pierwszym biskupem katolickim, który oficjalnie wjechał do Związku Sowieckiego... Pertraktacje w tej sprawie nie były łatwe – zarówno ze stroną sowiecką, jak i z polskim środowiskiem emigracyjnym. Uważano bowiem, że może to dodatkowo utrudnić relacje z rządem sowieckim”. Ostatecznie postawiono mu warunek ograniczenia wizytacji biskupiej do oddziałów wojska i niekontaktowania się z ludnością cywilną. Gawlina zgodził się. Jednak po przedostaniu się do Związku Sowieckiego, „Gdzie organizowały się oddziały wojskowe, tam gromadziła się również deportowana ludność polska” – pisał abp Wesoły. Wizytował oddziały w Uzbekistanie, Tadżykistanie, Kirgistanie i Kazachstanie.

Ksiądz Kamil Kantak, ówczesny współpracownik Gawliny, pisał o znaczeniu jego wizyty: „Zamierzał odwiedzić także tych rozsypanych po Bolszewii biedaków, dodać im otuchy [...] Zachodził do chorych po szpitalach także zakaźnych, udzielał bierzmowania, a kilku księżom sakramentu kapłaństwa. Pozostał aż do ostatniego transportu we wrześniu 1942”. Wizyta biskupa w Związku Sowieckim była opisywana w gazetach w wielu krajach świata, w tym w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

► Kapelan pod Monte Cassino

Po powrocie ze Związku Sowieckiego 15 lutego 1943 roku wyruszył w podróż do USA, jak mówił przyjaciółom – „po pieniądze”. Przy pomocy prasy amerykańskiej apelował o pomoc dla dzieci polskich w Sowietach. Spotkał się z prezydentem Franklinem D. Rooseveltem.

Potem brał udział w kampanii włoskiej. W bitwie pod Monte Cassino pełnił funkcję kapelana liniowego w Sanitarnym Ośrodku Ewakuacyjnym. W Ankonie z rąk generała Kazimierza Sosnkowskiego otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari i Krzyż Walecznych. Stanisław Piekut, który walczył pod Monte Cassino, tak wspominał Gawlinę: „W pobliżu Fermo... padł od wybuchu miny ks. Stanisław Targosz... Ten kaznodzieja, który zwyczajnie ważył każde słowo, wyrebywał je jak węgiel z rodzinnej ziemi śląskiej, tym razem mówił spontanicznie i ze łzami w oczach. Widać jak bardzo kochał bliskich mu żołnierzy. Jego wniosła postać, załamujący się głos nad grobem młodego kapelana, udzielały się słuchaczom-żołnierzom”.

► Jako biskup polski nie uznaje bolszewickiego rządu

Jak wspominał wybitny polski historyk prof. Oskar Halecki, poprzez treść listów pasterskich, które Gawlina ogłosił na emigracji, zamknął sobie świadomie drogę do kraju. Z Andersem „całkowicie się solidaryzował w bezkompromisowym stanowisku wobec narzuconego Polsce reżimu komunistycznego”. 6 stycznia 1945 roku biskup Gawlina wygłosił bezkompromisowe przemówienie do żołnierzy w Szkole Radiomechaników: „W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że tak zwany komitet Wyzwolenia, składający się z agentów bolszewickich, nadał sobie tytuł rządu polskiego. Chociaż wiem, że wszyscy Polacy, którzy nie są zmuszeni do innego stanowiska groźbą bagnetów, głośno sprzeciwiają się temu, uważam za mój obowiązek, jako biskup polski i Ordynariusz Polskich Sił Zbrojnych oraz uchodźców polskich z Rosji, oświadczyć z całą świadomością i powagą, że jedna jest tylko Konstytucja Polska, na którą wszyscy żołnierze składaliśmy przysięgę, jeden Prezydent Rzeczypospolitej, legalnie na tej podstawie wyznaczony – Władysław Raczkiewicz, któremu winni jesteśmy w sumieniu posłuszeństwo i jeden prawowity rząd polski, przez niego mianowany”. 8 lutego 1945 roku został mianowany przez papieża Opiekunem (Protektorem) Emigracji Polskiej na czas niemożności wykonywania tych zadań przez prymasa Polski. Po śmierci Hłonda został Opiekunem Duchowym Polaków na uchodźstwie, czyli Protektorem Emigracji Polskiej.

Wydawał wiele utrzymanych w często antykomunistycznym tonie orędzi, listów pasterskich i odezów. Józef Mackiewicz w książce „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy”, w której krytykuje uległość hierarchii kościelnej wobec komunizmu, Gawlinie wystawia najpiękniejsze świadectwo: „To, co dziś w rokowaniach Kościoła o normalizację nazywa się: »Państwo«, Gawlina w kazaniu na św. Wniebowstąpienie, wygłoszonym w Lourdes w r. 1954, nazwał: »Bezbożnym reżimem... Szatańskim zamiarem wrogów Boga i Polski... Dnia 15 października 1956 w przemówieniu wygłoszonym w Rzymie, zwrócił się do rodaków w te słowa: »Wzywam was, jako jedyny członek Episkopatu Polskiego w wolnym świecie, abyście modlitwą do Matki Boskiej Częstochowskiej przyczynili się do ratowania wolności Kościoła i wolności Polski!...«”.

► Opiekun połowy świata

Gawlina wspierał gdzie tylko mógł polskie wolne słowo, kulturę i prasę. Zajmowanie się rozsiazanymi po świecie wygnańcami to był ogrom pracy. W latach 1949–1952 odwiedził ośrodki emigracyjne w jedena-

stu krajach Europy, Ameryki Północnej i Ameryki Południowej. Brał udział w tworzeniu Polskich Misji Katolickich w Argentynie, Australii, Brazylii, Chile, Danii, Hiszpanii, Holandii, Luksemburgu, Republice Południowej Afryki, Szwajcarii, Szwecji i Tanzanii. Pod jego patronatem w 1947 roku w Londynie powstał Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”. Od 1949 roku do końca życia był wydawcą i redaktorem naczelnym pisma „Duszpasterz Polski Za Granicą”.

Był organizatorem licznych akcji duszpasterskich, obejmujących zasięgiem całą emigrację. Z Rzymu kierował komitetami Roku Jubileuszowego (1949), Roku Maryjnego (1953), 300-lecia Obrony Jasnej Góry (1956), Obchodu Tysiąclecia Chrztu Polski (1956). 29 listopada 1952 roku został mianowany arcybiskupem tytularnym Madito. Dlaczego nie został kardynałem? Ksiądz Kantak tak pisał o swoich w tej kwestii przypuszczeniach: „Stały temu niezawodnie na zawadzie wpływy niemieckie, tak przemożne w Watykanie za Piusa XII”.

► U kolegów na Monte Cassino

Papież Jan XXIII powołał za to Gawlinę na członka Komisji Przygotowawczej dla Spraw Biskupów i Zarządu Diecezjami – Soboru Watykańskiego II. Brał udział w dwóch pierwszych sesjach Soboru jako sekretarz Komisji dla spraw Biskupów i Diecezji.

Doktor Jarosław Szarek, obecny prezes IPN, tak pisał o komunistycznych prowokacjach w czasie Soboru: „Służba Bezpieczeństwa wykorzystała Sobór Watykański II do uderzenia w polski Kościół [...] 30 listopada 1963 roku przed Bazyliką Świętego Piotra w Rzymie rozrzucono anonimowy Memoriał o niektórych aspektach kultu maryjnego w Polsce... prymasa Wyszyńskiego poinformował o tym duszpasterz polskiego wychodźstwa arcybiskup Józef Gawlina... Obaj hierarchowie – podobnie jak młody biskup Karol Wojtyła – nie mieli wątpliwości, że za pojawieniem się Memoriału stoi wywrotowa akcja rządu polskiego”.

Arcybiskup Gawlina zmarł w czasie Soboru na zawał serca w nocy z 21 na 22 września 1964 roku w Rzymie. Na rzymskim cmentarzu Campo Verano odbył się jego pierwszy pogrzeb. Drugi miał miejsce 8 kwietnia 1965 roku na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino, gdzie przeniesiono go zgodnie z jego ostatnią wolą. Trumnę złożono w prostym żołnierskim grobie u stóp ołtarza cmentarnego. Ksiądz Kamil Kantak nie miał wątpliwości, że z czasem historyczna rola abp. Gawliny musi zostać doceniona bardziej niż za życia: „Myślę, że przyszłość »korektorka wieczna« (Norwid), zaliczy go pośród szczególnie wybitnych biskupów polskich”.



1. Ks. Augustyn Weichsel, w latach 1869–1909 był proboszczem parafii w Gietrzwałdzie. Niezlomny kapłan, z pochodzenia Niemiec, wielokrotnie represjonowany przez władze pruskie pod zarzutem wspierania polskości. Do końca swoich dni życia wytrwale dawał świadectwo objawień Matki Bożej w 1877 roku. Pochowany na cmentarzu w Gietrzwałdzie.

2. Barbara Samulowska, wizjonerka, której objawiła się Matka Boża. W 1889 roku złożyła śluby zakonne i przyjęła imię Stanisława, w 1895 roku została skierowana do pracy misyjnej w Gwatemali. 2 lutego 2005 roku rozpoczął się Jej proces beatyfikacyjny.

3. Rycina przedstawiająca objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie

Dariusz Jarosiński



GIETRZWAŁDZKIE REFLEKSJE



Wydaje się, że ciągle nie doceniamy znaczenia objawień Matki Bożej w Gietrzwałdzie dla odzyskania niepodległości przez Polaków. Notabene Gietrzwałd jest jedynym w Polsce i jednym z 12 na świecie miejsc objawień maryjnych uznanych przez Stolicę Apostolską za autentyczne. Nieprzypadkowo Maryja wybrała warmińską wioskę jako miejsce objawień i rok 1877 jako ich czas. W Gietrzwałdzie już od XVI wieku czczone wizerunek Matki Bożej Królowej Niebios, Pani Aniołów. Czas objawień to był okres szczególnie w polskiej historii – upadku ducha narodowego, apatii, beznadziei, kiedy po klęsce powstania styczniowego Polacy, przynajmniej ci świadomi narodo- patriotycznie, pograżali się w żałobie i przygnębieniu. Zaborcy z niezwykłą agresją i konsekwencją realizowali plan wynarodowienia naszych przodków, walki z polską mową, polskim Kościołem, który był jedyną opoką w mrocznych czasach zaborów. Dążyli do likwidacji naszych elit politycznych, kulturalnych, duchowych.

W zaborze rosyjskim zapanował terror na niespotykaną do tej pory skalę. Na Sybir zaborcy wywieźli 40 tys. powstańców, skonfiskowali prawie 2 tys. majątków. Kary finansowe nakładali nawet za niewielkie przewinienia, choćby za noszenie żałoby narodowej po powstaniu styczniowym czy za odmowę udziału w oficjalnych uroczystościach. Aby jeszcze bardziej upokorzyć niezłomnych Polaków, decyzją cara zmieniono nazwę Królestwo Polskie na Kraj Nadwiślański. W niedługim czasie władze carskie usunęły język polski ze szkół, urzędów, kościołów. W takich to okolicznościach do dwóch warmińskich dziewcząt, wizjonerek, 13-letniej Justyny Szafryńskiej i 12-letniej Barbary Samulowskiej, zwróciła się Matka Boża w języku polskim – języku zakazanym, zwalczanym przez zaborców, co odczytane zostało jako wsparcie Polaków w dążeniach do odzyskania niepodległości.

► Nadzieja, odwaga, wiara

Objawienia maryjne trwały przez trzy miesiące, od 27 czerwca do 16 września 1877 roku, w sumie Matka Boża ukazała się 160 razy. Maryja w swoim orędziu prosiła Polaków o pocierz, codzienną modlitwę różańcową, aczkolwiek podkreślała szczególną rolę Mszy świętej, że Modlitwa Eucharystyczna jest najważniejszą modlitwą Kościoła. „Wpiew prośzę – mówiła Matka Boża – abyście uczestniczyli we Mszy św., a później odmawiali różaniec. Msza św. jest ważniejsza niż różaniec!”. Napominała naszych przodków, by dbali o zdrową moralnie rodzinę, by powstrzymali się od nadużywania alkoholu. Wolność mogą odzyskać jedynie prawdziwie wolni ludzie – wolni od grzechów.

Ciągle nie zdajemy sobie sprawy, że dzięki Boskiej mocy sprawczej, gietrzwałdzkim objawieniom nasi przodkowie podnieśli się z kolan, podnieśli się z największego upadku Polski od czasów zaborów. Kiedy polskość, wszystko co polskie, było szargane, opluwane, okazało się, że tam – w Niebie, mówi się po polsku, że po polsku mówi Matka Boża, której możemy w modlitwie powierzyć swoje troski, smutki, bo Ona nas rozumie.

W latach 1877–1880 dotarło do Gietrzwałdu z różnych zakątków trzech zaborów ponad milion Polaków, pielgrzymów. W owym czasie w trzech zaborach mieszkało 10 mln Polaków. Można przyjąć, że przynajmniej połowa polskiego narodu została wzmocniona duchowo wieścią o maryjnych objawieniach – bo przecież wieść ta szybko się rozchodziła. Polacy odbyli wielkie religijne, narodowe rekolekcje. Jak pisał zmarły niedawno prof. Janusz Hochleitner: „Ważnym owocem objawień było moralne odnowienie Narodu Polskiego. Z tego kilkudziesięcioletniego procesu ukształtowało się nowe pokolenie Polaków, które w trzech zaborach potrafiło na nowo wskrzesić polską państwowość w 1918 roku”.

To przeżycie duchowe, które było udziałem Polaków po objawieniach maryjnych w 1887 roku, a które stanowiło znaczące wydarzenie na drodze do odzyskania niepodległości w 1918 roku, można porównać z pierwszą pielgrzymką do Ojczyzny naszego Ojca Świętego Jana Pawła II w 1979 roku. Jego słowa wypowiedziane podczas Mszy św. w Warszawie na ówczesnym placu Zwycięstwa stały się wezwaniem do walki z komunizmem: „Wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”. Pontyfikat Jana Pawła II zmienił oblicze świata, zmienił też oblicze polskiej ziemi. Papież dał nam, Polakom, nadzieję, odwagę i wiarę, bez których nie sposób byłoby przeciwstawić się systemowi komunistycznemu. Jest duchowym ojcem „Solidarności”. Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej kard. Pietro Parolin nawiązał w ubiegłym roku w Polsce do tamtych słów Jana Pawła II: „Słowo Boże głoszone przez papieża i jego modlitwa poskutkowały. Duch Święty (...) dał ludziom potężny impuls, by zaczęli się organizować i stanowczo upominać o swoje prawa. W konsekwencji w roku 1980 powstała »Solidarność«, której działalność walcie przyczyniła się do odzyskania przez Polaków wolności”.

► Sięgnijmy do odległych czasów

Historia Warmii jest w Polsce mało znana, chociaż to kraina z bogatą przeszłością i tradycjami. Bez wiedzy na temat dziejów świętej Warmii, jak się ją nie bez powodu określa, trudno jest zrozumieć, dlaczego na miejsce objawień wybrała Maryja warmińską wioskę Gietrzwałd. Często nawet zacytujący mylą Warmię z Mazurami, a są to dwie jakże różne pod względem historycznym, religijnym, obyczajowym, kulturowym krainy – choć po sąsiedzku położone.

Powiedzieć na przykład, że mieszkam na Warmii i Mazurach, to tak jak powiedzieć, że mieszkam na Górnym i Dolnym Śląsku.

Niedawno ukazała się książka Grzegorza Brauna, reżysera filmów dokumentalnych, pt. „Gietrzwałd. Nieznane konteksty geopolityczne”, w której autor dowodzi, iż objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie przyczyniły się do ważnych zmian politycznych w Europie przełomu XIX i XX stulecia, w szczególności opóźniły wybuch I wojny światowej. W tekście promującym tę publikację znalazło się następujące zdanie: „W małej wsi pod mazurskim Olsztynem, zwanej Gietrzwałdem, dwojgu polskich dziewczynek objawia się Matka Boża”. Olsztyn leży na Warmii – można by rzec, że w sercu tej krainy. Takie zdanie podważa wiarygodność publikacji, choć wiele też zawartych w książce jest interesujących i oryginalnych. Autor dowodzi m.in., że „Ona [Matka Boża – przyp. D.J.] w zarodku odwołuje prowokację insurekcyjną w Polsce i jednocześnie odwołuje wojnę światową, do której już niebawem miało dojść”.

Sięgnijmy do odległych czasów, które miały wpływ na kształtowanie świętego oblicza Warmii. W 1243 roku papież Innocenty IV wydał decyzję o utworzeniu na ziemiach zamieszkałych przez pogańskie plemiona pruskie, a podbijanych przez Krzyżaków, czyli Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, czterech diecezji: chełmińskiej, pomezkańskiej, warmińskiej i sambijskiej. Diecezja warmińska była największą diecezją, biskupi warmińscy oparli się władzy Krzyżaków i utworzyli w ramach diecezji dominium biskupie. Dominium posiadało samodzielność gospodarczą, własną autonomię w obrębie państwa krzyżackiego – biskup i kapituła katedralna sprawowali nie tylko władzę kościelną, lecz także świecką. Kilkakrotnie dochodziło do konfliktów na tle granic między biskupami warmińskimi a wielkimi mistrzami zakonu krzyżackiego, aczkolwiek dominium warmińskie leżące w obrębie państwa krzyżackiego korzystało z ochrony militarnej zakonu. Mimo zatargów z nim, Warmia wystawiła trzy chorągwie w czasie wojny polsko-krzyżackiej w latach 1409–1411, które wzięły udział w bitwie pod Grunwaldem. Około tysiąca rycerzy stanęło po stronie wielkiego mistrza.

Zamki zbudowane na terytorium dominium warmińskiego należały bądź do biskupów, bądź do kapituły warmińskiej. Siedzibą biskupów warmińskich był wzniesiony w drugiej połowie XIV stulecia zamek w Lidzbarku Warmińskim, należący do najbardziej cennych zabytków architektury gotyckiej w Polsce. Jednym z ostatnich jego mieszkańców był biskup Ignacy Krasicki, książę poetów, rezydujący tutaj w latach 1767–1795. Notabene Lidzbark Warmiński od

1350 roku do XIX stulecia był stolicą Warmii, ongiś jej największym miastem. Mniej więcej w tym samym czasie co zamek biskupi w Lidzbarku powstał zamek kapituły warmińskiej w Olsztynie. Jego mieszkańcem był m.in. Mikołaj Kopernik, kanonik warmińskiej kapituły katedralnej. Siedzibą kapituły warmińskiej był od 1320 roku Frombork, wcześniej będący stolicą Warmii i siedzibą biskupów. Tutaj do śmierci w 1543 roku mieszkał i pracował kanonik fromborskiej katedry Mikołaj Kopernik. Warto wspomnieć, że jeden z biskupów warmińskich, pochodzący z Włoch Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, wybrany został przez konklawe na papieża. Posługę papieską sprawował jako Pius II w latach 1458–1464. W czasie swego pontyfikatu zabiegał o wyzwolenie Europy od zagrożenia tureckiego.

W 1466 roku, po II pokoju toruńskim, Warmia wraz z Prusami Królewskimi weszła w skład Korony Polskiej. Biskupi warmińscy z kapitułą warmińską nadal byli świeckimi gospodarzami warmińskiej krainy, zasiadali też w Senacie Rzeczypospolitej. W granicach RP nastąpił złoty okres Warmii – kraina ta rozwijała się niezwykle prężnie pod względem gospodarczym, korzystała z bliskości miast portowych w Gdańsku, Elblągu, Królewcu. Był to też okres rozkwitu kultury, oświaty, edukacji, których mecenasem był Kościół katolicki. Dzięki fundacjom kościelnym synowie mieszczan Olsztyna, Pieniężna, Braniewa, Jezioran, Tolkmicka, Lidzbarka Warmińskiego, Reszla mogli kształcić się w Akademii Krakowskiej. Śmiało można stwierdzić, że Warmia w owym polskim okresie, w wiekach XVI–XVIII, była fenomenem na skalę europejską. Funkcje biskupie sprawowały w owym czasie wybitne postacie, m.in. Łukasz Watzenrode, wujek Mikołaja Kopernika, dyplomata, mecenas sztuki i nauki; Jan Dantyszek, dyplomata, poeta polsko-łaciński okresu renesansu, sekretarz królewski; Stanisław Hozjusz, humanista, poeta, sekretarz królewski Zygmunta I Starego od 1538 roku; Marcin Kromer, historyk i pisarz okresu renesansu, teoretyk muzyki, jeden z przywódców polskiej kontrreformacji.

Pod koniec XVIII stulecia dominium warmińskie liczyło około 90 tys. mieszkańców. Jego południową część zamieszkiwała ludność polska, mówiąca w języku polskim, a północną niemiecka. Władcy Warmii pod względem narodowościowym byli różnicowani, funkcje kanoników kapituły warmińskiej sprawowali Polacy, Niemcy, także Włosi, Szwedzi, Francuzi. Warmia była swoistą wyspą w protestanckim morzu. W 1772 roku, po I rozbiorze Polski, Warmia została włączona do Królestwa Pruskiego, znalazła się w granicach Prus Wschodnich, prowincji powstałej z Warmii i Prus Książęcych. Stolicą prowincji był Królewiec.

Chociaż nastąpiła sekularyzacja Warmii, to jednak nadal zachowała ona swoją odrębność wyznaniową, religijną, kulturową. Herbem diecezji warmińskiej pozostaje do dziś paschalny baranek.

► Święta Warmia

Trudny okres przeżywali Warmiacy, Polacy w zaborze pruskim, kiedy władzę w nowo powstałym Cesarstwie Niemieckim objął w 1871 roku jako kanclerz Otto von Bismarck. W opinii Niemców był wybitnym politykiem, wyznawał zasadę Realpolitik, to on dokonał dzieła wydawać być się mogło niewykonalnego – zjednoczył niemieckie państewka, a uczynił to, jak powszechnie się mówi, „krwią i żelazem”. Dominującą pozycję w Cesarstwie Niemieckim posiadało Królestwo Prus, które było państwem protestanckim. Bismarck, zwany nie bez racji „żelaznym kanclerzem”, ateista, wróg katolicyzmu, poprzez rozmaite ustawy, zarządzenia antykościelne prowadził Kulturkampf, czyli walkę kulturową, starał się maksymalnie ograniczyć wpływy Kościoła katolickiego. Z inicjatywy Bismarcka zostały m.in. wprowadzone obowiązkowe małżeństwa cywilne, zawieszono subsydiowanie przez państwo Kościoła. Duchowni traktowani byli niemal jak urzędnicy państwowi. Niesubordynowani księża usuwani byli z parafii, wsadzani do aresztów. Mieczysław Ledóchowski, arcybiskup poznański i gnieźnieński, przebywał dwa lata w więzieniu. 31 maja 1875 roku zniesione zostało funkcjonowanie wszystkich klasztorów, z wyjątkiem zajmujących się posługiwaniem w szpitalach, przytułkach, opiekujących się chorymi. Do działań wymierzonych przeciwko Kościołowi katolickiemu doszły też akcje germanizacyjne, zakaz używania języka polskiego w szkołach, urzędach. Bismarck zdawał sobie sprawę z tego, że z Polakami nigdy nie ułoży sobie dobrych relacji. O polskim ruchu narodowym mówił, że „jest i pozostanie on elementem wrogiem pruskiemu rządowi”. W liście do siostry 26 marca 1861 roku pisał: „Bijcie Polaków, aż im się żyć odechce. Mam wszelkie współczucie dla ich sytuacji, ale jeżeli przetrwać chcemy, to nie możemy uczynić niczego innego jak ich wytępić”. Bismarck nie używał języka subtelności, wyszukane go wobec przeciwników politycznych.

Warmiacy w sposób niezwykle odważny i oryginalny zareagowali na zarządzenia Bismarcka zwalczające Kościół katolicki, polską mowę – budowali przy drogach, dróżkach kapliczki czczące Matkę Bożą, a także stawiali metalowe bądź drewniane krzyże. Stawianie kapliczek przy drogach na Warmii to stara tradycja – do dziś tych z początku XVII wieku zachowało się jeszcze kilka. Większość tych obiektów sakralnych przeszła niedawno gruntowny remont.

Prawdziwy ich wysyp nastąpił właśnie w okresie Kulturkampfu i po objawieniach w Gietrzwałdzie Matki Bożej. Przydrożne kapliczki, zazwyczaj z czerwonej cegły, są od stuleci trwałym elementem warmińskiego krajobrazu. W maju i w październiku wierni spotykali się przy nich, by odmawiać Litanię Loretańską do Najświętszej Maryi Panny i różaniec. Na terenie historycznych powiatów warmińskich, czyli olsztyńskiego, braniewskiego, lidzbarskiego i reszelskiego, znajduje się dzisiaj 1600 kapliczek i 1000 krzyży przydrożnych.

Starą i piękną tradycją warmińską są „łosieri”. Dzisiaj już jej niestety nie ma i mało kto ją zna. W warmińskiej gwarze słowo to oznacza ofiarę, tak nazywa się też pielgrzymki. Mieszkańcy warmińskich wiosek udawali się przy okazji odpustów, świąt do jednego z sanktuariów z określoną intencją. Była jedna intencja wspólna dla każdej wioski i te osobiste. Pątnicy wędrowali leśnymi i polnymi drogami, pośród malowniczej warmińskiej przyrody ze śpiewem, prowadzeni przez tzw. przewodnika, który zachęcał pielgrzymów do modlitwy i śpiewu. Pielgrzymi nieśli ze sobą „łosierkę” – specjalną świecę składaną w darze u kresu wędrówki. Po dotarciu na miejsce i wysłuchaniu Mszy św. odbywały się „kiernasy” – uroczyste przyjęcia organizowane w domach okolicznych mieszkańców – krewnych pątników. „Łosierzy” zmierzały do Bartąga, Klewek, Świętej Lipki, Krośna, Stoczka Klasztornego (Warmińskiego), no i oczywiście do Gietrzwałdu.

W warmińskie niebo strzelają wieże starych gotyckich świątyń. Dużą wartością odznacza się kolegiata w Dobrym Mieście, także katedry w Lidzbarku Warmińskim, we Fromborku czy kolegiata w Ornecie. W żadnym innym regionie Polski nie ma tylu pereł architektury sakralnej co tutaj. Ślady dawnej świetności warmińskiego państewka biskupiego można odnaleźć m.in. w Reszlu, Barczewie, Braniewie, Jezioranach.

Podczas pielgrzymki do ojczyzny w 1991 roku, pierwszej po odzyskaniu przez nasz naród suwerenności, Ojciec Święty Jan Paweł II w homilii wygłoszonej w Olsztynie mówił: „Warmia była zawsze wierna Bogu i Kościołowi katolickiemu, zasługując na zaszczytne miano Świętej Warmii. Świadczą o tym liczne kościoły, kaplice i krzyże przydrożne, kult Męki Pańskiej, w szczególności cześć oddawana Matce Najświętszej w Gietrzwałdzie, Świętej Lipce, Krośnie i Stoczku Warmińskim”.

► Nie smućcie się, bo ja zawsze będę przy was

Matka Boża objawiła się po raz pierwszy 27 czerwca 1877 roku Justynie Szafryńskiej wracającej z kościoła w Gietrzwałdzie do domu. Akurat dziewczynka

zdała egzamin u ks. proboszcza Augustyna Weichsła promujący ją do I Komunii Świętej. Kiedy na głos dzwonu odmówiła modlitwę Anioł Pański, na klonie rosnącym nieopodal plebanii ujrzała niecodzienną jasność, a w niej na biało ubraną postać siedzącą na tronie przystrojonym perłami. Po chwili pojawił się jasny blask zstępujący z nieba i anioł ze złotymi skrzydłami w białej szacie. Po odmówieniu przez Justynę Pozdrowienia Anielskiego, postać podniosła się z tronu i wraz z aniołem uniosła się do nieba. Objawienia Matki Bożej trwały do 16 września. Matka Boża w czasie kolejnego objawienia zapowiedziała, że będzie się tutaj pojawiała przez dwa miesiące. Odebrane to zostało zapewne przez wiernych jako zaproszenie do Gietrzwałdu. W ciągu dwóch miesięcy przybyło tu z trzech zaborów ponad 300 tys. pielgrzymów. Docierali tutaj mimo wielu trudności, dolegliwości. Pruscy żandarmi, urzędnicy robili wszystko, by powstrzymać ruch pielgrzymkowy.

Justyna Szafryńska opowiedziała o wydarzeniu ks. proboszczowi Weichsłowi. Kapłan polecił dziewczynce przyjść następnego dnia w to samo miejsce. Gdy odezwały się dzwony na Anioł Pański, drzewo klonu rozbłysło światłem. Wokół drzewa utworzył się złoty krąg, a na jego tle pojawił się złoty tron, do którego dwaj aniołowie przyprowadzili Najświętszą Maryję Pannę. 30 czerwca Matka Boża objawiła się sama, aniołowie Jej nie towarzyszyli. Tego też dnia po raz pierwszy miała wizję Barbara Samulowska, koleżanka Justyny. Obie dziewczynki pochodziły z warmińskich rodzin o polskich korzeniach.

W czasie objawień Matka Boża odpowiadała na pytania zadawane przez dziewczynki, a podsuwane przez księdza proboszcza, miejscowych parafian i pielgrzymów. Na pytanie Justyny Szafryńskiej zadane 1 lipca, kim jest, Matka Boża odpowiedziała: „Jestem Najświętsza Panna Maryja Niepokalanie Poczęta”.

Wiele pytań dotyczyło osobistych, często prozaicznych spraw, problemów Warmiaków, pielgrzymów zza kordonu. Dziewczynki pytały choćby o zbawienie jakichś konkretnych osób, o to, czy wyzdrowieje jakaś osoba. Wierni pytali też, czy do parafii powrócą księża prześladowani, aresztowani przez pruskich urzędników. Matka Boża na każde pytanie odpowiadała cierpliwie, zrozumiale. Powiedziała również dziewczynom: „Nie smućcie się, bo ja zawsze będę przy was”.

Gazety niemieckie w sposób kpiący, bardzo krytyczny pisały o objawieniach. Dziennikarze zarzucali dziewczynkom oszustwo, a gietrzwałdzkiego proboszcza oskarżali o szeregienie religijnego szalbierstwa. W artykułach domagali się, aby biskup warmiński Filip Krementz zabronił szeregienia, niebezpiecznego ich zdaniem, kultu Matki Bożej Gietrzwałdzkiej. Pro-

boszcz Weichsel w sprawozdaniu do księdza biskupa napisał: „Co do mnie, to jestem całkowicie przekonany o rzeczywiście zachodzącym objawieniu, częściowo kiedy patrzę na dzieci, z twarzy których można wyczytać niewinność, szczerść, owszem prostotę dziecięcą, częściowo poruszony do wiary przez inne okoliczności, gdy przyszli do mnie ludzie, a można o nich mówić otwarcie, kiedy odbyli tu podróż przywiedzeni łaską Bożą”. 6 września 1877 roku w miejscu, gdzie dzieciom ukazywała się Matka Boża, umieszczona została kapliczka z figurą Najświętszej Marii Panny. Została ona wykonana w Monachium, stolicy Bawarii, która jest katolickim krajem.

Ksiądz biskup Krementz wysłał też do Gietrzwałdu najbardziej doświadczonych kapłanów, by ci przyrzekli się sprawie objawień. Wszyscy potwierdzili ich wiarygodność. Chociaż byli niemieckiego pochodzenia, to powiedzieli, że Matka Boża rozmawia z dziewczynkami w języku polskim. Kanonik August Wunder: „Co się tyczy mojej osoby, na podstawie wypowiedzi dzieci nie ma żadnej wątpliwości”. Ksiądz Augustyn Kolberg z Seminarium Duchownego Hosianum w Braniewie: „Krótko mówiąc, całe zachowanie się dzieci jest takie, że nie można podejrzewać je o oszustwo, o symulowanie. Tak też się wypowiedziała ogólna opinia kapłanów, którzy widzieli dzieci”. Najwybitniejszy ówczesnie teolog na Warmii, ks. Franciszek Hipler, członek Polskiej Akademii Umiejętności: „mnożą się uderzające uzdrowienia, coraz więcej utwierdzać będą wszystkich w moim przekonaniu, że do wytłumaczenia takowych naturalne nie wystarczają”.

Objawienia gietrzwałdzkie były też podważane przez niektórych kapłanów katolickich, co bardzo bolało ks. Augustyna Weichsła. Ten duchowny (1830–1909) miał bardzo duże zasługi w upowszechnianiu przesłania Matki Bożej Gietrzwałdzkiej (1830–1909 r.). Prawie czterdzieści lat pełnił posługę kapłańską w Gietrzwałdzie. Pochodził z rodziny niemieckiej, od lat zamieszkałej w Pieniężnie, ale wspierał Polaków w ich przywiązaniu do wiary i języka ojców. Wydarzenia gietrzwałdzkie przeżył bardzo głęboko, starał się je pilnie obserwować i propagować. Władze pruskie poddały go za to różnym represjom, nawet z osadzeniem w więzieniu, nakładaniem grzywien i zawieszaniem w możliwościach wypełniania posługi duszpasterskiej.

► Niepodległość wyszła z Gietrzwałdu

Kilka miesięcy temu ukazała się książka ks. prof. Krzysztofa Bielawnego o znamienym tytule „Niepodległość wyszła z Gietrzwałdu”. Ksiądz prof. Bielawny od kilkunastu lat jest mieszkańcem Gietrzwałdu,

gdzie pełni funkcję dyrektora Archidiecezjalnego Domu Rekolekcyjnego. Objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie nazywa pokojową rewolucją duchową. O pątnikach docierających do miejsca objawień pisze tak: „Był to ruch spontaniczny, przez nikogo niekontrolowany. Polacy zamiast miecza otrzymali bardzo konkretną broń – różaniec, który ponieśli do swych domostw i parafii. Modlitwa różańcowa stała się dla milionów Polaków codziennym zadaniem. Do 1918 roku Polacy nie zorganizowali żadnego zbrojnego powstania niepodległościowego, a jedynym zrywem, w którym uczestniczyli, była pokojowa rewolucja duchowa, która zmieniła oblicze moralne, duchowe, społeczne i polityczne polskich rodzin. W orędziu gietrzwałdzkim otrzymaliśmy także katalog naszych słabości, które upokarzają człowieka, a więc: grzechy, pijaństwo, rozwiązłość. Pius IX wskazał na największego naszego wroga, jakim jest grzech. To te słabości niszczyły rodziny. [...] W drodze do niepodległości Polski, poza powstaniem, nie mamy bardziej spektakularnego wydarzenia niż masowy ruch pątniczy do Gietrzwałdu, a objawienia Matki Bożej w 1877 r. są nieporównywalne z niczym”.

W polskiej historiografii objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie są kompletnie pominięte, zlekceważone. Nie ma na ich temat nawet jednego zdania. Historycy nie dopatrzili się, by miały one jakiegokolwiek znaczenie pozareligijne, które warto byłoby odnotować. Może nie uchodziło uczonym wspominać o tym wydarzeniu, bo zaszkodziłoby to ich reputacji.

Ciągle nie zdajemy sobie sprawy, że dzięki Boskiej mocy sprawczej, gietrzwałdzkim objawieniom nasi przodkowie podnieśli się z kolan, podnieśli się z największego upadku Polski od czasów zaborów. Kiedy polskość, wszystko co polskie, było szargane, opluwane, okazało się, że tam – w Niebie, mówi się po polsku, że po polsku mówi Matka Boża, której możemy w modlitwie powierzyć swoje troski, smutki, bo Ona nas rozumie, a my Ją. Władze pruskie odebrały objawienia gietrzwałdzkie jako pójciek, starały się za wszelką cenę powstrzymać lawinę pątników. Ani kapłani, ani wierni nie dali się zastraszyć karami, represjami. Mimo licznych przeciwności jedna dziesiąta ówczesnej populacji Polaków dotarła do Gietrzwałdu, do świętego miejsca. Do swoich domów wrócili już nie ci sami – pokrzepieni, ze wzmocnioną wiarą, wyprostowani. Bycie Polakiem znów jak ongiś stało się powodem do dumy. Przesłanie Matki Bożej przekazały swoim bliskim, sąsiadom. Wiara i modlitwa okazały się silnym orężem w walce z zaborcami. ■

Bibliografia: Ks. Krzysztof Bielawny, „Niepodległość wyszła z Gietrzwałdu”, Warszawa 2018; Ewa Polak-Palkiewicz, „Bitwa o Gietrzwałd. Tryumf Królowej”, Wydawnictwa AA, Kraków 2018.



Rafał Sierchuła

PATRIOTA DO KOŃCA

Był żarliwym duszpasterzem i cenionym kaznodzieją. Aresztowany za działalność konspiracyjną z Pawiaka trafił do Poznania, gdzie gestapowcy zgotowali mu ciężkie śledztwo. Według najnowszych badań za działalność dla ojczyzny ojciec Julian Mirochna został zamordowany w tajnej egzekucji w 1942 roku.

Zycie ojca Juliana Mirochny (1903–1943) było bardzo aktywne w wielu sferach jego działalności. W aspekcie religijnym, społecznym, politycznym czy też najbardziej frapującym – konspiracyjnym w okresie II wojny światowej.

► Wyjątkowy duszpasterz

Urodził się 31 sierpnia 1903 roku w Bochni. Był synem Wojciecha, piekarza, i Marii z domu Kawa. W Bochni ukończył szkołę powszechną oraz Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego. 19 października 1918 roku wstąpił do zakonu franciszkanów konwentualnych we Lwowie. Przyjął imię zakonne Julian. Tam rok później, 26 października 1919 roku, złożył pierwszą profesję kapłańską, a w styczniu 1920 roku został członkiem powołanego przez o. Maksymiliana Kolbego Rycerstwa Niepokalanej. Następnie został przeniesiony do Krakowa, gdzie odbył studia filozoficzno-teologiczne w seminarium franciszkańskim. 6 czerwca 1926 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Wspominał o nim kilkakrotnie w swojej korespondencji Maksymilian Kolbe. Pierwszą placówką o. Juliana był klasztor w Horyńcu Zdroju, w którym pracował w latach 1926–1928. Następnie został przeniesiony do klasztoru w Jasle, gdzie pracował w latach 1928–1929. Później znalazł się w Łagiewnikach koło Łodzi, pełniąc obowiązki prefekta szkoły parafialnej w latach 1929–1932. Potem został skierowany do klasztoru w Gnieźnie i tam pełnił funkcję wikariusza parafii, patrona organizacji – Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej im. św. Kazimierza – i równocześnie dyrektora chóru kościelnego w latach 1932–1933. W 1933 roku po raz drugi został skierowany do pracy w klasztorze w Łagiewnikach, tym razem będąc sojuszem magistra nowicjatu, a później wikariuszem parafii. Posługiwał tu także przez głoszenie nauk rekolekcyjnych. Do 1935 roku pełnił posługę w klasztorze Franciszkanów w Łagiewnikach koło Łodzi.

Był żarliwym duszpasterzem, cenionym kaznodzieją i rekolekcyjnistą. Niektóre jego kazania były publikowane w „Rycerzu Niepokalanej” i „Pochodni Serafickiej”. Napisał również artykuł o pracy misyjnej franciszkanów konwentualnych w Japonii.

Od 1935 roku pełnił funkcję gwardiana kaliskiego konwentu. Był również opiekunem i dyrygentem Chóru Mariańskiego, działającego przy kościele oo. Franciszkanów. Wraz z nim uczestniczył w licznych koncertach, przedstawieniach i misteriach pasyjnych.

► Działalność polityczna

Od 1934 roku był członkiem Stronnictwa Narodowego. Jego działalność polityczna związana była z po-

slugą kapłańską w Kaliszu. Jesienią 1935 roku w wyniku reorganizacji struktur SN w kraju utworzono Zarząd Okręgowy (ZO) SN w Kaliszu. Był to najmniejszy okręg w Polsce, obejmował powiat kaliski i turecki. Na jego czele jako prezes stanął lider kaliskiego SN, długoletni działacz społeczny i narodowy Ignacy Władysław Chrystowski (1882–1938).

W styczniu 1937 roku utworzono w ZO Wydział Gospodarczy, którego kierownictwo objął Mirochna. Funkcję tę sprawował do czerwca. We wrześniu 1937 roku Mirochna został prezesem Zarządu Grodzkiego SN w Kaliszu. Funkcję pełnił do lutego 1938 roku.

W latach 1936–1938 na terenie Okręgu Kaliskiego SN doszło do lekkiego załamania organizacyjnego. Z 71 kół SN i 2700 działaczy w 1936 roku, w następnych latach (1937–1938) liczba placówek spadła do 67 i 2590 członków. Konkurencją dla SN w powiatach stanowiło Stronnictwo Ludowe. Wsparciem dla Narodowców był szereg bliskich im organizacji ideowych, m.in. Narodowa Organizacja Kobiet, Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowe Nauczycieli Szkół Powszechnych, Towarzystwo Powstańców i Wojaków im. Cypriana Godebskiego, Związek Ziemianek. W ostatnim roku (1938) przed wybuchem wojny w Kaliszu i powiecie kaliskim powstały organizacje związkowe związane z narodową demokracją – pięć oddziałów Związku Zawodowego „Praca Polska” oraz Związek Polski – organizacja zajmująca się osadnictwem wielkopolskich kupców i rzemieślników na terenie centralnej i wschodniej Polski.

► W Kraj Warty

W związku z wybuchem wojny działalność polskich organizacji społecznych czy partyjnych została zahamowana i przybrała charakter działań konspiracyjnych. 8 października 1939 roku na mocy zarządzenia Adolfa Hitlera utworzono cztery nowe jednostki administracyjne III Rzeszy: dwa okręgi Gau Danzig-Westpreussen i Reichsgau Posen oraz dwie rejencje – katowicką i ciechanowską. Nazwę Reichsgau Posen (Okręg Rzeszy Poznań) zmieniono 29 stycznia 1940 roku na Reichsgau Wartheland (Okręg Rzeszy Kraj Warty).

Po wkroczeniu Niemców ludność Wielkopolski spotkał najtragiczniejszy w jej dziejach los. Wprowadzony od razu system okupacyjny był obliczony na szybkie zniesienie regionu. Eksterminacje inteligencji, wywózki, deportacje, aresztowania stanowiły codzienny koszmarny polskiej ludności. Zarówno Polacy, jak i hitlerowska służba bezpieczeństwa przyrównywały Kraj Warty do obozu karnego. Pomimo terro-

ru w Wielkopolsce rozwinęły swoje ekspozytury główne struktury Polskiego Państwa Podziemnego oraz organizacje regionalne i lokalne.

W październiku 1939 roku rozpoczęła pracę konspiracyjną grupa działaczy endeckich w Kaliszu. Zorganizowano polityczno-wojskową organizację pod nazwą Organizacja Jedności Narodowej (OJN). Na jej czele stanął działacz SN por. Antoni Strzelczyk „Kazik”, w gronie kierowniczym znaleźli się ks. Julian Mirochna „Kawa”, „Kawka”, Antoni Lutosławski, Marian Karnage, ks. Stanisław Zaborowicz oraz jako komendant wojskowy mjr Tomasz Stengert „Siwy”. Organizacja wydawała pisma „Jedność Narodowa” i „Armię Narodową”, obejmowała swoim zasięgiem tereny powiatów: kaliskiego, ostrowskiego, tureckiego.

Najważniejszym ośrodkiem pracy konspiracyjnej w Kaliszu był klasztor Ojców Franciszkanów, gdzie prowadzono nasłuch radiowy i przygotowywane było konspiracyjne pismo. Obszar Kalisza podzielono na 13 rejonów w systemie piątkowym.

► „Kawka” ucieka w przebraniu

Działalność organizacyjną o. Julian Mirochna rozpoczął w styczniu 1940 r. W tym czasie nawiązano kontakty z ostrowską Tajną Organizacją Wojskową, którą sobie podporządkowano. W lutym 1940 roku nastąpiły pierwsze spotkania z członkami Narodowej Organizacji Bojowej z Poznania. Początkowo prowadzone rozmowy nie dawały pozytywnych wyników, gdyż OJN chciała prowadzić działalność samodzielną. Ostatecznie jednak to w Poznaniu powstał główny ośrodek decyzyjny na ziemiach zachodnie.

Jesienią 1940 roku struktura kaliska została włączona w skład NOB, zachowując jednak nadal swoją odrębność. Ojciec Julian Mirochna objął funkcję kierownika Działu Opieki Społecznej.

Od grudnia 1940 roku rozpoczęły się pierwsze aresztowania w strukturach konspiracyjnych w Poznaniu, a od lutego 1941 roku w Kaliszu. W ich wyniku zatrzymani zostali konspiracyjni komendanci powiatów: kaliskiego i tureckiego, 16 komendantów rejonowych. Wśród nich znalazło się ponadto czterech zakonników. W klasztorze, w którym prowadzono nasłuch radiowe i wydawano gazetkę „Jedność Narodowa”, gestapo 28 lutego 1941 roku odkryło magazyny broni i odbiorniki radiowe oraz inne materiały obciążające o. Juliana Mirochnę. W czasie rewizji klasztoru „Kawce” udało się zbiec w przebraniu. W odwet za udział franciszkanów w działalności konspiracyjnej Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy zlikwidował na terenie Kraju Warty działalność zakonu.

► Wściekle psy gestapo

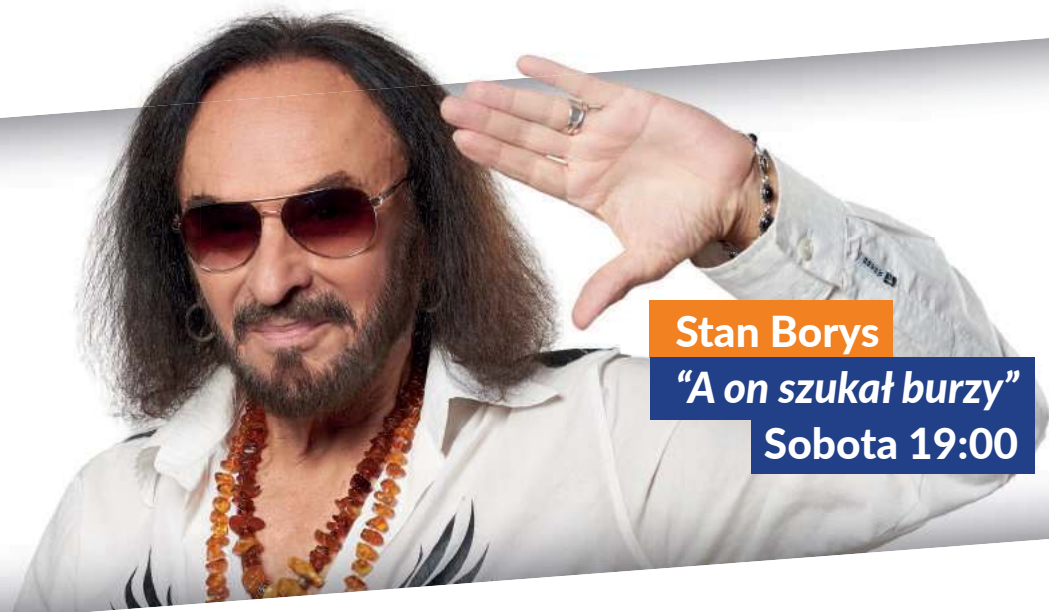
Dzięki pomocy dr. Stanisława Nowaka, jedyne go Polaka mającego zgodę w Kaliszu na posiadanie samochodu, o. Mirochna uciekł w lutym do Warszawy. Był jedynym członkiem kierownictwa organizacji z Poznania i Kalisza, który ocalał. W stolicy konspiracyjni przedstawiciele Zarządu Głównego SN nakazali mu podjąć próbę odbudowy struktur w Wielkopolsce. Kolejne fale aresztowań, do jesieni 1941 roku, praktycznie położyły kres istnieniu narodowej konspiracji. W toku prowadzonych działań śledczych funkcjonariuszom gestapo udało się ujawnić przywódczą rolę w organizacji o. Mirochny. Za pomoc w jego ujęciu lub za wskazanie jego adresu wyznaczono nagrodę w wysokości 25 tys. marek. Zakonnik został aresztowany 21 listopada 1941 roku w Warszawie w kawiarni Antoniego Leżańskiego przy ul. Marszałkowskiej 83, w wyniku niemieckiej prowokacji. Po początkowym pobycie w więzieniu na Pawiaku, w styczniu 1942 roku o. Mirochna został przewieziony do Poznania i tam przechodził ciężkie śledztwo w siedzibie gestapo w Domu Żołnierza w Poznaniu. Pomiedzy przesłuchaniami przebywa w Forcie VII. Zmaltretowanego więźnia spotkał w szpitalu franciszkanin Hilarius Breitingner. Tak to wspominał: „Za wiedzą [personelu medycznego] miałem udzielić ostatniej posługi człowiekowi z pokoju nr 2. W pokoju leżał na łóżku mężczyzna przykuty za jedną rękę do ściany. Z przerażeniem rozpoznałem w nim polskiego brata z zakonu ojca Juliana Mirochnę, który ostatnio pełnił funkcję gwardiana w naszym klasztorze w Kaliszu. »Julian, ty jesteś tu« – zawołałem pełen podniecenia. »Tak – odpowiedział – gestapo w Fortcie VII (który był znaną katownią) poszczuło mnie wściekłymi psami, które tak mnie urządziły. Nie pozwolili mi jednak umrzeć, ponieważ oczekują ode mnie nazwisk, a ja ich nie znam«. Wyspowiadałem go i udzieliłem mu Świętej Komunii. Udzieliłem mu również Ostatniego Namaszczenia. Tydzień później jeszcze raz przystąpił do komunii. Wrzuszony dziękował mi i wypowiedział słowa: »Teraz jestem gotowy na śmierć«”.

Po podleczeniu był ponownie przesłuchiwany przez gestapo. W połowie 1942 roku ślad po nim zaginął. Z najnowszych ustaleń wynika, iż o. Mirochna został zamordowany w grupie ośmiu działaczy konspiracyjnych (m.in. z delegatem rządu Adolfem Bnińskim) w tajnej egzekucji z 7 na 8 lipca 1942 roku. ■

Autor jest historykiem, dr. nauk humanistycznych, współautorem, redaktorem i współredaktorem publikacji dotyczących historii obozu narodowego, pracownikiem poznańskiego oddziału Instytutu Pamięi Narodowej.

Gramy Dla Ciebie!

#RDCznani



Stan Borys

"A on szukał burzy"

Sobota 19:00

Posłuchaj nas:

101 FM WWW.RDC.PL/RDCPLAYER



Sprawdź nas:
facebook.com/radiordc

Zeskanuj kod QR



POLSKIE RADIO



Radio dla Ciebie

Magdalena Złotnicka
dziennikarka TVP3 Warszawa



PUZON, DRAŃ I ARMIA NIEBOSZCZYKÓW

Jerzy Waldorff zaparł się, że wykupi zakopiańską willę Atma i zrobi w niej Muzeum Karola Szymanowskiego. W tym celu ogłosił zbiórkę publiczną. Któregoś dnia zgłosił się do niego przedstawiciel kapeli grającej rock and rolla zwącej się Niebiesko-Czarni i zaproponował 30 tys. zł na wykup Atmy, o ile Waldorff zapowie koncert zespołu w Sali Kongresowej PKiN. Ten się zgodził. W dniu koncertu wyszedł przed kurtynę i usłyszał dziki ryk 4 tys. nastolatków. „Gdzie jest Puzon?” – darła się młodzież, dopytując się w ten sposób o legendarnego jamnika Waldorffa. „Kochani! Gdyby dzisiaj żył Szymanowski, to komponowałby wyłącznie rock and rolla. A Puzon zawsze z wami” – odwrzasnął i dostał gromkie brawa.

Listopad, czyli miesiąc naznaczony przez zmarłych, począwszy od ich święta, Dnia Zadusznego, po zamierające drzewa, które pokrywają ulice żółto-czerwono-brązowym kobiercem liści. Listopad, miesiąc cmentarzy, bo u jego początku nekropole mają swój wielki dzień, rozbłyskują milionami świateł, mienia się wszystkimi kolorami kwiatów. Cmentarze, miejsca pamięci.

Stare Powązki odwiedzam w Dzień Zaduszny, leży tam część rodziny, w tym niesamowicie utalentowana ciotka Asia, której wielką karierę przerwała przedwczesna śmierć. Jednak Powązki odwiedzam często nie tylko z myślą o niej. Cmentarz, położony przecież tak blisko ronda Radosława i szumiącego centrum handlowego, to ojczyzna ciszy. Na grób ciotki chodzę zawsze naokoło, po drodze czytam nazwiska na starych grobach, oglądam płaskorzeźby i pomniki, przez trwający od czasów szczepień sentyment zapalam świeczkę u Kaliny i Dygata.

Te pomniki, spacer i zbieranie myśli zawdzięczam – jak zresztą cała Polska – w dużej mierze Jerzemu Waldorffowi, który przez lata jak lew walczył o to, by pozyskiwać pieniądze na ratowanie cmentarza. Bardzo chciałabym napisać liryczny tekst o bohaterze walczącym o pamięć, ciepłą sylwetkę człowieka. Tyle że mam z Waldorffem problem i to wielowymiarowy.

Pewien wymiar tego problemu odzwierciedla anegdota o koncercie Niebiesko-Czarnych, którą sam Waldorff opowiadał Sylwiuszowi Dworakowskiemu z „Kuriera Porannego”, w wywiadzie z października 1996 roku, wspomina ją zresztą także autor obszernej biografii Waldorffa „Ostatni baron PRL-u” Mariusz Urbanek, którego publikacja była dla mnie nieocenioną kopalnią faktów i dat. Anegdota pokazuje bowiem, że Waldorff, który Szymanowskiego cenił zdecydowanie wyżej niż rock and rolla, potrafił się nagiąć, kiedy uważał, że gra jest tego warta. I takie właściwie było całe jego życie.

► Sztuka, chłopcy i faszysty

Na świat przyszedł 4 maja 1910 roku w Kościelnej Wsi na Kujawach. Ojciec, Witold Preyss, w przeszłości był jednym z bliższych współpracowników Williama Lindleya, matka zaś, Joanna Wróblewska z Szustrow, jego druga żona, studiowała w Paryżu i w związku z tym miała nieco zszarganą opinię. Urbanek podaje, że para poznała się, kiedy Witold przywoził na pensję Zofii Kurmanowej swoją córkę z pierwszej żony. Joanna zaś była tam nauczycielką. Było to typowe małżeństwo z rozsądku, które zresztą okazało się całkiem udane. Ale wróćmy do samego Jerzego Preysa, szerzej znanego jako Waldorff. Jego dzieciństwo związane było z Wielkopolską – uczył

się najpierw w Gimnazjum w Trzemesznie, później zaś w Gimnazjum św. Marii Magdaleny oraz Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Rok przed maturą poznał Isia, który podobnie jak on uczestniczył w lekcjach tańca. Jak podaje Urbanek, Isio wzbudził uznanie dziewcząt i zawiść chłopców. Na dokładkę pochwalili się, że przeczytał „Kapitał” Marksa. A kiedy zapytał, czy jeszcze ktoś to czytał, okazało się, że nikt się nie zgłasza. Wówczas wyrwał się Waldorff, który książki oczywiście nie czytał, ale chciał zaimponować koledze. Jednak jeden z chłopców, zresztą zacięły wróg Waldorffa, uznał, że ten chce się popisać nie przed Isiem, lecz przed pewną panną. Dał mu do zrozumienia, żeby się od niej odczepił, po lekcjach chciał brać się nawet do rękoczynów, lecz wówczas przyszedł Isio. I tak się zaczęło, zwłaszcza że szybko wyznali sobie, iż tak naprawdę Marksa nie czytał żaden. Koleżeństwo przetrwało nie tylko maturę, lecz także początek studiów. Podczas wyjazdu na Capri w któreś z kolejnych wakacji Waldorff – jeśli wierzyć temu, co opisywał w osnutej na motywach autobiograficznych powieści „Fidrek” – chciał pocałować Isia. Ten jednak uciekł. Waldorff opuścił Capri następnego dnia. Z Isiem spotkali się dopiero pod koniec życia, wówczas okazało się, że doszło do nieporozumienia, a fascynacja była obustronna. Ale było już za późno, bo w życiu Waldorffa od dawna królował inny mężczyzna.

Co do studiów, Waldorff rozpoczął jednocześnie prawo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, które z sukcesem ukończył, i studia muzyczne w Konserwatorium Poznańskim. W 1932 roku umarł jego ojciec, z którym stosunki nie układały się najlepiej. Jerzy przerwał studia muzyczne, do których już nie wrócił. A przerwał je dlatego, że musiał odbyć obowiązkowe przeszkolenie wojskowe. Urbanek podaje, że przyszedł autor „Sekretów Polihymnii” wspominał szkolenie wojskowe w 11 Pułku Ułanów w Grudziądzu jako „połączenie zadziornej fantazji z koszmarem”.

W 1934 roku przeniósł się z matką oraz siostrą do Warszawy, miasta, w którym spędził większość życia. W stolicy chciał być jednocześnie prawnikiem i literatem. Aplikację adwokacką rozpoczął w kancelarii prof. Włodzimierza Kozubskiego. Prawie jednocześnie zaczął pisać recenzje muzyczne do „Kuriera Porannego”. I tu właśnie pojawił się „Waldorff”. Adwokat Jerzy Preyss – jak zaznacza Urbanek – nie chciał uchodzić za najlepszego muzyka wśród adwokatów i najlepszego adwokata wśród muzyków. Dlatego też pisać zaczął pod nazwiskiem, pod którym przeszedł do historii. A które w rzeczywistości było jedną z nazw herbu, jakim ród, z którego Jerzy się wywodził, pieczętował się w przeszłości.

Jaki był ów Waldorff w latach młodości? Na pewno świetnie wykształcony, na co duży wpływ mia-

ły liczne podróże. „Pamiętam, gdy miałem około dwudziestu lat, rodzice wysłali mnie za granicę, ponieważ mądra matka wiedziała, że co obejrzę w młodości, zostanie mi jako kapitał pamięci na całe życie. I tak co roku wyjeżdżałem do Paryża, do Rzymu lub Niderlandów – żeby oglądać galerię malarstwa, bywać na koncertach itp.” – wspominał w wywiadzie zatytułowanym „Ojczyzna Pamięci”, który ukazał się 11 grudnia 1996 roku na łamach „Literatury”. I opowiadał, że w tych podróżach nigdy nie mógł wytrzymać dłużej niż półtora miesiąca. „Zaczynały mnie boleć uszy z braku zgrzytliwych polskich spółgłosek. Wsiadałem do pociągu i w Zbąszyniu rzucałem się na szyję celnikowi, bo on mówił ż, sz, cz. A celnicy byli wówczas gorsi niż dzisiaj... Nie, nie mogę wytrzymać bez Polski” – zaznaczał.

Pisanie chyba szło mu nieźle, bo dochrapał się stanowiska szefa działu muzycznego w „Kurierze”. Rozpoczął także współpracę z tygodnikiem „Prosto z mostu”, którym dowodził Stanisław Piasecki. Tam poznał zresztą Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Z tygodnika odszedł w 1938 roku, ze względu na radykalizację pisma.

Co ciekawe, latem 1937 roku odwiedził Włochy. Owocem tej podróży była książka „Sztuka pod dyktandem”, która stanowiła pochwałę rozwoju sztuki pod panowaniem Benita Mussoliniego. Ostatni rozdział – co podkreśla zresztą Urbanek – zaznaczał co prawda, że sztuka potrzebuje wolności, ale sprawiał wrażenie doklejonego na siłę i raczej nie udało mu się zmienić ogólnego wydźwięku dzieła.

Dwa lata przed wybuchem wojny poznał tancerza Mieczysława Jankowskiego, oficjalnie przedstawianego jako cioteczno go brata bądź kuzyna. „Micio”, jak o nim mówili znajomi Waldorffa, pozostał u jego boku do końca życia. I nie miało znaczenia, że spora część rodziny traktowała Jankowskiego jeśli nie wrogo, to po prostu tak, jakby nie istniał. Wyjątek na tym tle stanowiła matka Jerzego, dla której Jankowski szybko stał się wręcz drugim synem. Zgodnie z testamentem Waldorffa to jego partner odziedziczył jego majątek. Został również wspólnie pochowany.

► Muzyka i wojna

Kiedy II wojna światowa krwawą bronią przeorała polskie ziemie, Waldorff przebywał w Warszawie. Mimo że usiłował znaleźć jednostkę wojskową, nie został zmobilizowany i nie trafił na front. Postanowił więc szukać Jankowskiego, w tym celu wyruszył do Wilna. Po odnalezieniu ukochanego wrócił z nim do stolicy.

Poczucie, że kulturę narodową należy ratować i kulturować w każdych warunkach, nie opuściło Waldorffa w czasie wojny. Już w 1941 roku zaangażował się

w organizowanie – oczywiście w konspiracji – obchodów rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego. Współdziałał także z podziemiem oraz z Główną Radą Opiekuńczą i organizował koncerty muzyki poważnej. Przy tej okazji wykazał się kiedyś szalenie odważnym poczuciem humoru. Jak pisze Urbanek, podczas jednego z koncertów – na które Niemcy wyrazili zgodę, że mają być to wydarzenia jedynie dla Polaków – na sali pojawił się Niemiec w mundurze. Co więc zrobił Waldorff? Ano odbił sobie za wszystkie „Nur für Deutsche” i ryknął nieszczęsnemu szkopowi: „Nur für Polen!”. Niemiec zaś wstał i karnie wyszedł.

Wielki zryw stolicy, Powstanie, które wybuchło 1 sierpnia 1944 roku, zastało go w Łomiankach. Tam spędzał czas, łapiąc informacje z zagranicy w radiu, a następnie przygotowując na ich podstawie komunikaty oraz pisać. Jak podaje na łamach „Życia Warszawy” z 7 lutego 2002 roku Tomasz Łada, to właśnie podczas pobytu w Łomiankach powstała „Godzina policyjna”. Jak zaznacza, prawdopodobnie tworzenie było dla Waldorffa „próbą odreagowania otaczającej go ponurej rzeczywistości. To przypuszczenie potwierdzają zarówno czas, miejsce akcji (Łomianki, lata II wojny światowej), jak i groteskowość w opisie sytuacji oraz pojawiających się postaci”. Łada charakteryzuje prozę jako „brutalną i cyniczną”, zaznacza, że pozbawiona jest tak bohaterstwa i bohaterszczyzny, pod dostatkiem za to „polskich archetypów” pełnych „pustych, nic nie znaczących gestów i jałowych rozmów”. I podkreśla, że protagoniści książki przede wszystkim starają się przetrwać. Książkę wydano już po wojnie, w 1948 roku. Na razie jednak upadło Powstanie Warszawskie, a Waldorff z Mieciem trafił do Stawiska, gdzie u Iwaszkiewiczów gnieździł się rozmaici literaci.

Po wojnie przez krótki czas przebywał w Łodzi, jednak „Głos Ludu”, gazeta stanowiąca organ PPR-u, wyciągnęła mu teksty przedwojenne, oskarżając o propagowanie faszyzmu. Urbanek, który opisuje tę sprawę, zaznacza zarazem, że w gazecie nie padło nazwisko, jednak wiadomo było, o kogo chodzi, tym bardziej, że pojawił się tytuł książki, przekreślony jednak na „Sztuka pod faszyzmem czy jakoś tak”. Chociaż Związek Zawodowy Muzyków poświadczył, że podczas wojny zachowywał się „jak prawy Polak”, ze znalezieniem pracy Waldorff miał trudności. Ostatecznie trafił do Polskiego Radia. W stolicy nie pozostał jednak długo. Z końcem 1945 roku trafił do Krakowa. To poznany jeszcze przed wojną Stefan Kisielewski ściągnął go do redakcji „Przekroju”. Pod pewnymi względami ten czteroletni – bo jak podaje Urbanek, do stolicy Waldorff wrócił w 1950 roku – epizod „przekrojowy” był kolejnym punktem w biografii, zabawnym, bo to i wygłupy w ramach istnienia kabaretu Siedem Kotów, który początkowo miał zwać się Zielona Gęś, i przekonanie Maria-

na Eilego, by ten przygarnął Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, którego rodzinie Waldorff pomagał, kiedy ten przebywał w stalagu. Zostały piękne legendy o dziennikarstwie przedwojennego sztychu, suto zakrapianym alkoholem, które zresztą zostały opisane w samym „Przekroju”, tyle że już w 1995 roku. W tekście z 10 października zatytułowanym „Waldorff w »Przekroju«”. Takie były zabawy w one lata...” znaleźć można barwny opis tego, jak to życie redakcji przenosiło się do Restauracji Europejskiej: „Cośmy w tej »Europejskiej« robili? – dalej redagowaliśmy »Przekrój«, odgadując jego następne numery, bez chwili przerwy w namysłach między jednym a drugim! Nigdy później się nie spotkałem w długim życiu z takim zadurzeniem w robocie, jak myśmy kochali nasz tygodnik, dumni z niego i uważni, aby nie zmieniać tradycyjnego dla polskiej kultury literackiej kursu: na Europę!”. Dalej można znaleźć wzmiankę o tym, że jednym z pomysłów Eilego było upowszechnianie sztuki Picassa, na które można było sobie pozwolić, ponieważ Pablo pojawił się osobiście na Kongresie Intelktualistów we Wrocławiu i w ogóle opowiadał się za „ideologią tej strony świata”.

Zarazem jednak czas w „Przekroju” łączy się z publikacjami niestawiającymi Waldorffa w korzystnym świetle. Trudno wytłumaczyć niektóre jego teksty z tego okresu. Chodzi przede wszystkim o wspomniany przez Urbanka artykuł „Granice konfesjonau”, w którym krytycznie odnosi się zarówno do księży walczących, jak i do przedstawicieli podziemia. Co ciekawe, ten właśnie rodzaj działalności w „Przekroju” wspominał Waldorffowi zaraz po śmierci Kazimierz Koźniewski, który w tekście „Waldorff prawdziwy” zamieszczonym na łamach „Trybuny” (22–23 stycznia 2000 roku) przypominał: „Waldorff [...] stale pisywał najbardziej polityczne sprawozdania z ówczesnych stalinowskich procesów sądowych przeciwko działaczom i oficerom AK, przeciwko londyńczykom, przeciwko księżom”. Koźniewski zaznaczał przy tym, że podobne teksty pisali wówczas wszyscy, w tym sam Koźniewski, jednak dla Waldorffa sprawa była szczególnie trudna i skrzętnie starał się ją ukryć. „W moim przekonaniu – potwierdził mi to kiedyś sam Waldorff – głównym powodem, dla którego w 1950 roku odszedł z »Przekroju« i wrócił do Warszawy, była chęć zerwania z taką właśnie ówczesną prorządową swoją publicystyką polityczną. Byłoby mu trudno się od niej uchylać, gdyby nadal był w »Przekroju«. Skorzystał z możliwości wyjazdu do Warszawy i odszedł z tygodnika” – zaznaczał na łamach „Trybuny”.

► Diabły, anioły i gafy

W Warszawie zatrudnił się w „Expressie Wieczornym”, od 1952 roku pracował znów w Polskim Radiu.

Najpierw jako kontroler audycji, później zaczął wyglądać felietony muzyczne. Cztery lata później wybór radiowych felietonów ukazał się jako książka „Sekrety Polihymnii”. To co Waldorff zrobił dla propagowania muzyki, zasługiwałoby na osobny artykuł i jego rola jest tu nie do przecenienia. Nie chodzi nawet o znawstwo Waldorffa, lecz o jego rolę jako propagatora sztuki. Bezbłędny bowiem Waldorff nie był, co wypominał mu chociażby Jarosław Iwaszkiewicz, recenzując jego książkę o dyrygentach i kompozytorach, zatytułowaną „Diabły i anioły”. Iwaszkiewicz swoją recenzję, zamieszczoną w „Życiu Warszawy” (4–5 lipca 1971 roku) nazwał „Diabły, anioły i chochliki”: „Ubóstwiałam prelekcje Waldorffa. Jego sposób mówienia, jego humor, jego zdrowy rozsądek sprawiają, że słucha się go zawsze z podziwem, czasem z zachwytem, zawsze z zaciekawieniem. Słynne są jego gafy, które stanowią o jeden powab więcej jego wypowiedzi. Ale moja wrodzona złośliwość lubi mu wypominać owe gafy” – pisał autor „Pani z Wilka”.

Nim jednak Waldorff wziął się do „Diabłów”, pisał recenzje muzyczne dla „Świata”, wydał zbiór felietonów drukowanych w „Przekroju”, a także książkę o Karolu Szymanowskim – „Gorzka sława”, którą napisał wspólnie z Leonią Grandstein. Jednak jego działalność nie ograniczała się tylko do pisania.

Jednym z jego bardziej znanych bojów jest wspomniana już na początku walka o Atmę. „Zaczęło się od willi »Atma« w Zakopanem, którą w trzydziestą rocznicę śmierci Szymanowskiego, czyli w 1967 roku zacząłem ratować w tym sensie, że ogłosiłem zbiórkę narodową, zebrałem pieniądze, i Atma została wykupiona, stając się oddziałem Muzeum Narodowego w Krakowie. Do dziś jest to Muzeum Szymanowskiego” – opowiadał Waldorff w cytowanym już wywiadzie udzielonym „Literaturze”. Urbanek w biografii Waldorffa przypomina, że całą akcję zainicjował Zdzisław Sierpiński, a Waldorff się w nią włączył. Jednak dopiero kiedy stanął na czele Komitetu Społecznej Akcji Atma, sprawa nabrała rozmachu. Urbanek podaje zresztą, że Waldorff ową zbiórkę przeprowadził nielegalnie. Ostatecznie jednak trwającą siedem lat zbiórkę zalegalizowano wstecznie – jak podaje biograf Waldorffa – dzięki porozumieniu Ministerstwa Kultury i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jakim cudem Waldorffowi uszło to na sucho? Władzom nie chciało się go ruszać, gdyż stanowił swego rodzaju wentyl bezpieczeństwa. Na podobnych zasadach mógł w Polsce Ludowej funkcjonować na przykład Kabaret Starszych Panów.

W 1969 roku, po rozwiązaniu redakcji „Świata”, związał się z „Polityką”, na łamach której pisał przede wszystkim o muzyce. Jak zaznacza Urbanek, szybko stał się jednym z popularniejszych autorów gazety. W owym czasie redaktorem naczelnym był Mieczysław

Rakowski, który od 1957 roku był pracownikiem politycznym Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie. Biograf Waldorffa przytacza wspomnienie Rakowskiego, który podkreślał, że chociaż redakcja widziała w nim krytyka muzycznego, to on w felietonach „dawał upust namiętnościom”, i „z punktu widzenia ortodoksji wypisywał »straszne rzeczy«, ale poważniejszych, godnych odnotowania, kłopotów z cenzurą przez niego nie mieliśmy”. Co ciekawe, po 1989 roku nie rozstał się z „Polityką”, nadal publikował na jej łamach felietony poświęcone kulturze, sztuce. Pisał w taki sposób, że nie sposób się nie uśmiechnąć. „Ja się pytam, czy leasing oznacza szczególnie figlarne uprawianie miłości oralnej, przy czym notebok służy zawodowym paniom do spisywania, ile razy leasingiem się zabawiano?... We Francji zdołano uchronić się przed komputerem nazywając go ordinator, u nas dodano internet, także gadżety na oznaczenie drobiazgów” – pomstował pod winietą „Okiem sępa” w felietonie zatytułowanym „Klap, klap!” z 27 grudnia 1997 roku, rozpisując się nad stopniowym zakrzaczeniem języka polskiego amerykańszczykami.

Jednocześnie łatwo znaleźć w życiorysie Waldorffa takie momenty, kiedy „za komuny” bał się wychylić. Urbanek przytacza opowieść Jerzego Kisielewskiego o tym, jak Waldorff okazał lojalność jego ojcu, jednemu z najbliższych swoich przyjaciół. Otóż Stefan Kisielewski, choć po wydarzeniach marca 1968 roku był objęty zakazem publikacji, wysłał pod pseudonimem „Jerzy Mrugacz” utwór na festiwal pianistyczny w Słupsku, który prowadził Waldorff. Kiedy zaś domniemany Mrugacz otrzymał jakąś nagrodę, Waldorff ogłosił, że ów nikomu nieznany laureat otrzymał gratulacje i kwiaty od samej Julii Hołyńskiej. Ci, którzy wiedzieli, że owa „Julia Hołyńska” to pseudonim Kisielewskiego z „Tygodnika Powszechnego”, mogli zorientować się, o co chodzi.

Ponadto w 1976 roku Waldorff podpisał „Memoriał 25”, który wyrażał sprzeciw muzyków wobec zmian w Konstytucji PRL, zakładającym, że Polska jest państwem socjalistycznym, a PZPR przewodnią siłą społeczeństwa w budowie socjalizmu, PRL zaś w swej polityce umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Sowietkich. Za to akurat Waldorff dostał już po głowie – na kilka miesięcy objęto go zapisem cenzury, nie mógł pojawić się w radiu ani w prasie. Z kolei z okazji wprowadzenia stanu wojennego Waldorff sam przestał publikować czy pojawiać się w radiu.

► Pan od cmentarza

Jeśli chodzi o walkę o polską kulturę, nie można Waldorffa nie docenić. Poza wspomnianą już Atmą,

staczał także inne, w większości zwycięskie boje, m.in. o uratowanie pałacu myśliwskiego Radziwiłłów w Antoninie, o ustawienie w Ogrodzie Ujazdowskim pomnika Ignacego Jana Paderewskiego, o sprowadzenie prochów Stanisława Augusta Poniatowskiego do warszawskiej katedry czy ustawienie przy Belwederze pomnika marszałka Piłsudskiego.

Najmocniej kojarzony jest jednak z walką o cmentarz Powązkowski. Cała historia zaczęła się od tego, że Waldorff został członkiem Rady Kultury, zwołanej przez ówczesnego ministra kultury i sztuki Stanisława Wrońskiego. „Kto wtedy był ministrem, nie pamiętam. Zasada powoływania tegoż urzędu była następująca: jeżeli w rządzie jakiś polityk nie nadawał się absolutnie do niczego, jeżeli była to fujara kompletna albo i trąba, to wtedy powoływano go na Ministra Kultury i Sztuki” – wyjaśniał w cytowanym już wywiadzie udzielonym „Kurierowi Porannemu”. Tłumaczył, że znalazł się w sekcji literatury. Osobno funkcjonowała sekcja ratowania zabytków kultury narodowej, którą zawiadywał profesor Stanisław Lorentz. Waldorff zaczął uczęszczać na spotkania sekcji. Jak opowiadał Dworakowskiemu, zwrócił uwagę na stan Powązek, które praktycznie się rozpadają. Profesor miał mu wówczas odpowiedzieć: „A któż panu broni założyć sekcję ratowania Powązek?”. „Tak się zaczęło. W maju 1974 założyłem Społeczny Komitet Opieki nad Starymi Powązkami” – mówił Waldorff.

Urbanek w biografii Waldorffa zaznacza, że Lorentz próbował ratować Powązki już w latach 50., jednak władze nie były zainteresowane jego inicjatywą. Sytuacja zmieniła się, kiedy do akcji wkroczył Waldorff. Jak opowiadał „Literaturze”, pomysłu urządzenia kwesty podsunął mu sam Bolesław Prus – w „Lalce” jest przecież scena, w której Izabella Łęcka wraz z ciotką kwestuje w kościele św. Krzyża. Kiedy przychodzi Wokulski, to chcąc zrobić wrażenie na dziewczynie, rzuca na tacę złote imperiały. „Pomyślałem więc sobie, że wymarłej arystokracji nie wskresimy, złotych imperiałów też nie, ale możemy próbować sięgnąć do arystokracji talentów” – wspominał.

Nie było jednak łatwo. Jak wspominał Waldorff w „Polityce” (1 maja 1999 roku), rząd obawiał się, że celem działań komitetu będzie ratowanie grobowców międzywojennych dostojników, a ci nie byli najlepiej widziani przez ówczesne władze. Kuria Metropolitalna zaś podejrzewała Waldorffa o to, że wkroczył na stary cmentarz, aby... skomunizować go! „Przez pierwsze dwa lata cenzura miała nawet polecenie, żeby informacje o naszej akcji usuwać z prasy” – wspominał.

Historia kwest na Powązkach jest dobrze znana, gdyby chcieć ją zresztą dokładnie opisać okazałoby się, że zajmuje równie dużo miejsca, jak niniejszy artykuł, a i to byłoby zapewne jedynie muśnięcie tematu. War-

to jednak przytoczyć dwie anegdoty, które dobrze oddają realia kwest. Obie opowiedział Waldorff w rozmowie z „Literaturą”.

Otóż kiedy kuria przekonała się już do waldorffowej idei, to chciała pomóc. Pieniądzy nie miała, więc oddała Komitetowi do dyspozycji znajdującą się vis a vis cmentarza starą karawaniarnię. Waldorff pochwalił się tym na łamach „Życia Warszawy”. Zecer oczywiście się pomylił i z karawaniarni zrobiła się kawiarnia. Tymczasem w pomieszczeniach urządzone zostały nie bufet, a zakład konserwacji kamienia i zakład konserwacji metalu najnowszymi metodami, użyczonymi honorowo przez Instytut Mechaniki Precyzyjnej. Innym razem, kiedy to Komitet przyczynił się do odnowienia grobowca Łubieńskich, Waldorffa odwiedziła mała, szczupła, szlachetna staruszka i oświadczyła, że jest kanoniczką Łubieńską. „Przybyłam panom tylko bardzo podziękować, bo ja nie mam grosika” – powiedziała.

Oczywiście kwesty nie udałyby się, gdyby nie aktorzy, ale tych Waldorff też umiał podejść tak, że włączyli się w jego akcję. Jak wspominał na łamach „Polityki”, sceniczne wygi znalazły dla siebie po prostu nowe role – jałmużników.

► „Leż, draniu!”

Urbanek wspominał, że przed kamerami sędziwy już Jerzy opowiadał, że ułożył sobie epitafium na grób następującej treści: „Tu leży/Waldorff Jerzy/ który miał rząd w miniposzanowaniu/ Leż draniu!”.

Waldorff zmarł 29 grudnia 1999 roku, pochowano go oczywiście na Starych Powązkach. Zgodnie z jego wolą u jego boku spoczął także Mieczysław Jankowski.

Na wstępie zaznaczyłam, że mam problem z Waldorffem. Problem nawet nie w związku ze wspomnianymi artykułami z lat 50., choć oczywiście taki udział w najgorszej propagandzie uprawianej przez Polskę Ludową sympatii budzić nie może, lecz dlatego, że Waldorff do końca życia pozostał niejednoznaczny, uciekł w muzykę. Urbanek wspomina, że kiedy członkowie Akcji Alternatywnej Naszość w Paryżu obrzucili jajami Aleksandra Kwaśniewskiego, Waldorff pisał, że „pohańbili Polskę, w osobie Jej prezydenta”. Sama w Kwaśniewskiego jajami nie rzucałam, ale moja znajomość z Piotrkim Lisiewiczem zaczęła się, kiedy miałam 15 lat, a opowieść o owym rzucaniu była jedną z moich ulubionych, a sympatia – po stronie obrzucających.

Z drugiej jednak strony... po Waldorffie zostało „Słowo o Kisielu”, świetnym językiem pisana publicystyka i wdzięczna armia umarłych, którzy z całą pewnością stawili się z nim, gdy przyszło mu stanąć przed Bogiem. ■



**Urodzony
11 listopada,
by „Polskę
w sercu nosić”**

Agnieszka Kowalczyk

„Na samym brzegu
nowej epoki, w walce
o niepodległą Polskę,
przeszła promienna,
jak uśmiech słońca
na niebie, WIELKA
MŁODOŚĆ. Wplotła się
w rytm nieskończonych
marszów, w głuchy
odgłos armatnich
strzałów, w grzechot
karabinowego ognia,
w bolesny pobrzęk
kolczastych drutów,
w ciemną noc
emisariuszowskiej
wędrowki ku [...]
płomiennej wizji
własnego państwa
– żołnierska
i wodzowska, skromna
i genialna, niestrudzona,
a jakże owocna Wielka
Młodość Leopolda
Lisa-Kuli”.

W międzywojennej prasie z uznaniem pisało o „dzielnym chłopcu” Józefa Piłsudskiego, najmłodszym w historii wojska polskiego pułkownikowi, który, mając zaledwie 17 lat, wyruszył na wielką wojnę, by na legionowym szlaku bojowym zdobyć sobie sławę doświadczonego wojaka, co „śmiało się śmierci w oczy/ I z trudów wszystkich kpił./ Parł naprzód jak huragan/ I bił, i bił, i bił...”. Swą niebywałą odwagą, śmiałością i ułańską fantazją, a przede wszystkim geniuszem taktycznym i niezłomną wolą zwycięstwa wprowadził w zdziwienie niejednego legionowego wiarusa.

► Płynęła w nim żołnierska krew

Gdy w malowniczej wiosce Kosina pod Łańcutem na dobre rozpanoszyła się jesień, 11 listopada 1896 r. w skromnym wiejskim domu przyszedł na świat Leopold Kula. Nikt wtedy jeszcze nie przypuszczał, że tego samego dnia, po 22 latach, ziści się sen Polaków o wolności, śniony przez pokolenia polskich patriotów – uczestników powstań narodowych, więźniów politycznych, zesłańców syberyjskich i całe rzesze działaczy niepodległościowych. I w Leopoldzie płynęła ta sama krew, co w jego przodkach – po mieczu wywodził się ze starego rycerskiego rodu Kulów-Niemstów herbu Jastrzębiec, a po kądzieli, ze strony matki, spokrewniony był z Michałem Czajkowskim, znanym jako Sadyk Pasza. Miał więc wśród swoich antenatów owego słynnego powstańca listopadowego i twórcę formacji kozaków sułtańskich walczących przeciwko Rosji w wojnie krymskiej, a zarazem romantycznego poetę i powieściopisarza, co czerpał z ducha bezkresnych ukraińskich stepów, z którymi zrośnięci byli do szaleństwa odważni i ponad życie miłujący wolność Kozacy. Jego dziadem był z kolei zasłużony powstaniec styczniowy, który staropolskim obyczajem trzyletniemu Poldkowi kazał wybierać między kropidłem a szablą, a ten sięgnął po oręż, co oznaczało, że pisany jest mu żołnierski żywot.

► Zagończyk na bitewnym przedpolu

Leopold był czwartym dzieckiem Tadeusza i Elżbiety, którzy z myślą o przyszłości swoich pociech przenieśli się z Kosina do Rzeszowa, by tam ich 10-letni syn mógł rozpocząć naukę w gimnazjum. Na początku czuł się w klasie trochę nieswojo – najmłodszy, lecz przewyższający wszystkich wzrostem, a na dodatek „szczipły, wybijały nadmiernie”, zdawał się być fizycznie słabiej rozwinięty od swoich kolegów. Szybko jednak przezwyciężał kompleksy, ćwicząc intensywnie podczas zajęć sportowych i grając najchętniej w piłkę nożną. Ze wszystkich przedmiotów szkolnych najbardziej upodobał sobie historię, potrafił godzinami zgłębiać ojczyste

dzieje, zapominając o całym bożym świecie. Wiosną 1911 roku 15-letni Poldek, dotąd wzorowy uczeń, zaczął wagarować..., by z dala od szkolnych murów sposobić się do walki o Niepodległość. Ta myśl o konieczności wyzwolenia ojczyzny rozpałała jego młode serce i dlatego pewnie wraz z zaufanymi kolegami założył w Olszynie nad Wisłokiem tajną organizację wojskową, a oprócz tego wstąpił do ruchu skautowskiego, który dał początek polskiemu harcerstwu. Kiedy zaś w listopadzie 1911 roku do Rzeszowa przybył z misją inspekcyjno-instruktażową sam pionier polskiego skautingu – Andrzej Małkowski – młodzi adepci organizacji nie odstępowali go na krok, łowiąc każde słowo jego pasjonujących opowieści. Najbardziej zafascynowani osobą druha Andrzeja byli Józef Kret i Leopold Kula, który odważył się niebawem zdradzić mu, iż w gronie kolegów czytają „Skauta”, a siedmiu z nich założyło „patrol »Lisów«”. „Jak się nazywasz?” – zapytał zaintrygowany Małkowski. „Kula, ale chłopaki wołają na mnie Lis. Mówią, że jestem bystry i chytry jak lis!” – dorzucił z przechwałką w głosie. Po tym spotkaniu Poldek czuł jednak pewien niedosyt. „To wszystko, o czym mówił druha Andrzej – wyznał drużynowemu Julkowi – jest wielkie, porywające. [...] Ale ja chciałbym czegoś więcej. Skauting daje nam fundamenty, daje nam zrozumienie, jacy powinniśmy być w wolnej Polsce, ale dlaczego nie uczymy się walki o nią?” – zastanawiał się, marząc o wielkim czynie, który przyniosłby ojczyźnie wolność. Toteż zapewne z jego inicjatywy do regulaminu zastępu „Lisów” wprowadzono nowy punkt: „Charakter skauta to fundament, lecz o niepodległość walczy się z bronią. Wojna musi zastać przygotowanym każdego z »Lisów«, skaut o zagończyk na przedpolu bitewnym!”. Nie tracąc więc czasu, zaszły się wraz ze swym zastępem w lasach koło Głogowa Małopolskiego i Tyczyna, gdzie zgłębiał tajniki sztuki wojennej, ćwiczył o upadłego musztrę i szermierkę pod okiem kilku młodych nauczycieli służących niegdyś w wojsku austriackim. Już wtedy, jak wspominał jego młodszy kolega, Stefan Przyboś, świetnie poruszał się na terenie, umiając w porę dowodzić nowym oddziałem oskrzydlić nieprzyjaciela.

► W twardej szkole Piłsudskiego (za długi)

Upragniony zwrot dziejowy, o jakim nie przestawał myśleć, nadchodził nieubłagane. W obliczu zaostrej tego się konfliktu rosyjsko-austriackiego o wpływy na Bałkanach, wśród Polaków odżywały coraz silniej nastroje niepodległościowe. W Galicji zaś ideę narodowo-wyzwoleńczą wskrzeszał na nowo człowiek, który nigdy nie przestał wierzyć w odrodzenie Polski i który, jak pisał o nim Juliusz Kaden-Bandrowski, „żadnego nie zasypiał czasu, ale budził życie, nieciół opór, do oręża zarzucał, do walki gotował, do czynu sposobił, do Związ-

ków Strzeleckich przygarniał, powstanie niosąc w zanderzu. Człowiekiem tym był Józef Piłsudski. Za jego sprawą młodzież bronią jeżyć się poczęła i za jego przyczyną nadzieja wolności stała u powalonych wrót naszego domu niewoli”.

W szeregach sposobiących się do boju o wolną Polskę nie mogło zabraknąć młodziutkiego Leopolda, który jako jeden z pierwszych wstąpił do formującego się w Rzeszowie Związku Strzeleckiego i przyjął pseudonim „Lis”, nawiązując tym samym do swoich korzeni skautowskich. Najbliżsi koledzy, a zarazem pierwsi biografowie, Demel i Lipiński, opowiadają, że na wykłady i ćwiczenia uczęszczał z nadzwyczajną pilnością wszystkiego ciekawy, że czytał po nocach, z zapalem studiował instrukcje i regulaminy wojskowe, a w szeregi strzelckie wnosił swój młodzieńczy entuzjazm do pracy. Nic więc dziwnego, że gdy na inspekcję tajnych manewrów wojskowych do obwodu krośnieńskiego zjechał sam Józef Piłsudski, niemałe wrażenie uczynił na nim ten energiczny młodzieniec o dużych niebieskich oczach, gdy dowodząc oddziałkiem swych rówieśników, bravuro przeprowadził manewr oskrzydłający. Ten jeden moment wystarczył Komendantowi, by dostrzec w 16-letnim strzelcu z Rzeszowa niezwykle talenty wojskowe i przywódcze. Wtedy też pochwalił go przed frontem i nazwał „swoim kochanym chłopcem”. Jeszcze w tym samym roku Lis-Kula odbył tajny kurs oficerski w Zakopanem, który ukończył z wyróżnieniem, otrzymując stopień oficera strzeleckiego, a zaraz potem mianowany został zastępcą Komendanta Związku Strzeleckiego w Rzeszowie. Mało kto spoza kręgu wtajemniczonych wiedział o tej zaszczytnej nominacji gimnazjalisty, który w dzień zakończenia roku szkolnego, w czerwcu 1913 roku, „ku zdziwieniu i przerażeniu nauczycieli i dyrekcji II Państwowego Gimnazjum CK w Rzeszowie” paradował ze swym małym karabinkiem strzeleckim, a miał już wtedy pod sobą pluton złożony z kilkunastu śmiarków, wśród których byli rzemieślnicy, kolejarze, profesorowie, studenci i adwokaci. Wszyscy oni uwielbiali swego dowódcę, który zdyscyplinowany, punktualny, niezmordowany w pracy, jak nikt inny potrafił godzić „wielką wiedzę teoretyczną z umiejętnością jej praktycznego zastosowania”, a do tego pełen był młodzieńczej werwy i jakiegoś „zapalczego rozmachu i energii”.

Prawdziwy egzamin żołnierski przyszło złożyć Lisowi-Kuli w sierpniu 1914 r., gdy „nad Europą rozbłysła łuna pożaru” i gdy na rozkaz Piłsudskiego stanął się w krakowskich Oleandrach, prowadząc swój rzeszowski pluton jako „najmłodszy chyba na świecie dowódca kompanii”. Stąd też, z duchowej stolicy Polski pod zaborem, wyruszył na bój o Niepodległość wraz z pierwszymi zastępami żołnierzy-ochotników tworzących początek polskiego wojska.

*Gdy ruszył na wojenkę, miał siedemnaście lat.
A serce gorejące, a lica miał jak kwiat.
Chłopcę jeszcze duszę i wątłe ramię miał.
Gdy w krwawej zawierusze szedł szukać mąk i chwał.*

*A chłopcy z nim na boje szli z pieśnią jak na bal.
Bo z dzielnym komendantem i na śmierć iść nie żał.
Nie trwożył się moskiewskich bagnietów; lanc ni dział,
Docierał zawsze z wiarą, tam, dokąd dotrzeć chciał.*

Szlak legionowy Lisa-Kuli znaczyły bitwy i potyczki pod Kielcami, Krzywopłotami, Łowczówkiem, Jastkowem, Kamionką, Kostiuchnówką, Kamieniuchą, Kukulami, potem zaś w dolinie rzeki Stochód, pod Powórką, Jeziornem, Zajaczkówką, Sobieszycami, Hulewiczami... „Gdy sobie szedł, gdy śpieszył na czele młodzieńczego oddziału przez złotą skibę kielecką, zdawał się wysoki nadmiernie i gibki, w szarej skromności strzeleckiego odziewku [...], z błaszanym Piłsudskim na czapce, wesoły jak dziecko” – szkicuje jego portret Kaden-Bandrowski i dodaje, że posłuszny był „Wodzowi we wszystkim, we wszelkim rozkazie brat, w każdym strofowaniu opiekun, w każdym trudzie pańszczyźnej wojny na siebie biorący, najuboższy wśród tej armii, która i tak już sama była najbiedniejsza ze wszystkich armii świata”.

► Człowiek „oficjalnie dojrzały”

Swoją odwagą wyróżnił się już w pierwszych akcjach pod Kielcami, dowodząc 2. kompanią V batalionu Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, a następnie w czasie ciężkich walk pod Krzywopłotami, które przeszły do historii jako legionowe Termopile, wstąpił się brawurowo przeprowadzonym atakiem skierowanym na pobliskie Zależę. Jego kompania wyłoniła się nagle z lasu od strony góry Zamkowej i porwana niepohamowanym zapalem bitewnym rzuciła się w stronę wroga. Na jej czele rwał co tchu Leopold z szabłą wzniesioną nad głową, chcąc dodać animuszu i odwagi swoim chłopcom. W tym pędzie „nagle – jak opowiadają świadkowie – Lis związa się i pada na miejscu. Serca strzelców zadrżały, przejęte przerażeniem... Lecz oto, gdy kompania minęła biegiem swego dowódcę, chcąc jak najprędzej dostać się pod zbawczą osłonę chałup Zależa – Lis porywa się na nogi, kilkoma susami dogania kompanię i wraz z nią wpada do wsi”. Okazało się, że zawadził o pochwę szabli tak fatalnie, że upadł jak długi. Kule widocznie nie miały się tego zuchwałego żołnierza, ale wśród legionistów krążyła długo jeszcze pogłoska, że „Lis” zginął pod Krzywopłotami. Tak też hiobowa wieść dotarła do jego rodzinnego domu, gdzie przeżywano głęboką żalobę do czasu, gdy ku największej radości całej rodziny przyszedł

list od żyjącego Leosia. A on tymczasem – szaleńczo odważny, w lot rozumiejący najtrudniejszy do wykonania rozkaz, zawsze z tą samą chłopięcą radością w oczach rwał się, by stoczyć kolejny bój. „W tyralierskiej linii długa i szczupła jego postać zawsze na przedzie, świetny cel dla Moskali, drogowyskaz dla podwładnych, posuwa się zuchwale, obojętna na groźbę śmierci, idealny wzór dowódcy” – odsłania styl jego walki Aleksander Kawalkowski, dodając, że „spał i jadł ze swoimi żołnierzami, mówił ich szelmowską, barwną gwarą, dzielił się swoimi myślami o kolejach wojny i nieuniknionym jej skutku, dla którego poświęcili się wszyscy”.

I jemu też przyszło walczyć w najzaciętszym i najkrwawszym legionowym boju – pod Kostiuchnówką, w lipcu 1916 r., kiedy to podczas trzydniowych zmagających z wrogiem, dokazując cudów, ocalił batalion, a nawet cały 7. pułk przed zagładą. Już z samego rana zbudził kapitana Mariana Kukiela, meldując, że znaleźli się pod huraganowym ostrzałem wojska rosyjskiego. Powierzono mu wówczas utrzymanie pozycji wysuniętej przed okopami batalionu, a on, nie robiąc sobie wiele z siarczyste bijących moskiewskich pocisków, na przekór wszystkiemu, z beczelną zuchwałością tak kierował ogniem gniazd strzeleckich i karabinu maszynowego, że rżąc bezlitośnie Moskała, doprowadził do załamania dwu kolejnych szturmów. Kiedy zaś masy moskiewskiej piechoty natarły na tyły i prawe skrzydło VI baonu i już, już wydawało się, że zostanie on zgnieciony, porucznik „Lis”, „znakomitym kierownictwem ognia zламаł dziesięciokrotną przewagę wroga”, a śmiałym kontratakiem odepchnął go na prawo, umożliwiając utrzymanie się batalionu na zajmowanych pozycjach. Gdy najszybciej nieprzyjacieli uderzył z całym impetem od strony Polskiego Lasu, wdzierając się na tyły i prawe skrzydło batalionu, a od frontu szturmując okopy, „Lis” „szeregiem krótkich, brawurowych kontrataków” umożliwił spokojne wycofanie naszych sił, zadając wrogowi ciężkie straty. Nie zawiódł i na ostatnim etapie walki, podczas której doprowadził do „zniszczenia ogniem” jedenastu szwadronów wymienionej jazdy rosyjskiej. „Rozpłomieniony w ogniu, był w swoim żywiole, porywał wszystkich, działał jak grom” – takim zapamiętali go pod Kostiuchnówką towarzysze broni.

Szybko zdobył autorytet dowódcy, podbijając żołnierskie serca swą walecznością i pogodą ducha, bo nawet wśród bitewnego zgłębku widywano go, jak się uśmiechał, jak z jasnym błyskiem w oku przechodził z okopu do okopu i jak w wolnych chwilach uczył czytać i pisać żołnierzy analfabetów. Dla legionistów zorganizował nawet klub sportowy, a sam w spartańskich warunkach koszar, między bitwami i na postojach szlifował francuski, zgłębiał ojczystą literaturę, studiował dzieła Kanta, Nietzschego i Spinozy, a to wszystko po to,

by podczas przepustki w 1915 r. przystąpić... do matury, którą szczęśliwie zdał, mogąc wrócić do pułku już jako człowiek „oficjalnie dojrzały”.

► Reduta Cordelazzo zdobyta

Gdy w lipcu 1917 roku doszło w Legionach do „kryzysu przysięgowego” i większość żołnierzy, idąc za głosem Komendanta Piłsudskiego, odmówiła złożenia przysięgi na wierność cesarzowi niemieckiemu, Lis-Kula uczynił to samo. Znalazłszy się w szeregach legionistów, którzy odmówili dalszej walki u boku Niemiec i Austro-Węgier, wysłany został na front włoski. Zdegradowany do stopnia sierżanta trafił najpierw do Bosowicy pod Triestem, gdzie ukończywszy szkołę oficerów rezerwy został dowódcą plutonu składającego się głównie ze Ślązaków. Ci zaś pokochali swego wodza szczerą żołnierską miłością, gotowi skoczyć za nim w ogień, bo przecież „jada z nimi i pije, maszeruje w pierwszej czwórce, śpiewa z werwą swoim pełnym, nieco fałszującym głosem wielce mądrą piosenkę: »Jechał Sedlak do młyna, jupaj-dyna, jupaj-da«” – słowem czynił wszystko, by podnieść na duchu współtowarzyszy niedoli. Cały czas działał dla naszej sprawy w ramienia podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Zakładał tajne koła wśród rozsianych na włoskim froncie niedawnych legionistów, utrzymywał łączność z krajem i z pułkownikiem Rydzem-Śmigłym, zastępującym osadzonego w Magdeburgu Komendanta. Przede wszystkim zaś, jak podkreśla historyk Joanna Wieliczka-Szarkowa, starał się pomóc kolegom, którym groziło aresztowanie i proces, bądź tym, którzy załamani psychicznie gotowi byli nawet na samobójczą śmierć, nie mogąc dłużej znieść austriackich represji i upokorzeń. Każdy możliwy pretekst był dobry, by odesłać ich do kraju. Jedni więc jechali niby to na studia, inni z powodu złego stanu zdrowia, jeszcze innym udało się załatwić „lewe dokumenty”, a ci wszyscy szczęśliwcy przedostali się od razu do Krakowa i zameldowali się w Główniej Komendzie POW, skąd skierowani zostali do Kongresówki, by od razu zabrać się do konspiracyjnej roboty.

Na ziemi włoskiej przyszło też Lisowi-Kuli przejść ciężką próbę bojową, gdy jego pluton wysłany został do szturmowania reduty pod Cordelazzo. Wówczas to na czele swoich dzielnych chłopców, brodząc po pas w wodzie, przedarł się przez rzekę Piave, by pośród świstu kul i rażącego zewsząd ognia rzucić się ku nieprzyjacielskim okopom. „Okno w okno z oficerem włoskim – relacjonował przebieg walk Karol Koźmiński-Sekunda – Lis rzuca pod nogi Włocha granat. Wybuch. Wróg pada martwy, ale wali się też z nóg jedenaście razy ranny Lis-Kula [...] To nic. Reduta Cordelazzo jest zdobyta. Złoty medal na pierś jedenaście razy rannego komendanta szturmowego plutonu”.

► „Jestem Lis-Kula, kapitan legionowy”

Świeży rekonwalescent nie powrócił już pod rozkazy Austriaków, ale przedostał się do kraju, by w styczniu 1918 r. zameldować się u Rydza-Śmigłego, ówczesnego dowódcy POW, który powierzył mu odpowiedzialną misję tworzenia polskich sił zbrojnych na Wschodzie. Pierwszym jego zadaniem było przedarcie się do Bobrujska w Rosji, gdzie stacjonował I Korpus Polski dowodzony przez generała Józefa Dowbora-Muśnickiego, a liczący kilkanaście tysięcy bagnetów. Do tej pory skutecznie opierał się on bolszewikom, ale gdy obszar ten znalazł się pod okupacją niemiecką, POW zależało, by Korpus nie skapitulował wobec Niemców, lecz zbrojnie się im przeciwstawił. Taki manifestacyjny akt sprzeciwu względem naszego zaborcy, w sytuacji gdy Legiony zostały rozwiązane, a Piłsudski przebywał w niewoli magdeburskiej, mógł mieć olbrzymie znaczenie polityczne i być dla Polaków nieocenionym atutem w międzynarodowych rozgrywkach politycznych. O tę sprawę walczył m.in. żołnierz Korpusu, a w przyszłości wybitny polski dziennikarz i reportażysta Melchior Wańkowicz, do którego mieszkania w dawnych koszarach rosyjskich zapukał któregoś kwietniowego dnia 1918 r. wysoki i szczupły młodzieniec, w niedopasowanym, cywilnym ubraniu, w którym czuł się pewnie jak „pies na płocie”. „Jestem Lis-Kula, kapitan legionowy” – przedstawił się, wyciągając z kieszeni papiery. Wańkowicz spojrzał mu prosto w oczy, a były to oczy „jasne, przejrzyste, o niezmiernej życzliwości, oczy dziecka i żołnierza i wodza”. „Rozkaz, obywatelu Komendancie!” – odpowiedział krótko, bo w papierach widniało, że Lis ma objąć komendę POW w korpusie Dowbora. Wańkowicz był pijany ze szczęścia, bo Leoś nadawał się do tego zadania najlepiej ze wszystkich i natychmiast przystąpił do działania „z tym swoim fenomenalnym spokojem i pogodą, ot, jakby obejmował administrację folwarczku ziemskiego i szykował się do żniw, a nie montował organizację w chaosie, w niepewności, w umęczeniu dusz ludzkich. [...] pod grozą wiszącą nad głową rozbrojenia przez Niemców”. Gdy zameldował się Dowborowi, ten obiecał w razie potrzeby bić się z Niemcami, a „Lisa” w stopniu kapitana przyjął do korpusu jako instruktora w rzucaniu ręcznych granatów. Tymczasem Niemcy zgodnie z przewidywaniami otoczyli Korpus i trzeba było podjąć natychmiastowe decyzje. Lis, któremu powierzono kierownictwo antyniemieckiej organizacji w Bobrujsku, przystąpił do układania planu z największym spokojem, „jakby ciągnął pasjansa”. Pod jego domem w nocnych ciemnościach snuli się łącznicy oddziałów postawionych na nogi, czekając cierpliwie, w pogotowiu, przez wiele godzin na wezwanie dowódcy. Dopiero o jedenastej

wieczorem Lis wołał ich po kolei do siebie. „Z cienia w krąg lampy naftowej wynurzały się sylwety uzbrojone jak do pochodu – wspomina Wańkowicz – Lis tak spokojnie i nie śpiesząc się omawiał z każdym z nich jego zadanie, jakby operacja miała zacząć się za kilka dni, a nie natychmiast [...]. Słowa były najprostsze i najprozaiczniejsze – mówiło się o jakichś sucharach na wozy i o tym, żeby nie zapomnieć wziąć smarów do osi. Żadnej zachęty, nic o Polsce, ani słówka przeciwko Niemcom. A przecież każdy odchodził z doskonałym spokojem i z doskonałą pewnością, co ma robić”. Wtedy też Wańkowicz pomyślał, że chłopak, który siedzi tam nad mapą, „ma w sobie geniusz dowódczy”. Ku największej rozpaczy działaczy POW cała akcja spełzała na niczym, bo Dowbor ostatecznie zdecydował się na kapitulację. Wtedy Lis-Kula współ z Bartą de Weydenthałem, Ignacym Matuszewskim oraz grupą spiskowców podjął ostatnią próbę opanowania I Korpusu, by rzucić go do walki z Niemcami. Na nic się to jednak zdało, bo ich rozpaczliwy wysiłek napotkał mur obojętności ze strony starszyny. Oficerom spiskowym nie pozostało nic innego, jak ratować się ucieczką.

► Nawet Wódz Naczelny żył w oczach miał

Nieustraszonego Lis-Kulę ani myślał złożyć broni i dotarł do Kijowa, gdzie organizuje polskie siły zbrojne jako Komendant Naczelny POW na Ukrainę i Białoruś. W jego dwudzieste drugie urodziny – 11 listopada 1918 r. – Polska odzyskała niepodległość, a on sam jako oficer odrodzonego Wojska Polskiego bił się o kształt wschodniej granicy Rzeczypospolitej. Usiłował przyjąć z pomocą obrońcom Lwowa, lecz dostał się do niewoli ukraińskiej, z której udało mu się szczęśliwie zbiec. Jego szlak bitewny znaczący zwycięskie boje pod Bełżcem, Rawą Ruską, Rudą Żurawicą, Żółkwią, Uhnowem, Sokalem... Ruszając na Poryck, zaskoczył Ukraińców zuchwałym, nocnym atakiem, rozbił ich oddział, do niewoli wziął samego atamana Prochowskiego i kilku oficerów, zdobył trzy działa, siedem ciężkich karabinów maszynowych, tabory, a do tego stu jeńców z osiemdziesięcioma końmi... Kilka dni później szykował atak na obsadzony przez Ukraińców Torczyn. Postanowił działać w nocy i przez zaskoczenie. Plan był taki: idący wraz z nim pułk Franciszka Tomsy-Zapolskiego miał ustawić się naprzeciw linii wroga w gotowości do ataku frontального, Lis po cichu oskrzydliłby pozycje przeciwnika od północy i ułokowałby się na jego tyłach, a ukryte w lesie baterie artylerii zaczęłyby zniemacka razić nieprzyjaciela. Fortel nie udał się, bo Ukraińcy w porę ostrzeżenia zaatakowali pierwsi. Lis-Kula nie stracił jednak rezonu – natychmiast zmobilizował stu ludzi i z całym impetem uderzył na miasto od północy. Ten szale-

nie odważny krok pozwolił mu w krótkim czasie opłacać Torczyn. Siły ukraińskie zostały rozbite, choć kilka jeszcze punktów utrzymywało się w rękach wroga. Leopold mógł czuć się tryumfem. Z radosnym błyskiem w oku dokonał inspekcji zdobytego miasta, lecz wtedy... zza rogu jednej z ulic, od strony szpitala polowego, powietrze przeszła seria strzałów... ułamek sekundy i... „Lis” padł rażony śmiertelnym pociskiem. Mimo iż przez całą noc czyniono wszystko, by go uratować, jego ognista, żołnierska dusza uleciała w zaświaty...

*Gdy szedł już w bój ostatni, miał lat dwadzieścia dwa,
A sławę bohatera, a moc i dumę łwa.*

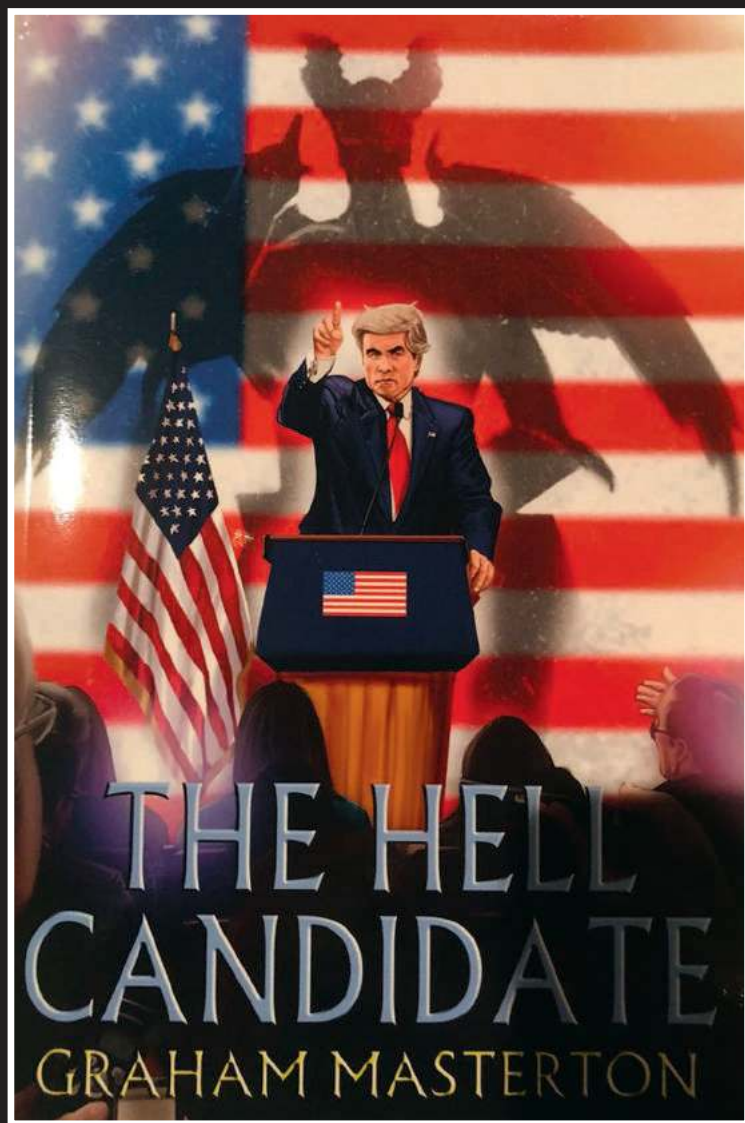
*Świsnęła mała kulka i grób wyryła mu,
Bohaterowi łożę, posłanie wieczne łwu.*

Najmłodszy z pułkowników, pośmiertnie już awansowany na ten stopień wojskowy i odznaczony krzyżem Virtuti Militari, uczczony został w stolicy jak bohater narodowy podczas żałobnej Mszy świętej w kościele garnizonowym i w czasie wielkiej manifestacji patriotycznej na placu Saskim. Sam Naczelnik Państwa, miłujący Lis-Kulę jak własnego syna, na trumnie zmarłego złożył wieniec z napisem: „Memu dzielnemu chłopcu Józef Piłsudski”. Leopold Kula spoczął na cmentarzu w Rzeszowie. Jego rodzinne miasto wystawiło mu pomnik z „wdzięczności serc dla piękna i bohaterstwa najlepszego z młodzieży Polski, którego prawda życia i prawda śmierci zawsze będzie wzruszała i podnosiła duszę”. Pomnik ten odsłonił w 1932 r. prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki, a minister Janusz Jędrzejewicz powiedział wówczas: „Młodziutki chłopiec swym pięknem wewnętrznym zdobył sobie nieśmiertelność tak jakby w swym sercu potrafił zogniskować całą miłość ojczyzny, którą były wszystkie polskie serca”. Pamięć zaś o nieustraszonego pułkowniku żyje i żyć będzie wśród Polaków utrwalona w żołnierskim rapsodzie legionowego wiarusa i poety Adama Kowalskiego:

*Rycerski pędził żywot, rycerski znalazł zgon.
Armaty mu dzwoniły, a nie żałobny dzwon.*

*Chorągwie się skłoniły nad grobem, na czci znak.
A stara bracia żołnierska jak dzieci łkała tak.
Sam nawet Wódz Naczelny żył w dobrych oczach miał,
Ukochanemu chłopcu na trumnie order dał.*

*Czy wiecie wy, żołnierze, kto miał tak piękny zgon?
Kto tak Ojczyźnie służył, czy wiecie, kto był On?
Otwórzcie złotą księgę, gdzie bohaterów spis,
Na czele w niej widnieje: Pułkownik Kula-Lis.*



Krzysztof Karnkowski

STARE HORROR, NOWA HISTERIA

Gdy w Polsce, przynajmniej formalnie, upadała komuna, eksplodował rynek wydawniczy. Uliczne stragany pełne były przyciągających oko kolorowych książek. Niedrogich, często byle jak wydawanych, masowo kupowanych przez wygłodniałych fanów gatunków przez komunistyczne wydawnictwa traktowanych po macoszemu. Jednym z elementów tego boomu wydawniczego było zarzucenie polskich ulic książkami z fantastyką w wydaniu najlepszym i najgorszym. A wraz z nią również z horrorem, gatunkiem w PRL praktycznie nieobecnym, zarówno w wersji importowanej, jak i krajowej.

Wydawano obok siebie mistrzów gatunku i chałturników, tych drugich kreując u nas na półbogów gatunku. Obok Stephena Kinga wydawano autorów dobrych lub przynajmniej niezłych (James Herbert, Graham Masterton) czy uchodzących za fatalnych, w których specjalizował się gdański Phantom Press. To właśnie temu wydawnictwu stada nastolatków zawdzięczają kontakt z produktami takich wyrobników, jak Guy N. Smith czy Harry Adam Knight. O wielu książkach tych autorów czytelnicy zapomnieli lub chcieliby zapomnieć. Niektóre sceny, również z uchodzącego za reprezentującego niezły poziom Masterzona zatruły wyobraźnię wielu młodym ludziom. Czytelnikom zamierzam ich jednak oszczędzić, lojalnie tylko ostrzegając, że na pewno na nie natrafią, jeśli zdecydują się na bliższy kontakt z którąś z przywołanych pozycji. Oczywiście jeśli nie zrobili tego dwadzieścia parę lat temu.

► Mistrzowie i rzemieślnicy

To właśnie wymiana pokoleniowych doświadczeń czytelnicznych na jednym z forów internetowych stała się impulsem do powstania tego artykułu. Poszukując bowiem książek wymienionych wyżej autorów, natrafiłem na powieść Grahama Mastertona „Piekelnny kandydat” („The Hell Candidate”) z 1981 roku, w Polsce wydaną w 1994 roku w tłumaczeniu Piotra Kusia. Oprócz horrorów Masterton napisał m.in. kilka thrillerów politycznych. Na ogół odmalowywał w nich wizję Ameryki atakowanej w sposób przebiegły przez inne światowe potęgi, na przykład Rosję czy Japonię. W „Piekelnym kandydacie” łączy jednak wątek polityczny z horrorem, siłą, która wyciągnie ręce po Stany Zjednoczone będzie sam diabeł. Rzec przeczytałem z dużym zainteresowaniem, przy okazji odnajdując ten dreszcz emocji, jaki towarzyszył tym dawnym lekturom końcówki dzieciństwa. Cóż, jest to opowieść wartka, sprawna, w której odrzucające opisy z pogranicza turpizmu i pornografii, typowe dla tego autora, równowagę wciągająca intryga polityczna i opis manipulacji, uwiedzenia tłumy i doprowadzenia go ku zgubie.

Nim skupimy się na tym wątku, zamknijmy temat pozostałych wymienionych wyżej autorów. O Stephenie Kingu nie ma się co rozpisywać, choć to wtedy nasz rynek zalały jego książki, często w ramach tych samych serii wydawniczych, jest zjawiskiem najlepiej znanym i całkownie oddzielnym. James Herbert, swoją drogą chwalony przez Kinga w jednym z jego opracowań na temat historii horroru, znajduje się, tak jak Masterton, trochę na pograniczu światów horroru ambitnego a krwawej tandety. Często udaje mu się grać niepokojącym klimatem, zaludniać strony swoich książek duchami i nadprzyrodzonymi zjawiskami (choć dużą sławę przyniosła mu seria książek o bardziej przyziemnym zagrożeniu – szczeniach) i czasem zbliża się w tym do klasyki angielskiego,

gotyckiego horroru. Tu wyróżnić warto książkę „Nawiedzony”, w której mamy wszystko co potrzeba do szczęścia fanom gatunku – mroczną, tajemniczą posiadłość z równie niepokojącą piękną lokatorką i próbującego zachować swój racjonalizm męczący wrzucanego w sam środek szaleństwa. Masterton to zbliżona liga, choć inaczej niż u Herberta odnieść można wrażenie, że całkiem sprawnym intrygom i portretem postaci towarzyszą sceny stanowiące o przynależności gatunkowej opowieści, które nie dorównują kroku pozostałym elementom układanki. Najniższy szczebel tej literackiej hierarchii to wspomniani już Harry Adam Knight i Guy N. Smith, a także Shaun Hutson, zapamiętany z koszarnej książki „Ślimaki”. Knight straszył swoich czytelników obudzonymi do życia pradawnymi potworami lub opanowaniem całego świata przez grzyby, które, mając uratować ludzkość od głodu, wymykają się spod kontroli. Smith to oddzielna opowieść. Autor kilkudziesięciu horrorów, które z reguły doczekały się dwóch wydań – oryginalnego, brytyjskiego i, po latach – polskiego, bez żadnych wznowień po drodze. U siebie jak widać niespecjalnie ceniony, w Polsce przez chwilę cieszył się specyficzną popularnością, za którą zresztą odwodził się czytelnikom. W jednej z książek, napisanych już w trakcie jego popularności nad Wisłą, postanowił umieścić postać odwiedzającego Anglię polskiego, komunistycznego dygnitarza, którego przesładują duchy oficerów pomordowanych w Katyniu (!). To zresztą, głównie z racji tego wątku, jedna z ciekawszych propozycji Smitha. Drugą godną uwagi i wyrastającą ponad przeciętność tego autora jest powieść „Szatan”, w której zmarły, jak się wydaje, pierwszy sekretarz KC PZPR powraca jako Iwan Groźny, obdarzony istic demonicznymi mocami. To zresztą chyba jedyne dzieło płodnego Anglika, które polski wydawca zaopatrzył w całkiem przyzwoitą okładkę. Inne książki w rodzaju cyklu „Krab” czy wielu jeszcze pozycji polecić można głównie koneserom tzw. guilty pleasure.

► Lucyferyczny polityk

Guy N. Smith urodził się w 1939 roku, Graham Masterton zaś sześć lat później, obaj w Anglii. Jednak ich książkowe debiuty dzieli tylko rok. Dla Smitha był to niewydany w Polsce „Werewolf by moonlight”, dla Mastertona „Manitou”, od którego zaczęła się też 15 lat później jego ekspansja na polski rynek. W promowaniu pisarza pomocne były jego związki z Polską – żona pochodzenia polskiego, polskie korzenie przodków i często deklarowana sympatia do Polaków, później zaś również wplatanie polskiego wątku w niektóre historie, w tym „Dziecko ciemności”, horror umiejscowiony w Warszawie i luźno zahaczający o dramat Powstania Warszawskiego. Masterton w Polsce był zresztą nawet latem tego roku, spotykając się z czytelnikami, tak więc nawet po śmierci jego żony ciągnie w nasze strony,

wciąż też ukazują się u nas jego książki. Być może doczekamy się również wznowienia „Diabelskiego kandydata”, ponieważ według autora jest to rzecz bardzo na czasie.

Główną postacią tej książki jest Hunter Peal, kandydat (oczywiście) republikańców na fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych. Początkowo spokojny konserwatysta, przyciągający do siebie ludzi zachowawczym, odwołującym się do amerykańskiej tradycji programem gospodarczym, diametralnie zmienia się w jedną noc spędzoną z ludźmi z jego otoczenia w nawiedzonym domu, będącym przystankiem w jego trasie po Ameryce. Peal politycznie staje się jastrzębiem, chcącym pognać militarnie wszystkich wrogów Ameryki, w kraju natomiast raz na zawsze oddzielić bogatych od biednych, wszystkich zaś zostawić samym sobie, bez jakiegokolwiek prosojkalnej interwencji państwa. Dla prawicowego czytelnika to w sumie nic specjalnego, choć jednak brzmi to wszystko dość radykalnie. Można wyobrazić sobie jednak przełożenie podobnych poglądów na polski i przedstawienie ich przez któregoś z egzotycznych kandydatów. Dla Mastertona potrzebne jest jednak opętanie przez samego Lucyfera. Wolcie politycznej towarzyszy oczywiście zmiana Peala w gardzącego ludźmi, gwałcącego współpracowników i niszczącego przeciwników potwora. Wybory wygrywa, łamiąc kręgosłupy konkurentów za pomocą diabelskich sztuczek, wyborców uwodząc zaś nie tyle zimnowojenną, a zarazem płomienną retoryką, ile wywoływaniem zbiorowej hipnozy, podczas której tłumy widzą swoje marzenia.

Czytając książkę, z jednej strony cieszyłem się sprawnym opisem wyborczych i politycznych niuansów, z drugiej załamaniem typową dla części inteligencji demonizacją prawicy. 37 lat po premierze książki można by pomyśleć, że zebrano w niej wszystkie strachy i histerie, jakie dziś budzi u amerykańskiej lewicy Donald Trump. Jak się okazuje, nie byłem w tym odosobniony, podobnie bowiem widzi to sam autor. Tyle tylko, że to, co dla mnie jest pretekstem do pobłażliwej ironii, dla niego okazuje się sprawą śmiertelnie poważną. „Gdy to pisałem, myślałem, że to fikcja. Dziś ta powieść powinna być szeroko dystrybuowana w Stanach. Ona powie wam, co robić, gdy prezydent jest opętany przez Szatana” – pisze Masterton na Twitterze, do tematu powracając dość regularnie. Czy to szczere przerażenie, czy rozpaczliwa chęć przypomnienia o sobie i sprzedania starej książki? Na Twitterze pisarz nie jest postacią przesadnie popularną, obserwuje go dziś tylko 2,5 tysiąca osób.

Książka, w której sam pisarz widzi dziś przepowiednię czasów Trumpa, kończy się egzorcyzmem z udziałem najważniejszych postaci Kościoła. Zło zostaje zwyciężone przez żarliwą modlitwę, jedyną nadzieją i ostatecznie wyzwoleniem są zaś Bóg i religia katolicka. Trudno wyobrazić sobie, by dzisiejsi przeciwnicy prezydenta Stanów Zjednoczonych przyjęli taką receptę od pisarza próbującego przypomnieć starą książkę na fali anty-Trumpowego wariactwa. ■

Marek Kalinowski

Bilans czterdziestolatka

Pablopavo z Ludzikami na najnowszej płycie „Marginal” próbują odpowiedzieć na pytanie, kim jest współczesny Karwowski. Mimo tanecznych rytmów i chwytliwych melodii bilans czterdziestolatka wcale nie nastroja do tańca.

„Nie umiem śpiewać jak Johnny Cash” – ostrzegali Pablopavo przed laty na dancingowej płycie „Polor”. I trudno się z nim nie zgodzić, bo jego muzyka od początku bardziej polegała na budowaniu klimatu i dających do myślenia tekstach niż urzekającym wokalu. Na dancingu na szczęście się nie zatrzymał, a kolejne płyty odkrywają nowe muzyczne przestrzenie. Album „Ladinola” budowały dźwięki lat 60. i latynoskie inspiracje, najnowszy krążek „Marginal” zanurzony jest z kolei w dyskotekowych klimatach lat 70.

Smyczki rodem z Boney M., wyraźna linia basu, skrecze oraz przesterowane gitary od pierwszych dźwięków wprowadzającego w album „Intra” wprost zachęają do tańca. Trudno się dziwić, że promująca płytę piosenka „Karwoski” ekspresowo zawędrowała na szczyty radiowych list przebojów. Jeśli jednak ktoś zachęcony jej pulsującym rytmem znalazł się już na parkiecie, równie szybko może z niego zawrócić pogrążony w zadumie.

Radosnej muzycznej oprawie Ludzików (sześcioposobowy skład towarzyszący wokaliście) przeczy ton nadany przez jej lidera. Pablopavo, a właściwie Paweł Sołtys, to świeżo upieczony czterdziestolatek, w warstwie tekstowej rozlicza się z przemijającą młodością własnego pokolenia. „A przecież stoisz taki młody, taki młody i podchodzi dziewczyna i pyta: czy mogę od pana ogień? A ty wiesz, że to nie gramatycznie i tylko popiół masz”. Upływający czas, przejście między byciem chłopakiem a mężczyzną, poczucie niespełnienia i straty powracają dość często w kolejnych utworach.

Nie napawają też optymizmem kolejne analogie do serialowego czterdziestolatka. „Panie inżynierze, wierzę, że ma to sens. Blaknie tu wszystko, jakby kolorów zabrakło. Strach by całkiem nie wyblakło” – śpiewa Pablopavo w piosence „Panie Inżynierze”. Trudno zresztą o bardziej przygnębiający portret niż filmowy Karwowski. Na szczęście w głowie znacznie dłużej od nawiązań do znanego inżyniera pozostają pełen czarującej nostalgii „Światła na statku”, energetyczny „PKB” czy utrzymany w hip-hopowej konwencji „Szmerem”.

Na płycie pojawiają się także dwa utwory z tekstami pożyczonymi od innych autorów – Czesława Miłosza oraz Wisławy Szymborskiej. Jeśli teksty Sołtysa nie napawały optymizmem, to resztki złudzeń rozwiewa „Piosenka” z wierszem Miłosza. „Gwiazda przejdzie i zaraz przeminie. Na czekaniu puste lata zbiegną. Co upadło, zetjele w dolinie. I goryczą będzie ziemskie piekło”.

Związki Pawła Sołtysa z literaturą są bardzo bliskie, także z innego powodu. W zeszłym roku zadebiutował zbiorem opowiadań „Mikrotyki”, które otrzymały Nagrodę Literacką im. Marka Nowakowskiego. Tytułowe „Mikrotyki” to urywki historii zwykłych ludzi, które idealnie korespondują z muzycznym światem autora. Marzenia i troski bohaterów z utworu „Ochota” z powodzeniem mogłyby otworzyć kolejny rozdział „Mikrotyków”. Równie łatwo wyobrazić sobie literackie historie profesora Kruka czy cici Stefani zamknięte w formie piosenek z płyty „Marginal”. Wielowarstwowość albumu i bogactwo znaczeń zachęcają do wielokrotnego odsłuchu.



Pablopavo i Ludziki, MARGINAL, Karrot Kommando



Sylwia Krasnodębska



Wałęsa i Stuhr, czyli historia fałszywych królów

Krakowski Teatr Łaźnia we wrześniu i w październiku wystawiał spektakl „Wałęsa w Kolonos” w reżyserii Bartosza Szydlowskiego. „Ja cały czas chcę rządzić. To jest domena królów. A ja jestem królem. Może ostatnim królem tej ziemi” – pada z ust grającego byłego prezydenta Jerzego Stuhra.

Człowiek, który zawsze będzie moim bohaterem” – tak Jerzy Stuhr mówił o Lechu Wałęsie, przygotowując się do tytułowej roli w spektaklu „Wałęsa w Kolonos”. Premiera już na starcie miała charakter polityczny, była napisana w celu osiągnięcia konkretnego efektu i nikt tego nie krył. Stuhr tłumaczył: „Widziałem pierwsze materiały z obrad w Stoczni Gdańskiej – Robotnicy ’80. Zobaczyłem, jak Wałęsa negocjuje z władzą. Wtedy stał się dla mnie bohaterem. Jest postacią niezwykle charakterystyczną, ma niesłychaną intuicję. Mówię w spektaklu jego słowami: »Szukałem, błędziłem, może podejmowałem złe decyzje, ale zawsze konsekwentnie i uparcie dążyłem do celu«. Za to Wałęsę cenię. I będę go bronić, ponieważ jego postać podkreśla naszą straszliwą wadę narodową – nie cenimy własnych autorytetów. Mamy tendencje do niszczenia ich, na naszych oczach można wymazywać postaci z historii. Jeśli tylko mogę dać skromny wkład, by

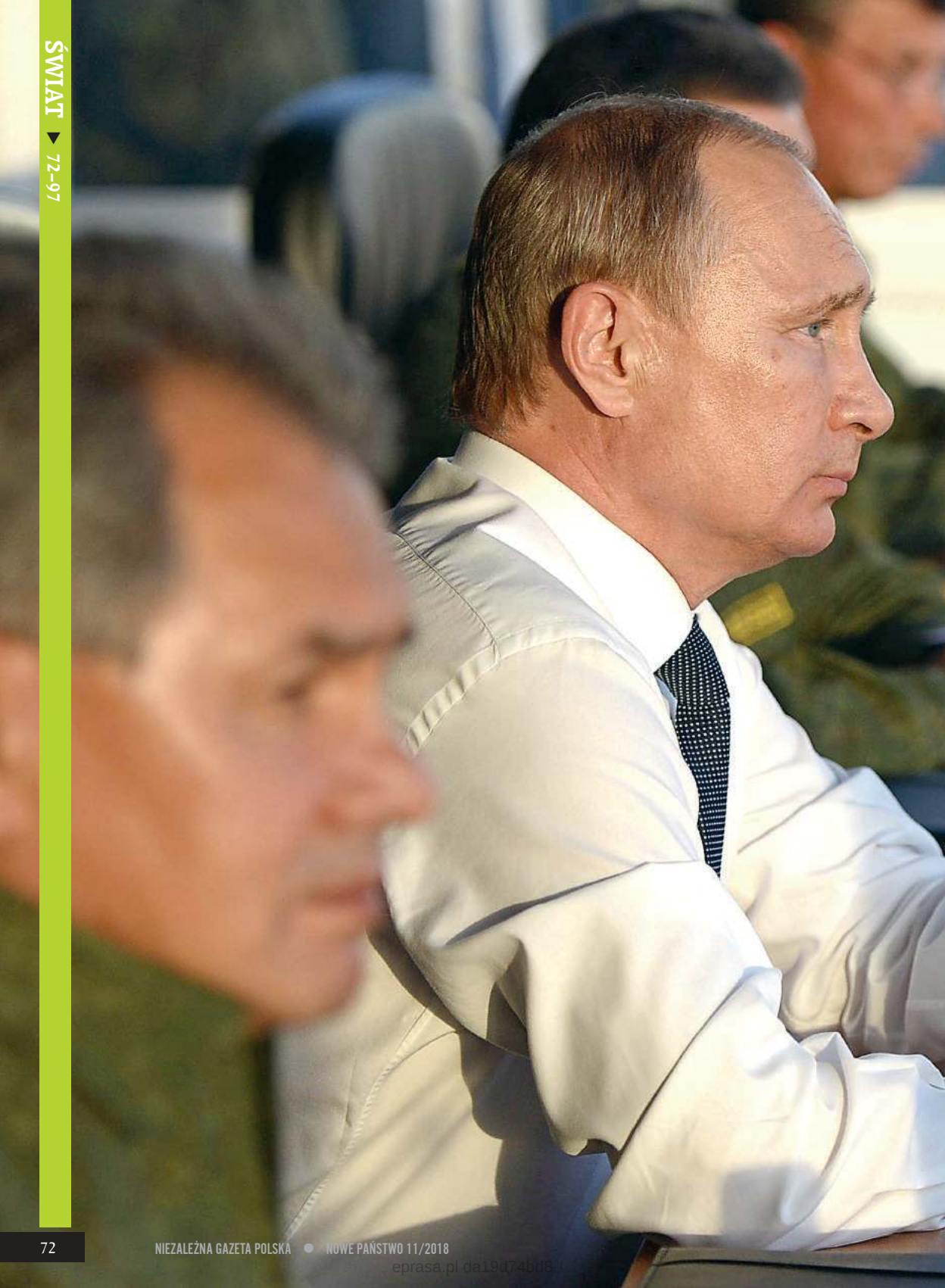
artystycznym. Ze szkodą dla spektaklu, który wcale nie ma jednoznacznego wydźwięku. Być może wbrew założeniom twórców.

A ci, z autorem tekstu Jakubem Roszkowskim na czele, postanowili porównać losy polskiego prezydenta do Edypa z Kolonos. To konkretne nawiązanie do mitologii greckiej jest zdumiewające, bo choć Edyp zwyciężył potwora Sfinksa (zestawionego w spektaklu z systemem komunistycznym), to był również nieświadomym ojco-bójcą, który ożenił się z własną matką. Bardzo współczesna realizacja w industrialnych wnętrzach Łaźni Nowej to z pewnością ciekawy eksperyment, który nie ucieka od pokazania słabych stron Wałęsy. Oczywiście o współpracy z SB nie ma tu mowy. Ale wypowiedziane przez teatralnego Wałęsę złote myśli obnażają jego samego. „To ja otworzyłem drzwi do wolności”. „Tu religią jest zawiść i małostkowość”. „Walczycie,

ZANIM FINANSOWANY PRZEZ MIASTO KRAKÓW SPEKTAKL POJAWIŁ SIĘ NA SCENIE NOWEJ
ŁAŹNI, TWÓRCY ZADBALI O TO, BY BYŁ WYDARZENIEM BARDZIEJ POLITYCZNYM NIŻ
ARTYSTYCZNYM. ZE SZKODĄ DLA SPEKTAKLU, KTÓRY WCALE NIE MA JEDNOZNACZNEGO
WYDŹWIEKU. BYĆ MOŻE WBRĘW ZAŁOŻENIOM TWÓRCÓW.

Wałęsy nie wymazano, zrobię to” – wyznaje aktor. A wyznanie zdumiewa, bo sam Stuhr w wypowiedziowym tekście wskazuje na błędzenie i złe decyzje, więc popieranie konsekwencji w takim działaniu zdaje się, mówiąc delikatnie, ryzykowne. Budowanie wizerunku autorytetu – tym bardziej. Reżyser Bartosz Szydłowski również „czuł misję”, przygotowując spektakl. „Trzeba znaleźć w sobie siłę, odwagę, a przede wszystkim cierpliwość i pokorę. Siadam przed kompem albo telewizorem i czuję, jak paraliż ogarnia wszystkie części mojego ciała – od nóg po serce. Trudno żyć w takim stanie. Strach i apatia zjadają nasze społeczeństwo” – sieje grozę reżyser. Choć nie chce wyjaśnić, w jakim stanie trudno mu żyć i o jakiej apatii mówi. Nie zmienia to jednak faktu, że zanim finansowany przez miasto Kraków spektakl pojawił się na scenie Nowej Łaźni, twórcy zadbaliby o to, by był wydarzeniem bardziej politycznym niż

by było gorzej, a nie lepiej”. „Najlepiej byłoby umrzeć po obaleniu czerwonego Sfinksa. Wtedy od razu weszłoby się na pomniki”. Frazesy Wałęsy ośmieszają tu najbardziej jego samego. Są tak szumne, jak idiotyczne. A sam Wałęsa jest jednocześnie wizjonerem i szaleńcem. Człowiekiem pogubionym, niebudzącym zaufania. Dzieckiem we mgle wykrzykującym nośne hasła, których sam do końca nie rozumie. Czuć w tym spektaklu element prawdy o Lechu Wałęsie. A twórcy, chcąc przybliżyć jego postać, stali się poniekąd zakładnikami tego pomysłu. Prezentując artystyczną wizję życia Wałęsy, mogli pominąć rozdział, w którym ich bohater działa jako „Bolek”. To szczególnie trudne nie było. Ale już ukrycie egocentryzmu i bełkotliwych myśli okazało się trudniejsze do przeskoczenia. Jacy twórcy, taki płot. ■



Najemnicy rosyjscy działają już nie tylko w Donbasie i Syrii. W ciągu ostatniego roku pojawili się w wielu innych krajach, głównie afrykańskich, choć ostatnio widziano ich również w Jemenie. To kolejny kraj pogrążony w wojnie – bo głównie w takie miejsca Kreml wysyła najemników, by pilnowali interesów państwa i przyjaciół Władimira Putina.

Antoni Rybczyński

Putin spuścił psy wojny ze smyczy

FOT. ALEKSEI NIKOLSKIY / PAP/TAR-PASS



Doniesienia o rosyjskich „psach wojny” w Jemenie pojawiły się na początku września. To najprawdopodobniej związana z GRU tzw. Grupa Patriota, lepiej wyszkolona i wyposażona, a przede wszystkim z lepszą reputacją niż słynna już Kompania Wagnera. Niewykluczone, że to efekt prośby prezydenta Najwyższej Politycznej Rady Jemenu (organu politycznego rebeliantów Huti). Małdi al-Mashat w lipcu apelował do Putina o „użycie wpływow Rosji i politycznej wagi do zatrzymania wojny domowej w Jemenie spowodowanej przez koalicję Arabii Saudyjskiej i Waszyngtonu”. Oficjalnie Moskwa nie zaoferowała pomocy. Nieoficjalnie mogła wysłać najemników. I nie chodzi tylko o zabezpieczenie rosyjskich biznesowych projektów na Wyspie Sokotra czy długą (od 1962 r.) tradycję wspierania bronią i doradcami lokalnego reżimu komunistycznego. Wszak dla Moskwy Jemen ma strategiczne znaczenie. Uzyskanie kontroli nad Sokotą, w połączeniu z możliwą bazą w Sudanie (o czym np. prezydent Omar Baszir rozma-

Zjednoczone Emiraty Arabskie. Rosji nie udało się dotąd uzyskać zgody na obiekt wojskowy w leżącym 200 km na południe Dżibuti, gdzie bazy ma już szereg państw, od Francji po Chiny, może uda się w Erytrei. W zamian za bazę nad Morzem Czerwonym Moskwa będzie dążyła do zniesienia oenzykowskich sankcji nałożonych na Erytreę. Jest też inna opcja. Jeszcze w kwietniu pojawiły się pogłoski, że Moskwa może uznać Somaliland, region, który oderwał się od Somalii, by w zamian dostać bazę morską na Rogu Afryki.

► Moskale na Czarnym Łądzie

W ostatnich latach wyraźnie Rosja odbudowuje wpływy w Afryce, wszak tak mocne w czasach zimnej wojny. Symbolem dyplomatycznej ofensywy Moskwy była wiosenna podróż Ławrowa – szef rosyjskiej dyplomacji odwiedził kolejno pięć afrykańskich krajów. Znacząca jest informacja, że rosyjscy PR-owcy pojawiają się w kolejnych krajach, gdzie mają się odbywać wybory.

ROSJAN W RŚA TAK NAPRAWDĘ NIE INTERESUJE BEZPIECZEŃSTWO PREZYDENTA CZY PRZYWRACANIE LEGALNYCH RZĄDÓW W KRAJU, LECZ BEZPOŚREDNI DOSTĘP DO BOGATYCH ŹŁÓŻ ZŁOTA I DIAMENTÓW, URANU I PLATYNY.

wiał rok temu z Putinem w Moskwie) uczyniłoby Rosję poważnym militarnym graczem nie tylko w Zatoce Adeńskiej, ale na całym obszarze Morza Czerwonego. Drugi motyw, by wysłać najemników do Jemenu? Pomoc irańskiemu sojusznikowi, który wspiera Huti. Jednak to chęć wojskowego zainstalowania się w strategicznym rejonie (tędy płyną ropa i gaz z Zatoki Perskiej do Europy) wydaje się być najważniejsza. Rosjanie szukają możliwości założenia baz wojskowych w różnych krajach regionu, nie tylko Sudanie. Z informacjami o najemnikach w Jemenie zbiegła się wizyta w Rosji delegacji wysokiego szczebla z Erytrei. Szef MSZ Osman Saleh i doradca prezydenta Yemane Ghebreab przylecieli do Soczi. Po rozmowach Siergiej Ławrow poinformował, że w ramach pogłębiania współpracy dwustronnej zostanie zbudowane rosyjskie „centrum logistyczne” w Erytrei. Rosjanie chcą się zainstalować w jednym z dwóch portów leżących w strategicznych punktach nad Morzem Czerwonym – Massawie lub Assab. W tym drugim swoją bazę morską mają już

Prowadzą monitoring społeczno-politycznej sytuacji oraz badania opinii publicznej. Jak pisze „Kommersant”, to duży projekt obejmujący lata 2018–2019, który pozwoli Moskwie poznać dokładniej wewnętrzną sytuację wielu krajów afrykańskich pod kątem przyszłego budowania tam politycznych sił prorosyjskich. Uczestnicy projektu nie są upoważnieni do udzielania komentarzy mediom oraz mają starać się nie afiszować ze swoimi działaniami.

Rosnące zainteresowanie Rosji Afryką można tłumaczyć przede wszystkim trzema powodami. To ogromny rynek zbytu dla rosyjskiego uzbrojenia. Po drugie, znajdują się tam gigantyczne złoża surowców naturalnych, często bardzo rzadkich i niewystępujących gdzie indziej. Po trzecie, chodzi o zakładanie rosyjskich baz wojskowych w strategicznych punktach i wypieranie z Czarnego Łądu wpływów USA, Francji oraz Chin. Kraje afrykańskie należą do głównych odbiorców rosyjskiego uzbrojenia. Liderami w tym gronie są Algieria, Egipt, Angola i Sudan. Wzrost eksportu rosyj-

skiej broni na Czarny Łąd zaczął się w 2015 roku – o 113 proc. w porównaniu z 2014 rokiem. W 2016 roku jeszcze bardziej wzrosło – o 155 proc. w porównaniu z 2015 rokiem. W 2017 roku eksport broni zwiększył się już tylko o 15 proc. wobec roku poprzedniego. Na sierpniowym forum Armia-2018 pod Moskwą Rosja zawarła porozumienie o współpracy wojskowej z Burkina Faso. Co ciekawe, w kraju tym znajdują się bazy wojskowe USA i Francji. W ostatnich latach Rosja zawarła szereg umów o współpracy wojskowej i wojskowo-technicznej (z opcją dostaw broni) z różnymi krajami Afryki. W 2017 roku z Nigrem, Nigerią i Czadem. Wcześniej z Kamerunem, Beninem, Tunezją, Rwandą, Mozambikiem i Zimbabwe. Od początku 2018 roku z Gwineą, Etiopią, Tanzanią. Z tradycyjnymi partnerami, jak Angola, wciąż są w mocy umowy jeszcze z lat 90. Ważną rolę w rosyjskiej ekspansji mają odgrywać najemnicy. Rosyjscy wojskowi instruktorzy, doradcy i najemnicy z prywatnych wojskowych firm przebywają i aktywnie działają w szeregu państw. Działania Ro-

pojęcie funkcjonujące w opracowaniach ekspertów Klubu Władajskiego. Można w nich przeczytać o „rosyjskiej odpowiedzialności, wraz z USA, Chinami i UE, za utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa na całym świecie”.

► W pałacu Bokassy

Na początku października rosyjska prasa poinformowała, że ministerstwo obrony FR otworzy swoje przedstawicielstwo w Republice Środkowoafrykańskiej (RŚA). Wynika to z podpisanego jeszcze w sierpniu porozumienia o współpracy wojskowo-technicznej. Z rozporządzenia premiera Dmitrija Miedwiediewa wynika, że szef tworzonego przez ministerstwo obrony przedstawicielstwa powinien mieć możliwość odwiedzania jednostek wojskowych, które mają na wyposażeniu sprzęt produkcji rosyjskiej. Majątek przedstawicielstwa będzie chroniony immunitetem, tzn. nie będzie podlegał rewizjom czy nałożeniu aresz-

RÓWNOLEGLĘ Z EKSPANSJĄ W REPUBLICIE ŚRODKOWOAFRYKAŃSKIEJ ROSJANIE MOCNO WESZLI DO SĄSIEDNIEGO SUDANU. TAKŻE TUTAJ, POZA WZGLĘDAMI GEOPOLITYCZNYMI, KRYJĄ SIĘ ZA TYM MOTYWY BIZNESOWE.

si na tym kontynencie wynikają z chęci ugruntowania politycznej i militarnej siły na południowym wschodzie Afryki. Z drugiej strony istnieją przyczyny ekonomiczne. Ważną rolę odgrywają interesy rosyjskich oligarchów.

Prywatne spółki wojskowe, czyli najemnicy, funkcjonują w wielu krajach na świecie. Problem z tymi rosyjskimi polega na tym, że ani nie są one prywatne, ani wojskowe, ani nawet nie są spółkami. Dlatego też nie są wciąż zalegalizowane, choć działają często w interesie państwa i ludzi Kremla, są przez państwowe instytucje (armia, służby) wspierane. Moskwa posługuje się nimi tam, gdzie nie może wystąpić oficjalnie, tam, gdzie nie może wysłać regularnego wojska. Wysłała najemników w strefy wojenne, by wspierali jedną ze stron, czy też w rejonie bogate w surowce naturalne, by ochraniać rosyjskie inwestycje i koncesje. Widać to szczególnie w Afryce. Rosjanie znaleźli już nawet doktrynalne uzasadnienie dla ekspansji ich grup najemniczych na świecie. To tzw. eksport bezpieczeństwa,

tu. Ta decyzja to kolejny krok umacniający wpływy Rosji w RŚA. Głośno o nich stało się latem tego roku, gdy zamordowano w tym kraju trzech rosyjskich dziennikarzy badających aktywność najemników. Moskwa od początku tego roku rozwija swoją obecność w Republice Środkowoafrykańskiej, pogrążonej od kilku lat w wojnie domowej. Poza stolicą kraju Bangi rząd prezydenta Faustin-Archange'a Touadery ma niewiele do powiedzenia. Rebelianci różnej proveniencji kontrolują około 80 proc. kraju. Niewiele pomaga obecność sił pokojowych ONZ. Republika Środkowoafrykańska to była kolonia francuska i to Paryż miał tu zawsze największą rolę do powiedzenia. Francuzi byli tak pewni siebie, że w grudniu 2017 roku nie sprzeciwili się decyzji ONZ otwierającej drogę dla dostaw rosyjskiej broni. Moskwa dostarczyła m.in. 5,2 tys. pistoletów automatycznych i 900 pistoletów Makarowa na wyposażenie dwóch batalionów regularnego wojska RŚA. Rosja rozpoczęła swoją ofensywę w centrum Czarnego Łądu jesienią 2017 roku, gdy w Soczi Siergiej Ławrow przyjął

prezydenta Touadere. W grudniu Moskwa uzyskała od Rady Bezpieczeństwa wyjątek w embargu na broń. Uznano bowiem rosyjską inicjatywę za element międzynarodowych wysiłków (w tym wojskowej misji szkoleniowej UE) na rzecz podniesienia zdolności bojowych armii i sił bezpieczeństwa RSA. Rosja poinformowała niedługo później komisję ONZ nadzorującą embargo o swej misji szkoleniowej w Republice Środkowoafrykańskiej. Miało tam polecieć 175 rosyjskich „instruktorów” – 170 cywilnych, pięciu wojskowych. Rosjanie mieli realizować szereg zadań, m.in.: eskortować konwoje materiałów budowlanych dla szpitali, zabezpieczać szpitale wspierane finansowo przez Rosję, szkolić w obsłudze rosyjskiej broni. W styczniu 2018 roku w Bangi wylądował Il-76 z obiecaną bronią. Ale „instruktorzy” już tu byli – przygotowywali swoją główną bazę w Berengo – na terenie dawnej rezydencji cesarza-kanibala Bokassy, gdzie został zresztą pochowany. Ci „instruktorzy” to w rzeczywistości najemnicy z Kompanii Wagnera. Na dodatek, oprócz szkolenia miejscowych żołnierzy, zajęli się również ochroną osobistą prezydenta Touadery. Rosjanin został także doradcą prezydenta ds. bezpieczeństwa. Walerij Zacharow odpowiada za rokowania z rebeliantami na temat rozbrojenia, demobilizacji, reintegracji i narodowego pojednania, jak też sprawiedliwego podziału wpływów z eksploatacji złóż naturalnych. Co ciekawe, na szkolenia prowadzone przez Rosjan pieniądze wykładają państwa Zachodu (unijny program szkoleń armii RSA). Zaś Stany Zjednoczone dały środkowoafrykańskiej armii blisko 13 mln dolarów na zakup amerykańskiej broni i środków łączności. Nowiutkimi fordami rozbijają się teraz na ulicach Bangi rosyjscy najemnicy.

Rosjan w RSA tak naprawdę nie interesuje bezpieczeństwo prezydenta czy przywracanie legalnych rządów w kraju, lecz bezpośredni dostęp do bogatych złóż złota i diamentów, uranu i platyny. Rosjanie prowadzą podwójną grę. Oficjalnie pomagają rządowi, a jednocześnie intrygują z liderami rebeliantów. Dwaj z nich, Michel Djotodia, były prezydent RSA, oraz Nouredine Adam, lider muzułmańskiej formacji Odrodzenie Republiki Środkowoafrykańskiej, są objęci sankcjami USA i ONZ. Rebelianci kontrolują większość kraju, w tym obszary bogate w ropę, uran i diamenty. Na przykład w marcu Rosjanie spotkali się z Djotodią ws. uzyskania dostępu do platyny i rtęci znajdujących się na kontrolowanym przez niego obszarze. Wspomniany Zacharow korzysta z przyznanych mu oficjalnie kompetencji (dialog pokojowy z rebeliantami w imieniu rządu), aby negocjować w wrogami prezydenta dostęp do bogactw naturalnych.

Moskwa zapewnia, że dąży do przywrócenia pokoju w RSA. Służyć temu ma właśnie wsparcie sił rządowych bronią i szkoleniami. „Pomoc Rosji jest prowa-

dzona jako część wspólnych wysiłków międzynarodowej społeczności, by wzmocnić oddziały narodowego bezpieczeństwa Republiki Środkowoafrykańskiej” – mówił 22 marca rzecznik MSZ Rosji. Nie czyniąc jednak przy tym tajemnicy z zainteresowania Rosji zasobami naturalnymi afrykańskiego państwa. W 2018 roku zaczął się bowiem proces wydawania koncesji na eksploatację. Ale już 25 października 2017 roku w Bangi zarejestrowana została rosyjska firma górnicza Lobaye Invest. 7 listopada zaś zarejestrowana została spółka Sewa Security Services z głównym celem „ochrony obiektów przemysłowych”. Obie firmy ściśle ze sobą współpracują i są kontrolowane przez tego samego biznesmena: Jewgienija Prigożina, przyjaciela Putina. Ale też – co najważniejsze w tym kontekście – sponsora spółki najemniczej Kompania Wagnera. Lobaye Invest jest spółką zależną M-Invest (działa też w sąsiednim Sudanie), zaś pod szyldem Sewa Security Services działają po prostu wagnerowcy. Zajmują się przewożeniem sprzętu wydobywczego ze stolicy RSA Bangi do kopalń oraz jego ochroną. Pracownicy Lobaye Invest kontrolują zaś wznowione niedawno wydobywanie diamentów niedaleko Bernego. Rosjanie są też w kopalni złota Ndassima, która leży około 50 km od Bambari. Wcześniej należała do kanadyjskiej spółki Axmin, w 2013 roku zajęli ją rebelianci, a teraz dopuścili tam nieoficjalnie Rosjan – zapewne za udział w zyskach.

► Złoto i „czarne złoto”

Równoległe z ekspansją w Republice Środkowoafrykańskiej Rosjanie mocno weszli do sąsiedniego Sudanu. Także tutaj, poza względami geopolitycznymi, kryją się za tym motywy biznesowe. Nawet są one najważniejsze. W 2016 roku Sudan zajmował trzecie miejsce w Afryce pod względem poziomu wydobycia złota – ponad 90 ton rocznie. W 2017 roku rząd w Chartumie planował osiągnąć 100 ton i wejść do pierwszej dziesiątki na świecie. Udało się nawet przekroczyć ten pułap. W listopadzie 2017 roku do Soczi (na ogół tutaj właśnie Rosjanie goszczą delegacje z Afryki) przyleciał prezydent Sudanu, Omar Baszir. Najpierw rozmawiał z prezydentem Władimirem Putinem i ministrem obrony Siergiejem Szojgu o możliwości założenia rosyjskiej bazy wojennej na wybrzeżu Morza Czerwonego. Potem Baszir spotkał się z premierem Dmitrijem Miedwiediewem. Wśród podpisanych umów gospodarczych były również te przyznające koncesje na wydobycie złota w Sudanie rosyjskiej spółce M-Invest. Spółka zależna tej firmy w Sudanie, Meroe Gold, już przystąpiła do rozpoznania złóż minerałów. Chodzi o pięć lokalizacji, a w prace zaangażowanych jest około 50 specjalistów. M-Invest została zarejestrowana w lutym 2017 roku w St. Petersburgu. Jej szef i właściciel Andriej

Mandel wcześniej stał na czele spółki Eurogrup, związanej z Prigożynem. Drugi właściciel M-Invest to Jewgienij Uszakow, związany z właścicielami firmy Megaline – spółki, połowa której do 2011 roku należała do spółki Konkord Management and Consulting Prigożina. Sudan jest więc kolejnym, po Syrii i Republice Środkowoafrykańskiej, krajem, gdzie zyski ze złóż naturalnych chce czerpać przyjaciel Putina. I również tutaj działalność jego spółek ochraniają wagnerowcy. Wyprawili się z geologami do Sudanu już w grudniu 2017 roku. W lutym 2018 roku Baszir ogłosił, że Moskwę i Chartum łączy program rozwoju zdolności bezpieczeństwa Sudanu. W jego ramach najemnicy szkolą żołnierzy sudańskich. Ma tam być teraz oficjalnie 100 wagnerowców. Wydobyciem złota w Sudanie zajmuje się także rosyjska spółka Kush for exploration & production CO.Ltd. – w listopadzie 2017 roku dostała nowe koncesje. Do 2016 roku była kontrolowana przez Gazprombank. Od 2013 roku zainwestowała w rozpoznanie i przygotowanie eksploatacji złóż w Su-

tin został zaproszony przez władze Włoch do Palermo na listopadową konferencję na temat Libii. Niemal w tym samym czasie brytyjska prasa podała, że Kreml planuje rozmieszczenie wojsk i raket we wschodniej Libii, by mieć kontrolę nad tamtejszym szlakiem migracyjnym do Europy. Służby wywiadowcze poinformowały premier Theresę May o tym, że Putin chce wykorzystać Libię jako „strategiczny bastion” w walce Zachodem i że kraj ten ma zostać jego „nową Syrią”. Rewelacje gazet brytyjskich potwierdził zazwyczaj dobrze poinformowany rosyjski dziennik „RBK”. Powołując się na źródło zbliżone do ministerstwa obrony Federacji Rosyjskiej, gazeta napisała, że Moskwa w ostatnich miesiącach przerzuciła żołnierzy do Libii, a jej obecność wojskowa w tym kraju związana jest z interesami w sektorze ropy i gazu.

Ważną rolę w rosyjskiej strategii wobec Libii odgrywają najemnicy. W Bengazi i Tobruku na północnym wschodzie kraju działają już dwie bazy formalnie nale-

ROSNAĆE ZAINTERESOWANIE ROSJI AFRYKĄ MOŻNA TŁUMACZYĆ PRZED E WSZYSTKIM TRZEMA POWODAMI: TO OGROMNY RYNEK ZBYTU DLA ROSYJSKIEGO UZBROJENIA; SĄ TAM GIGANTYCZNE ZŁOŻA SUROWCÓW NATURALNYCH; CHODZI TEŻ O ZAKŁADANIE ROSYJSKICH BAZ WOJSKOWYCH W STRATEGICZNYCH PUNKTACH I WYPIERANIE Z CZARNEGO ŁADU WPŁYWÓW USA, FRANCJI I CHIN.

danie około 80 mln dolarów, a jej łączne wydobycie wyniosło około 2,5 tony złota. W 2013 roku ta sama spółka, w obecności Ławrowa, otworzyła uroczyscie w Chartumie centrum nauki języka rosyjskiego im. Puszkina.

Kolejnym przyczółkiem rosyjskim na Czarnym Łądzie ma być Libia, pogrążona w chaosie od 2011 roku, od czasu popartego przez NATO powstania, w którym zabity został wieloletni dyktator Muamar Kaddafi. Ten bogaty w ropę kraj od 2014 roku jest podzielony na konkurujące ze sobą frakcje polityczne i wojskowe z Trypolisu i ze wschodu kraju. Kreml wspiera Chalifa Haftara – przywódcę zbuntowanej Libijskiej Armii Narodowej (LNA), będącej zbrojnym ramieniem rządu w Bengazi – „równoległego” do uznawanego przez społeczność międzynarodową rządu jednoci narodowej w Trypolisie. Niedawno, po rozmowach w Moskwie z szefem MSZ Rosji Siergiejem Ławrowem, włoski minister spraw zagranicznych Enzo Moavero Milanesi poinformował, że Pu-

żąc do Kompanii Wagnera. Szkolone są tam dziesiątki agentów wywiadu wojskowego oraz specnazu pod kątem działania w Libii. Należy przy tym pamiętać, że już wcześniej swego rodzaju rozpoznanie w tym kraju wykonały inne prywatne spółki wojskowe. Najbardziej znana obok wagnerowców była RSB-Grupp – założona kiedyś przez byłych oficerów GRU i FSB. Jej szefem jest absolwent Wyższej Szkoły KGB, Oleg Krynicyn. RSB-Grupp chwali się, że działa w strefach niestabilnych politycznie, ale tylko w porozumieniu z legalnym rządem danego kraju. Pozostaje jednak kwestia interpretacji legalności rządu. W Libii do tego miana pretendują dwie różne ekipy. Międzynarodowo uznawany jest ten w Trypolisie, ale RSB-Grupp zawarła kontrakt ze współpracującym z Moskwą generałem Chalifą Haftarem, dowódcą sił zbrojnych rządu kontrolującego wschodnią część Libii. Akurat tutaj właśnie znajduje się większość złóż ropy i gazu. Stu saperów z RSB-Grupp wiosną 2017 roku rozminowało instalacje naftowe w Bengazi. ■

Szwedzko-chińska konfrontacja

Hanna Shen



W ostatnich tygodniach doszło do ostrego konfliktu dyplomatycznego między Chinami i Szwecją. Sprawa dotyczyła wyrzucenia chińskich obywateli z hotelu w Szwecji i żartów z Chińczyków w szwedzkiej telewizji, które nie spodobały się władzom ChRL. Napięcie na linii Pekin-Sztokholm zaczęło się jednak już dużo wcześniej od porwania i uwięzienia szwedzkich obywateli przez chińską bezpiekę oraz prób ograniczenia działalności szwedzkiego dziennikarza.



Wszystko wyglądało na blahe nieporozumienie. We wrześniu tego roku chińska rodzina Zengów przybyła w nocy do jednego z hoteli w Sztokholmie. Mieli zarezerwowany nocleg od następnego dnia i poinformowali obsługę hotelu, że tej nocy prześpią się w holu. Pracownicy odpowiedzieli, że jest to niemożliwe, ale rodzina nadal obstawała przy swoim. W końcu wezwano policję, a jej interwencja została zarejestrowana na nagraniu. Na filmiku widać m.in. syna państwa Zeng prowadzonego przez dwóch funkcjonariuszy i krzyczącego głośno: „To morderstwo! Patrzcie, jesteście tu, a ludzie są chorzy”. Na nagraniu można zobaczyć też, jak ojciec leży na chodniku, a reszta rodziny lamentuje. Głos w sprawie zabrała Ambasada ChRL w Szwecji, wydając dwa oświadczenia. W pierwszym ostrzegła Chińczyków, że podróże do Szwecji są niebezpieczne, bo grożą kradzieżą, rabunkiem i złym traktowaniem ze strony lokalnej policji. W drugim placówka informuje, iż Pekin jest rozgniewany całym zajściem w hotelu i że funkcjonariusze szwedzkiej policji naruszyli podstawowe prawa chińskich obywateli.

► Wypadek w stylu „pengci”

Pięć dni po wydarzeniu szwedzka prokuratura ogłosiła, iż nie podejmie śledztwa w sprawie postępowania służb, gdyż nie doszło do popełnienia przestępstwa. Tymczasem zwykli Chińczycy, oglądając materiał z interwencji policji w Szwecji, mieli podzielone opinie. Byli tacy, którzy w internecie wyrażali oburzenie sposobem potraktowania rodziny Zengów i uważali, że należy ostro zareagować. Sugerowano nawet bojkot szwedzkich firm i produktów na przykład z Ikei. Ale byli też tacy, którzy w zachowaniu chińskiej rodziny widzieli znany w Chinach wzór postępowania zwany „pengci” (objąć się o porcelanę). Termin ten został wymyślony, aby opisać technikę używaną przez oszustów, którzy czekają z delikatnymi porcelanowymi naczyniami na ruchliwym rynku lub w sklepie i żądają zapłaty, gdy naczynie zostanie rozbite, rzekomo z powodu nieostrożności przechodzącego. Teraz „pengci” często odnosi się do aktu rzucania się na nadjeżdżający samochód, aby ubiegać się o rekompensatę* po „wypadku”. Wielu chińskich internautów uważało, że rodzina

Zengów zainscenizowała całe wydarzenie w hotelu i rzekomy atak policji, czyli zastosowała technikę „pengci”, by otrzymać zadośćuczynienie.

Kilka dni później doszło do kolejnego incydentu. W programie „Szwedzkie wiadomości” w stacji SVT przedstawiono sprawę wyrzucenia chińskich turystów z hotelu, a całej relacji towarzyszyły satyryczne komentarze na temat Chińczyków. Do materiału szybko odniósł się rzecznik chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych Geng Shuang, stwierdzając, że doszło do „wielkiej obrazy i burzającego ataku na Chiny i chiński naród”. Wezwał do podjęcia natychmiastowych działań.

Oświadczenie znów wydała też chińska ambasada w Szwecji, stwierdzając, że „program STV i jego prezenterzy szerzą i bronią rasizmu i ksenofobii [...] oraz otwarcie prowokują i nakłaniają do rasowej nienawiści i konfrontacji z Chinami”. Strona chińska domagała się przeprosin, na co wydawca programu odpowiedział, że jest to program satyryczny, więc stacja nie widzi potrzeby jakiegokolwiek reakcji.

Oczywiście ostra odpowiedź ze strony władz chińskich w przypadku dwóch błahych wydarzeń ma głębsze dno i była tylko dodatkiem do konfliktu pomiędzy Chinami i Szwecją, który zaczął się już wcześniej od porwań szwedzkich obywateli przez chiński aparat bezpieczeństwa. Jojje Olsson, szwedzki dziennikarz i autor książki pt. „Szwedzi, którzy zostali porwani przez Chiny”, mówił wtedy o niespotykanym wręcz sposobie potraktowania obywateli jego kraju, o całkowitym upokorzeniu. Olsson uważa, że chiński reżim bada grunt: jak daleko może się posunąć w kwestii nękania i łamania prawa międzynarodowego, zanim Szwecja i reszta świata naprawdę zareagują, i jak łatwo Pekin może wykorzystywać blahe wydarzenia, by podgrzewać nieprzychylną atmosferę wśród obywateli Chin wobec innego państwa.

► Za krytykę KPCh będziesz siedział

W 2015 roku doszło do serii porwań dokonanych przez chińską bezpiekę hongkońskich wydawców, którzy publikowali książki poświęcone rządzącym Chinami elitom komunistycznym. Wśród uprowadzonych był Gui Minhai. Uprowadzono go nie bezpośrednio z Hongkongu, lecz gdy przebywał w Tajlandii i poprzez Kambodżę dostarczono go do Chin. Przez kilka miesięcy nie było wiadomo, co tak naprawdę stało się z wydawcą, a o jego los zaczęły pytać media i władze Szwecji, bo Gui Minhai posiada także obywatelstwo tego kraju. Wiadomo było, że on i jego kole-

* W internecie można znaleźć wiele filmików pokazujących, jak Chińczycy chcą wymusić odszkodowanie po rzekomym wypadku w stylu „pengci”.

dzy** zaginęli w wygodnym dla chińskiej władzy komunistycznej momencie – tuż przed publikacją przez nich książki pt. „Xi i jego sześć kobiet” – o romansach chińskiego prezydenta Xi Jinpinga. Poprzednie pozycje wydane m.in. przez Guia i dotyczący życia oficjeli ChRL i kulis władzy w Pekinie cieszyły się dużą popularnością wśród Chińczyków przybywających do Hongkongu i kupujących te pozycje wydawnicze.

W styczniu 2016 roku władze Chin pokazały w telewizji wywiad z przebywającym w areszcie Gui Minhaiem. Wydawca przyznał się w nim, że w 2003 roku spowodował wypadek samochodowy w chińskim mieście Ningbo (prowincja Zhejiang). Prowadząc pod wpływem alkoholu, potrącił i zabił 23-letnią studentkę. Dostał za to dwa lata w zawieszeniu, ale zamiast pozostać przez ten czas w Chinach, wyjechał. Pekin twierdził, że właśnie dlatego Gui musiał ponownie trafić do chińskiego więzienia. W wywiadzie, który w rzeczywistości był przyznaniem się do winy, wydawca zaapelował też do władz Szwecji, aby nie interweniowały w jego sprawie, bo choć ma paszport tego kraju, to czuje się Chińczykiem. Rodzina i znajomi Guia po obejrzeniu wywiadu przyznali, że mężczyzna zachowywał się dziwnie i nie mówił własnymi słowami.

Sprawa uprowadzenia Guia i innych wydawców wywołała oburzenie w Hongkongu, bo jak stwierdził Benny Tai, wykładowca na Wydziale Prawa Uniwersytetu Hongkońskiego, pokazała, że jeśli Hongkończycy powiedzą coś na terytorium Hongkongu, co nie jest akceptowane przez chińskie władze, to będą podlegali karze. Był to znak, że dawna kolonia brytyjska przestała stanowić bezpieczne miejsce dla swoich obywateli.

Sprawa porwania Guia zaczęła też bulwersować opinię publiczną w Szwecji. W 2017 roku szwedzka organizacja mediów przyznała hongkońskiemu księgarzowi nagrodę za obronę wolności słowa. W październiku tego samego roku Pekin poinformował, że Gui Minhai został zwolniony z więzienia. Kilka dni po tej wiadomości do szwedzkiego konsulatu w Szanghaju zadzwoniła osoba, która przedstawiła się jako Gui i po szwedzku poinformowała, że zamierza prosić o szwedzki paszport za miesiąc lub dwa, a na razie chce spędzić trochę czasu z chorą matką. Córka wydawcy zaskoczona faktem, że rzekomo zwolniony ojciec jeszcze się nie skontaktował z rodziną, dodała także, że jej babcia nie ma żadnych problemów zdrowotnych. Następna informacja o hongkońskim wydawcy pojawiła

** Oprócz Gui Minhaia Pekin uprowadził 4 innych wydawców.

się w styczniu 2018 roku. Gui miał być widziany w pociągu do Pekinu, gdzie udawał się w towarzystwie szwedzkiego dyplomaty do lekarza – wiadomo, że w trakcie pobytu w chińskim więzieniu Gui zachorował na serce. W pewnym momencie do przedziału wtargnęli agenci bezpieki i znów porwali wydawcę. I ponownie zatrzymany Gui Minhai pojawił się w telewizji chińskiej***. Tym razem zmuszono go do krytyki działań władz Szwecji w jego sprawie.

Hongkoński wydawca cały czas przebywa w chińskim więzieniu, a Pekin nic sobie nie robi z żądań władz Szwecji dotyczących uwolnienia obywatela ich kraju. Co więcej, Ambasada ChRL w Szwecji prowadzi kampanię, której zadaniem jest dyskredytacja Gui Minhaia. Z materiałami służącymi skalowaniu wydawcy chiński dyplomaci starają się docierać do dziennikarzy, polityków, środowisk akademickich w Szwecji.

Według Jojje Olssona, jeśli chińskim władzom ujdą na sucho ataki na szwedzkich obywateli i manipulowanie prawdą, istnieje ryzyko, że takie działania KPCh nie tylko będą kontynuowane, lecz wręcz zintensyfikowane.

Szwedzki dziennikarz używa określenia „ataki na obywateli Szwecji”, bo Gui nie jest jedynym Szwedem, który trafił w ostatnich latach w ręce chińskiej bezpieki.

► Szwed w czarnym więzieniu

Na początku 2016 roku chińska bezpieka porwała innego obywatela Szwecji Petera Dahlina. Dahlin to aktywista na rzecz praw człowieka i założyciel organizacji Chińskie Działanie, która pomaga chińskim prawnikom walczącym o przestrzeganie swobód obywatelskich w Państwie Środka. Uprowadzono go, gdy opuszczał Chiny – był w drodze na lotnisko, skąd miał odlecieć do Tajlandii. Szwedzki aktywista następnego 23 dni spędził w tzw. czarnym więzieniu (heijianyu), oficjalnie nieistniejącej placówce penitencjarnej, do których trafiają niewygodne dla władzy komunistycznej osoby. I znów – jak w przypadku Gui Minhaia – i w sprawie Petera Dahlina nie mogło obyć się bez wyznania winy. Dahlin „wystąpił” w chińskiej

*** Opublikowany w kwietniu tego roku przez amerykański Departament Stanu raport nt. przestrzegania praw człowieka w 2017 roku (2017 Human Rights Report) mówi o coraz częściej stosowanej przez władze ChRL metodzie wymuszonych przyznań się do win przez oskarżonych, które są nadawane w telewizji. Doświadczali tego zatrzymani prawnicy, zagraniczni i krajowi blogerzy, dziennikarze i przedsiębiorcy. W większości przypadków takie wymuszone publiczne wyznania winy są efektem tortur.

telewizji. Przyznał się, że udzielał pomocy prawnej firmie Fengrui, i dodał, iż swoim działaniem naruszył chińskie prawo, czym spowodował określone szkody dla chińskiego rządu i społeczeństwa tego kraju. Po tej „spowiedzi” Dahlinowi pozwolono opuścić Chiny. Już na wolności szwedzki aktywista przyznał, że jego wyznanie było wymuszone. Chińska bezpieka zatrzymała także jego dziewczynę – obywatelkę ChRL – po to, by wywierać wpływ na szwedzkiego aktywistę. Dahlin opisał także tortury, jakim poddawano go w więzieniu: „zawijano mu oczy, pozbawiano snu, przesłuchiowano przez wiele godzin”. Cały czas w celi był strażnik obserwujący każdy ruch uwięzionego, nawet gdy ten korzystał z toalety.

To nie mogło podobać się Pekinowi, który ostro cenzuruje dziennikarzy piszących o działaniach KPCh****. Na początku 2017 roku Jojje Olsson dowiedział się, że jest *persona non grata* w Państwie Środka. Nie przedłużono mu wizy. Po publikacji książki pt. „Szwedzi, którzy zostali porwani przez Chiny” dziennikarz tak jak Gui Minhai stał się ofiarą chińskiej kampanii oszczerstw mających zniszczyć jego reputację. „W jednym z chińskich komunikatów prasowych zostałem wymieniony z nazwiska i określany jako »wprowadzający w błąd« i »bezwstydny«. Ambasada Chin w Szwecji zasugerowała, że każdy, kto ma »odrobinę zdrowego rozsądku«, może z łatwością zobaczyć, że celem moich artykułów jest dyskre-

W 2015 ROKU DOSZŁO DO SERII PORWAŃ DOKONANYCH PRZEZ CHIŃSKĄ BEZPIEKĘ HONGKONSKICH WYDAWCÓW, KTÓRZY PUBLIKOWALI KSIĄŻKI POŚWIĘCONE RZĄDZĄCYM CHINAMI ELITOM KOMUNISTYCZNYM.

Szwedzki aktywista uważa, że został wypuszczony ze względu na to, iż cierpi na chorobę Addisona. „Nie chcieli, by cudzoziemiec zmarł im na rękach” – uważa Dahlin, który teraz przebywa w Tajlandii, ale nadal nie może zapomnieć tego, co spotkało go w czarnym więzieniu. „Na początku po zwolnieniu było najgorzej. Każdy mały ruch w nocy mnie budził. Spałem z nożem obok łóżka i byłem gotowy wbić go w pierwszego Chińczyka, który pojawi się u moich drzwi” – powiedział Peter Dahlin.

► Wyrzucić i oczernić niewygodnego dziennikarza

Osobą, która nagłośniła to, co spotkało Gui Minhai i Petera Dahlina i nadal walczy o uwolnienie hongkońskiego wydawcy, jest szwedzki dziennikarz Jojje Olsson. Przez siedem lat mieszkał w Chinach. W szwedzkich mediach pisał i opowiadał nie tylko o porwanych obywatelach swojego kraju. Donosił też o działaniach Pekinu na Morzu Południowochińskim**** i ogromnym zatruciu środowiska w ChRL.

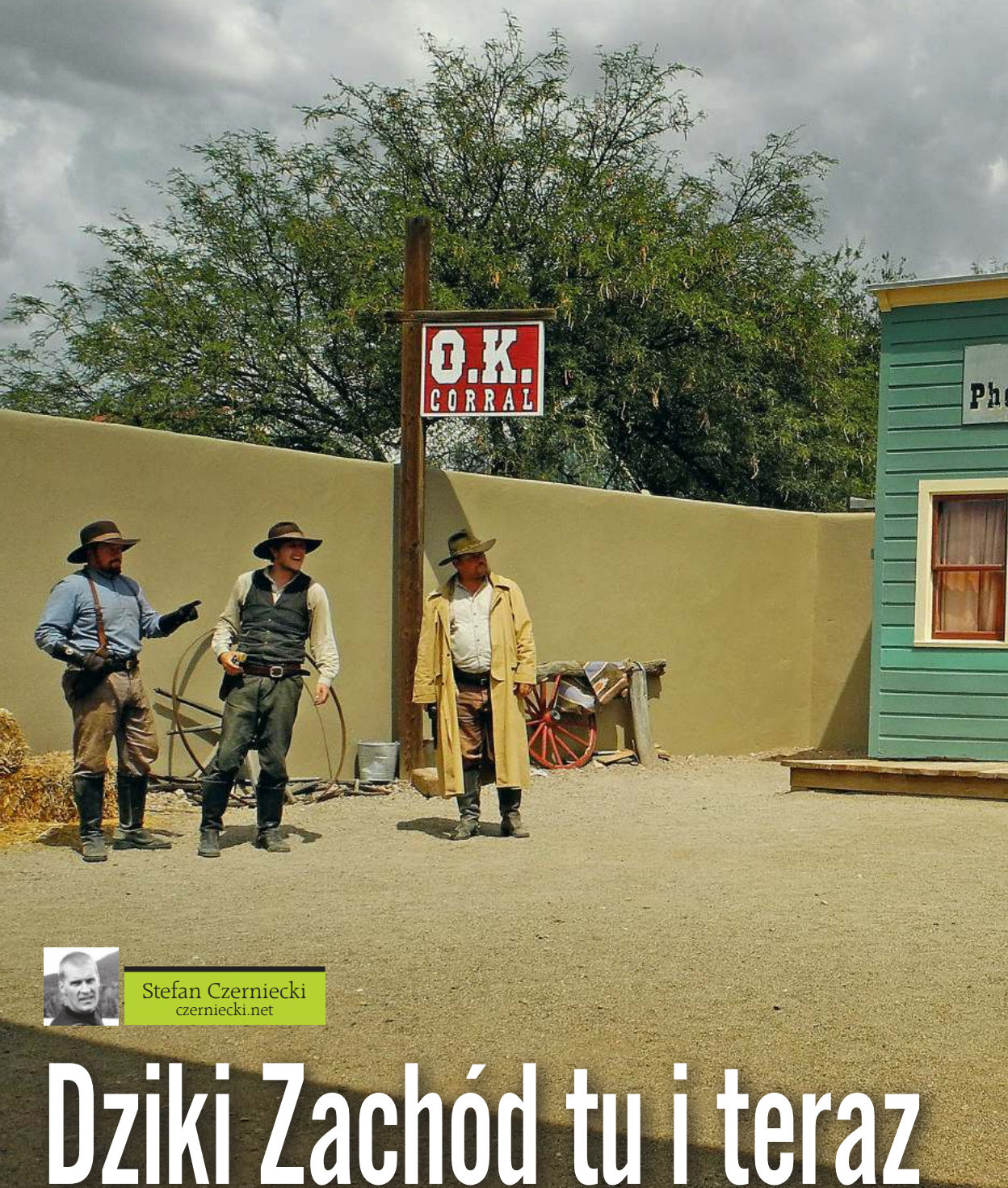
****Na wodach Morza Południowochińskiego Pekin buduje sztuczne wyspy i dokonuje ich militaryzacji.

dytowanie Chin, kraju, którego nie rozumiem” – opowiada Olsson „Nowemu Państwu”.

Szwedzki dziennikarz dodaje, iż Tajwańskie Stowarzyszenie Dziennikarzy***** zauważyło, że odkad w 2016 roku Olssonowi próbowano ograniczyć swobodę działania i odmówiono mu chińskiej wizy z powodu jego pracy, to atak na niego osiągnął bezprecedensowy poziom. Według Ian Chena, przewodniczącego Tajwańskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy, chyba nigdy indywidualny dziennikarz nie był tak dyskredytowany w oficjalnych materiałach na stronie ambasady ChRL jak w przypadku Jojje Olssona. ■

***** Na przełomie 2015 i 2016 roku z Chin wydaloną korespondentkę francuskiego tygodnika „Le Nouvel Observateur” Ursulę Gauthier, która pisała o prześladowaniach Ujgurów w prowincji Xinjiang. W czasie wizyty prezydenta Xi Jinpinga w Polsce Pekin zażądał cofnięcia akredytacji dla dwóch dziennikarzy Tomasza Ozimka z „Epoch Times Deutschland” i Hanny Shen z „Gazety Polskiej Codziennie”.

***** Jojje Olsson po niewpuszczeniu go do Chin przeniósł się na Tajwan i stąd relacjonuje wydarzenia w Chinach i na Tajwanie.



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Dziki Zachód tu i teraz



Historia Dzikiego Zachodu toczy się cały czas. Nawet teraz. I nie chodzi tu wcale o kolejne wielkie ekranizacje amerykańskiego westernu. Lecz o małą osadę południowej Arizony. Gdzie dokładnie 137 lat temu miała miejsce najsłynniejsza dziś strzelanina Dzikiego Zachodu.



Tombstone – tutaj nadal czuć ducha zamierchłej epoki Dzikiego Zachodu

To musi być gdzieś tutaj... – Krzysiek uważnie się rozgląda. Kilka minut temu wjechaliśmy do półtoratysięcznego Tombstone. Miasta, które jakby zasnęło. Do tej pory każdy wjazd z długiej i nużącej trasy po pustych preriach był niczym orzeźwiający prysznic. Po pustych, ciągnących się kilometrami trasach w amerykańskich miasteczkach zwykle jednak coś się działo. Otwarte sklepy. Mrugające banery. Space-rujący ludzie. Dzieci jedzące lody. Ślimaczący się patrol policji. Samochody szukające miejsca parkingowego. Muzyka dobiegająca z warsztatu.

A tutaj jest jakby inaczej. Nawet z miejscem do zaparkowania nie ma większych trudności.

– Postaw się tutaj. Obok tego jakby ratusza – dyryguje Jurkiem Krzysztof. – Są wolne miejsca. Nawet w cień.

– Dziwne, że to bezpłatne. Tak nie po amerykańsku jakoś... – zastanawia się na głos Jerzy.

– Parkuj, parkuj, nie marudź. Nie mamy czasu!

Na ulicach pustki. Ma to urok, nie da się ukryć. Mijamy pozostawiony samemu sobie starodawny drewniany powóz. Taki najprostszy z możliwych. Tak dobrze nam znany z wszelkich filmowych produkcji o Dzikim Zachodzie. Dalej jest jeszcze ciekawiej. Niskie drewniane domki. Wąskie fasady budynków niczym zbudowanych z kartonów. I szeroka ulica przez sam środek. Na

szczęście bez samochodów. Tutaj ruch kołowy jest zabroniony. Przed wjazdem stoi zakaz. Oraz specjalnie skonstruowany wyjątkowy szlaban. Też w istic westernowskim stylu. To Allen Street. Dla wielbicieli historii o Dzikim Zachodzie najsłynniejsza ulica Arizony. Dwieście metrów spełnienia marzeń. Powrotu do dziecięcych wyobrażeń. Tych o szeryfach z gwiazdkami przy piersi. Tych o wałęsających się tu i ówdzie kowbojach w przybrudzonych szarych spodniach. Tych o słynnych krzaczkach przewracających się od podmuchów wiatru i toczących się po głównych ulicach miasteczek.

► Czterech wspaniałych

Zaraz, zaraz... Sen czy jawa. Na środku pustej ulicy dostrzegam naraz czterech mężczyzn. Ubranych dokładnie jak na amerykańskich westernach. Każdy z bronią. Czarne płaszcze. Świeące z daleka odbitym słońcem światłem gwiazdki szeryfa. Skórzane pasy na biodrach. I czarne kapelusze na głowach. Idą równo, w jednym szeregu. Jakby na pokaz. Jakby chcieli zwrócić na siebie uwagę. – Strzelanina już zaraz! Zapraszamy! – krzyczy najwyższy i zarazem najszcuplejszy z nich.

Zatrzymują się przed jednym z wejść do tutejszych sklepów. Chciałoby się napisać: „do westernowskiego baru”. Dopiero teraz dostrzegam napis znajdujący się



Co bardziej wymagający turyści przejadają się nawet dyliżansem. Z epoki „Doc’a” Holliday’a

przed. „Strzelanina O.K. Corral – dziś o 11:30”. Wszystko już jasne. Panowie stoją jeszcze kilkanaście minut. A nuż trafi się jeszcze jakiś klient. Rozmawiają wesoło. Śmieją się. A przecież z pewnością czują wycelowane w siebie lufy aparatów przechadzających się po Tombstone pojedynczych turystów. Odnoszę wrażenie, że chyba nie sprawia im to jednak większego problemu. W końcu to aktorzy.

W pewnej chwili z drzwi wychodzi umorusany piachem mężczyzna. Przy dystygowanych, ładnie ubranych w skrojone kamizelki panach ten wygląda na obdartusa. Rękawy białej koszuli wystają spod zielonkawej kamizelki. Wszystko poślizgnięte od piasku. Pan wygląda, jakby przed chwilą wyszedł z gigantycznej piaskownicy, w której świetnie się bawił. Przy pasie niestannie wiszący rewolwer.

- Panowie, pora zaczynać. Ludzie czekają.
- Ok, w porządku, John. Już idziemy. Szykujcie się – odpowiada ze spokojem najwyższy z czwórki elegan-
tów.

► 25 dolarów za zakłócanie ciszy nocnej

Październik 1881 roku. Niewielka osada południowej Arizony. Niedawno w prasie ukazała się krótka notka o poszukiwanych czterech kowbojach. Czarna,

wyraźnie pogrubiona czcionka na poślizniętym gazety-
m papierze sprawiała, że czytelnik nie był w stanie nie zauważyć tych imion i nazwisk. A stało wyraźnie. Ike Clanton, Billy Clanton, Tom McLaury i Frank McLaury. Po dwóch braci. Dobrze znanych tutejszej ludności. Aż zanadto. Drobni watażkowie. Stali bywalcy baru przy głównej ulicy. Hałaśliwi, butni i agresywni. Lubiący zaczepki. Lubiący wyzwania. Lubiący, gdy wokół nich jest głośno. Gdy coś się dzieje. I teraz faktycznie – coś się działo. Kilka dni temu z oddziałów US Army skradziono kilka mułów. Po kilku dniach poszukiwań prowadzący śledztwo szeryf Tombstone Wyatt Earp natrafił na przestemplowane zwierzaki. Ktoś przemienił wypalone na ich sierści „US” na „D8”. Wszystkie ślady prowadziły do znanych Earpowi braci. Cóż... Nie pierwszy już raz.

Po odbyciu kary bracia ponownie trafiają na dywanik szeryfa. Tym razem sprawa toczy się o rabunek dyliżansu. Earp wie, że tym razem to nie bracia byli bezpośrednimi sprawcami napadu. Prawdopodobnie znają jednak odpowiedzialnych. Szeryf namawia Ike’a Clantona do współpracy. Niestety, spotyka się z odmową. Atmosfera gęstnieje. Do kolejnych sprzeczek dochodzi przy bardzo prozaicznych sytuacjach. Gdy brat szeryfa Virgil Earp aresztuje kolegów braci Clantonów i McLaurych, niejakich Pete’a Spence’a i Franka Stillwella, jest



– Przyjechałeś zobaczyć strzelaninę pod O.K. Corral? – nalewająca chłodne piwo barmanka nie ustępuje

jasne, że stosunki między pilnującymi prawa w Tombstone a tzw. cowboys (w tamtych czasach słówko „cowboy” oznaczało zwykle osobę znajdującą się poza prawem; hodowców bydła nazywano raczej „ranczerami”, rzadziej „pastuchami krów”, czyli „cattle herders”) kształtują się gorzej niż kiedykolwiek.

Jest 5 października 1881 roku. Ike Clanton i Tom McLaury przybywają do Tombstone, aby puścić się w istne tournée po tutejszych barach i salonach. Cała noc upływa im przy pokerze, zakrapianym sporą dawką whisky. Prowokują tych, którzy próbują ich uciszyć. Być może jest to reakcja obronna Clantona, który kilka miesięcy temu stracił ojca. Zginął w sierpniu podczas potyczki z milicją meksykańską w Guadalupe Canyon. Clanton nadal nie potrafi pogodzić się z tą stratą. Dla niego stróż prawa to nieprzyjaciel. Nie inaczej traktuje więc braci Earpów oraz pomagającego im w utrzymaniu porządku w mieście Doğa Hollidaya, uważanego za najszybszą rękę wśród rewolwerowców całego Południa. Obraża ich imiona, wyzywa, płuje, gdy o nich mówi.

Kolejnego dnia nie jest inaczej. Nie uleczywszy kaca, Ike Clanton spaceruje po opustoszałym ze strachu mieście, wykrzykując głośno pogroźki wobec stróżów prawa. – Wyatt, Doc! Ike poluje na was, chłopcy. Z winchesterem i rewolwerem. Oj, posypią się dziś kule, posypią...

Słyszysz to z okna hotelu pewna dziewczyna. Nazywa się Flaya Kate Elder. To ona pójdzie obudzić zasnętego jeszcze „Doga” Hollidaya. Najsłynniejszy rewolwerowiec

Dzikiego Zachodu nie zdąży jednak wybiec na ulicę, gdy po głośnego zawadiakę wychodzi Wyatt Earpo wraz z braćmi Morganami. Nie muszą długo szukać. Pijackie krzyki Clantona dochodzą z Allen Street. Szeryfowie bez zbędnych słów podchodzą i rozbijają hulakę. Rewolwer Clantona powęduje do depozytu urzędu miasta. Wypisują mu także mandat. Za zakłócanie porządku i ciszy nocnej. Ma zapłacić 25 dolarów. Sytuacja wydaje się być opanowana.

► Pomoc niepotrzebna

Niestety nie jest. Broń, którą konfiskują szeryfowie Tombstone, nie jest jedyną, którą przywiózł tego dnia do miasta Clanton. Jak się zaraz okaże, ma jeszcze karabin. Przywiązany do siodła swego konia, którego pozostawił pod zagrodą O.K. Corral. Po uiszczeniu kary za mandat, wściekły wraca właśnie w to miejsce. Czekają na niego McLaury. Wraz z nim udają się po amunicję do sklepu Spangenberg. Sytuacja znów staje się niezwykle napięta. Widzący, co się dzieje mieszkańcy miasta, zrzeszeni w Komisji Bezpieczeństwa Obywatelskiego, proponują Virgilowi Earpowi swoją pomoc. Razem dadzą radę gagatkom. Szeryf odmawia przyjęcia pomocy. Twierdzi, że wraz z bratem kontrolują sytuację. Po kilku minutach dołączają do nich zaalarmowany przez Flayę Kate „Doc” Holliday. Razem udają się do biura kompanii Wells Fargo. Chcą wypożyczyć krótkolufowe strzelby. Już do-



„Boothill Graveyard”, czyli cmentarz tych, którzy „umarli w butach”

brze wiedzą, jak może się zakończyć ten późny poranek w Tombstone. Poranek 26 października 1881 roku.

Po zakupach nie muszą się długo zastanawiać, gdzie mają się udać. Przestraszeni mieszkańcy miasta uważnie kontrolują ścieżkę przemieszczania się braci Clantonów i McLaurych, szybko informując stróżów o ich aktualnej lokalizacji. Wszystkie znaki wskazują jedno miejsce. Stajnia O.K. Corral. Są tam już wszyscy. Ike i Billy Clantonowie, Tom i Frank McLaury oraz Billy Claiborne. Uzbrojeni wszyscy poza jednym. Uzbrojeni nielegalnie. Tylko szeryf miał bowiem prawo do broni na Dzikim Zachodzie.

– To nasza walka – oznajmia bezceremonialnie w pewnej chwili Wyatt Earp szykującemu się z nim do rewolwerowej rozróby „Docowi” Hollidayowi.

– Oj, Wyatt... – Holliday nawet nie spogląda na szeryfa. – Cholernie nieładnie do mnie mówisz.

Staje się jasne, że najlepsza strzelba Dzikiego Zachodu nie pozwoli dziś przegonić się przyjacielowi. „Doc” chowa jedynie swojego Colta Lightninga pod płaszcz, aby nie budzić sensacji. Ta jednak już dawno zdążyła urosnąć do granic możliwości. Ludzie przekazywali sobie wzajemnie tempo akcji oraz scenariusz, jaki tego dnia pisała ulica w Tombstone. Wychodzili na werandy swoich domów. Co mniej odważni obserwowali wszystko zza firanek swoich drewnianych okien.

Bracia Earp i Holliday ruszają. Wpierw ulicą Czwartą, by następnie skręcić we Fremont. Nieco dalej odbija-

ją w lewo ulicą Trzecią. Stąd pod numer 32 ulicy Allen nie jest już daleko. Po chwili są na miejscu.

► Najśłynniejsza strzelanina na Dzikim Zachodzie

Bracia Clantonowie, McLaury oraz Claiborne zajęci są w tym czasie przygotowaniem swoich koni do jazdy. Nie spodziewają się gości. Na widok zbliżającej się czwórki Claiborne ucieka od razu. Pozostali stoją niczym zaczarowani. Nie wiedzą, co robić. Billy, Ike Clantonowie oraz Frank McLaury są zupełnie nieosłonięci od przeciwnika. Więcej szczęścia ma Tom McLaury, który stoi akurat za swoim koniem. Dzięki czemu najłatwiej mu sięgnąć po winchestera.

– Chłopcy, podnieście ręce, chcę waszą broń – Virgil Earp daje jeszcze sobie i przeciwnikom ostatnią szansę. Może nie skończy się strzelanina. Widzi jednak zdeteminowane twarze kowbojów. – Stójcie! Nie chcę tego!

Nagle słychać dwa strzały. Prawdopodobnie wystrzelone w tym samym ułamku sekundy. Po nich padają następne. Będzie ich w sumie około trzydziestu. W ciągu ledwie pół minuty. Zaczyna się rzeź. Przeciwnicy strzelają do siebie z odległości dosłownie kilku metrów. Przetrwają tylko najszybsi. Pierwszy na ziemię pada Frank McLaury. Morgan Earp otrzymuje w zamięs postrzał w ramię. Tak to będzie teraz wyglądało. Strzał za strzał. Nabój za nabój. Igranie ze śmiercią. Ranny Morgan ponownie strzela do

leżącego Franka. W tym samym czasie „Doc” Holliday bierze na siebie Toma McLaury’ego. Obchodzi konia i strzela z karabinu w prawe ramię przeciwnika. Widząc całą grozę sytuacji, Ike Clanton jest zupełnie przejęty. Nie potrafi utrzymać rewolweru. Z wrażenia upuszcza go w pewnej chwili na ziemię.

– To już nie żarty, Ike! Walka się zaczęła. Zaczni strzelać albo spieprzaj – woła do niego dobroduszy Wyatt Earp. Słyszając tę propozycję, starszy z braci Clantonów postanawia z niej skorzystać. Ucieka. Dzięki temu przeżyje. Jego brat bije się dalej. Zanim umrze, postrzelony w pierś i w prawy nadgarstek, zdąży jeszcze trafić Virgila Earpa w nogę. Tymczasem „Doc” Holliday dalej walczy z postrzelonym już Tomem McLaurym. – Teraz to już cię mam! – krzyczy do „Doca” osłonięty przez konia kowboj. – Holliday jednak jest za starym wygą, aby dać się zastrzelić. Dostaje jedynie w biodro. Wyciąga colta i wypala kulę wprost w głowę Toma. W tym samym momencie do Toma strzela też Morgan Earp. Kowboj będzie się jeszcze męczył godzinę, zanim umrze. Podobnie jak jego kompan Billy Clanton.

Powoli opada kurz na Allen Street. Strzelanina pod O.K. Corral dobiega końca.

► Winien–niewinien

Bilans zysków i strat jest jednoznaczny, kto odniósł zwycięstwo w najsłynniejszym pojedynku Dzikiego Zachodu. Frank McLaury zostaje zastrzelony na miejscu. Jego brat Tom oraz Billy Clanton śmiertelnie ranni umrą zaraz po. Ike Clanton oraz Billy Claiborne, ratując się ucieczką, pozostaną przy życiu. Po stronie stróżów prawa nie ginie nikt. Virgil Earp ma niegroźnie zranioną nogę. Jego bratu Morganowi obficie krwawi ramię, zaś „Doc” Holliday kużyty na postrzelone biodro. Wyatt Earp wychodzi ze strzelaniny bez szwanku.

Historia osławionego pojedynku pod O.K. Corral będzie mieć rzecz jasna jeszcze swój ciąg dalszy. Każda ze stron doczeka się wiernych obrońców, którzy ostatecznie spotkają się w sądzie. Ike Clanton oskarży szeryfów wspieranych „Docem” Hollidayem o morderstwo z zimną krwią. Będzie twierdził, że cała piątka nie chciała stawić oporu, w jednej chwili podniosła ręce do góry, rzuciła broń i zachowywała się spokojnie. Będzie uważał, że Earpowie zaczęli strzelać z zimną krwią. Przesłuchiwanie bracia Earp wraz z Hollidayem przedstawia sprawę w zupełnie inny sposób, twierdząc, że działali w obronie koniecznej. Na kilka lat miasteczko Tombstone będzie podzielone. Stronnicy szeryfów będą wspierać ich wersję wydarzeń. Wydawca gazety „Tombstone Epitaph” John Clum będzie nawet nawoływał do stworzenia lokalnego komitetu obrony przed kowbojami. Jego konkurent, wydawca innej lokalnej gazety „Nugget” Harry Woods, będzie natomiast stał po stronie kowbo-

jów i interesów ranczerów. Niestety, prawdy, kto ma w tym sporze rację, nie dowiemy się już raczej nigdy.

Fakty są jednak takie, że od tego pojedynku wiele w Tombstone musiało ulec zmianie.

Część miejscowej ludności, zwłaszcza lokalni górnicy, zaczęła spoglądać na braci Earp bardzo nieprzychylnym okiem. Bez wątpienia ich nienaganna dotąd reputacja została zszargana. Sędzia, który uniewinni wszystkich szeryfów wraz z Hollidayem, jakiś czas po wydaniu werdyktu otrzyma anonimowy list z pogrózkami. Historia strzelaniny pod O.K. Corral będzie się jeszcze toczyć wiele lat.

► Popisowa inscenizacja

Toczy się nawet teraz. Gdy skuszony wizją czterech panów stojących na środku ulicy w Tombstone i zachęcających do wejścia na show przedstawiający historię najsłynniejszego pojedynku, jaki pamiętają tutejsze ściany, wchodzę na niewielkie podwórko. Scenę tworzą makiety kilku domków. Z głośników słychać znaną nutę. To muzyka Ennio Morricone z filmu „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie”. Wszystko dograne w najmniejszym szczególe. Na scenie zasiadają kolejni widzowie. Przychodzi ojciec z dwiema dziewczynkami. Gdy w powietrze zostaje wystrzelona próbna salwa z rewolweru, młodsza z nich łapie się na głowę.

– Tato, boję się... – szepcze, wtulając się w silne ramiona ojca.

– Mery, nie martw się. To wszystko na niby – tłumaczy cierpliwie tata.

Na widowni w większości Amerykanie. Jedynymi obcokrajowcami jesteśmy my. Polacy przyjechali oglądać słynny pojedynek pod O.K. Corral. Aktorzy szybko to wypalują, mrugając porozumiewawczo oczami. Nie tylko zresztą oni.

– Naprawdę jesteście z Polski? Wchodźcie za darmo – pan stojący na kasie i sprzedający bilety na występ uśmiecha się szeroko.

– Ale dlaczego? – dopytuje zdezorientowany Jurek.

– Moja babcia jest z Polski. Szanuję wasz kraj. Nie mamy więc o czym mówić. Wchodźcie – oznajmia, zapraszając zamaszystym gestem do wejścia.

Podczas inscenizacji wszystko staje się jasne. Kto z kim, przeciw komu. Znani mi już z ulicy czterej eleganccy panowie w kapeluszach to nie kto inny jak Earp wraz z przyjaciółmi. Najwyższy z nich to słynny „Doc” Holliday. – Jeśli chcesz mieć fajne ujęcie ze strzelania, proś jego – odpowiada mi jeden z kowbojów otrzępający się z kurzu ziemi, na którą padł po kolejnym dziś zabójczym strzale. – Jest najlepszy.

Faktycznie, aktor grający „Doca” posługuje się rewolwerem jak mało kto. Na moją prośbę po przedstawieniu wyjmuje wierną kopię swego Colta Lightninga, by po-



Wielka czwórka strzelaniny w O.K. Corral. Tutaj w Tombstone w Arizonie czas jakby nie płynął dalej

obracać nim na wskazującym palcu. Widać, że czerpie z tego wielką satysfakcję. W końcu grać pierwszego rewolwerowca Dzikiego Zachodu musi być gratką i splendorem samym w sobie. Niech się więc cieszy.

► Cmentarz ludzi w butach

Spalona, sucha ziemia. Słońce w apogeum swojej codziennej wędrówki. Na niebie tylko delikatne smugi cirrusów. Bez szans na cień. W takim klimacie ostają się tylko kaktusy i kłujące posiniaczone trawy. Kamieniom już wszystko jedno. A to przecież tych jest tutaj najwięcej. Tworzą kopczyki najsłynniejszego cmentarza Dzikiego Zachodu. – Chłopców McLaury i Clantona zabiły „czterdziestki czwórki”. Tu macie przykład – starsza pani mogąca obsługiwać z powodzeniem bary znane z westernowskich ekranizacji hollywoodzkich wskazuje na wbite w blat jej biurka trzy kule. Mają po 0,44 cala. Takich kuli używał „Doc” Holliday pod O.K. Corral. – Ich grób znajdziecie bardzo łatwo. W prawo i w prawo.

Kiedyś nazywali go „starym cmentarzem”. Dziś jednak po odkryciach przynoszących mu sławę, a związanych z pochowanymi tutaj kowbojskimi rabusiami, ludźmi wyjętymi spod prawa i rewolwerowcami, zaczęli na niego mówić „Boothill Graveyard”. Na nasze można by to przetłumaczyć jako „cmentarz tych, co umarli w butach”. Śmierć w butach – wizytówka każdego, kto żył z bronią za pan brat. A takich na Dzikim Zachodzie troszkę jednak było. Nawet jeśli połowa z usłyszanych o miasteczku Tombstone czarnych historii o ścigających

się tu trupach to legendy, nie zmienia to faktu, że w czasach Dzikiego Zachodu najgoręcej było chyba właśnie tutaj. I nie chodzi wcale o pogodę. Ta jest gorąca także dziś. Strzałów jednak na szczęście już tu nie słyszymy.

Dla wielu odwiedzających to miejsce-legenda. Najsłynniejszy cmentarz Dzikiego Zachodu. Zlokalizowany pod samym Tombstone. Z kamiennymi kopczykami, z którymi wiąże się niekiedy słynne historie przedstawiane w największych hollywoodzkich westernach. A czasem zwykłe, codzienne – zupełnie nikomu nieznane. Ale za to prawdziwe. Przyjrzyjmy się przynajmniej kilku z nich... Hancock, rok 1879. Zastrzelony przez Johna Ringo. Za obrazę kobiety. Niewielki nagrobek wystaje pół metra ponad kamienne kopczyki. Tom Waters, rok 1880. Zabity przez innego Watersa. Świadkowie twierdzili, że prawdopodobnie poszło o kolor koszuli. Panowie Down, Sample, Howard, Delaney i Kelly, rok 1884. Powieszeni według litery prawa. Za napad na sklep i zabicie kilkorga bezbronných ludzi. Seymour Dye, rok 1882. 35-letni drwal zabity przez Indian i zrzucony z przeszło 50-metrowej skały. Peter Smith, rok 1882. Z pochodzenia Niemiec. Zabity strzałem w tył głowy podczas grania w pokera przez Thosa. Billy Kinsma, rok 1883. Zastrzelony przez dużo starszą od niego kobietę. Nieszczęśliwie w nim zakochaną. Geo. Johnson. Brak daty śmierci. Powieszony przez pomyłkę. Kupił kradzionego konia. Wreszcie zaś oni: bracia McLaury i ich kolega Billy Clanton. Zabici podczas najsłynniejszej strzelaniny na Dzikim Zachodzie. Pod stajnią O.K. Corral. Przez braci Earp i „najszybszy rewolwer” tych ziem „Doca” Hollidaya. Ale tę historię już znamie...



Antoni Rybczyński

Rzeź pod Ostankino 25. rocznica krwawego października

Nie był to pogrzeb raczkującej rosyjskiej demokracji – rozstrzelanej przez autokratycznego alkoholika. Nie był to też sukces reformatorów i liberałów, którym komuniści rzucali kłody pod nogi. Wydarzenia październikowe z 1993 roku w Moskwie – dużo mniej znane w Polsce od wydarzeń sierpniowych z 1991 roku – to bardzo skomplikowana historia. Z pewnością nie biało-czarna. Jest w niej tylko jeden wygrany: siłowicy. 3 października 1993 roku rozstrzygnęło się, że Rosja będzie autorytarna. Potem czekała już tylko na swego „Putina”.

Niemal od samego początku, od sierpnia 1991 roku, ton polityce rosyjskiej nadawał spór kompetencyjny między prezydentem Jelcynem i „reformatorskim” rządem a zdominowanym przez komunistów parlamentem. Na pewno nie sprzyjała sprawnemu funkcjonowaniu państwa także obowiązująca wciąż, wielokrotnie poprawiana, ale i tak dziurawa w nowych realiach konstytucja sowiecka z 1978 roku.

► Po myśli Jelcyna

Rada Najwyższa była jeszcze sowieckim tworem, organem przedstawicielskim, w którym 86 proc. członków było komunistami. Przy coraz bardziej niepopularnych reformach rządu Rada Najwyższa poczuła się na tyle silna, że przez całą drugą połowę 1992 roku odmawiała potwierdzenia nominacji prezydenckiej na stanowisko premiera człowiego zwolennika reform Jegora Gajdara. W końcu Jelcyn musiał pójść na kompromis – w grudniu 1992 roku premierem został były szef Gazpromu Wiktor Czernomyrdin. Ale było kwestią czasu, gdy znów dojdzie do starcia dwóch ośrodków władzy w Rosji. Po dwóch stronach barykady znaleźli się niedawni sojusznicy. Na czele obozu przeciwników dążącego do zwiększenia swych uprawnień Jelcyna stanęli Rusłan Chasbulatow i Aleksandr Ruckoj. Pochodzący z Czeczenii Chasbulatow był ekonomistą, bliskim sojusznikiem Jelcyna w ostatniej fazie istnienia Związku Sowieckiego. W 1990 roku wybrany do Kongresu Deputowanych Ludowych RFSRS, poparł Jelcyna w czasie puczu 1991 roku. Po rozpadzie ZSRS został wybrany na przewodniczącego Rady Najwyższej. Bardzo szybko wszedł w konflikt z prezydentem. Ruckoja, weterana z Afganistanu, Jelcyn wybrał na swego zastępcę, gdy ubiegał się o urząd prezydenta sowieckiej Rosji w 1991 roku. Potem jednak Ruckoj zaczął zwalczać reformatorów, takich jak Gajdar czy Czubajs. Pod koniec 1992 roku zaczął także zarzucać Jelcynowi i jego otoczeniu korupcję. Będąc szefem państwowej rady antykorupcyjnej, przechwalał się, że ma „walizki pełne kompromatów”.

W marcu 1993 roku Jelcyn próbował wprowadzić bezpośrednie rządy prezydenckie. W wystąpieniu telewizyjnym oświadczył, że na mocy dekretu wstrzymuje obowiązywanie dotychczasowej konstytucji. Jednak Sąd Konstytucyjny unieważnił dekret, zarzucając prezydentowi złamanie konstytucji w aż 12 punktach. Rada Najwyższa uznała to za dobry pretekst, by usunąć Jelcyna ze stanowiska. Jednak głosowanie nad impeachmentem zakończyło się fiaskiem. Wówczas ludzie Chasbulatowa wpadli na pomysł, żeby zarządzić jeszcze w kwietniu referendum. Rosjanie odpowiadali na cztery pytania. I w każdym z punktów większość zagłosowała po myśli... Jelcyna. „Czy ufasz prezydentowi?”. Tak. „Czy akceptujesz jego politykę gospodarczą realizowaną przez rząd?”. Tak. „Czy chcesz przedterminowych wyborów prezydenckich?”. Nie. „Czy chcesz przedter-

minowych wyborów parlamentarnych?”. Tak. Prezydent wyszedł z tego starcia wzmocniony i od razu przeszedł do kontrataku, proponując swoisty decydujący plebiscyt: jednoczesne przedterminowe wybory parlamentu i prezydenta. Kto wie, może gdyby do tego doszło, uniknięto by rozlewu krwi? Ale Rada Najwyższa nie podjęła tematu. Zrobić to miała dopiero jesienią – już pod łufami wojska.

► Służby na krótkiej smyczy

Pierwsza próba przejęcia pełni władzy bez oglądania się na konstytucję spaliła na panewce w marcu 1993 roku nie dlatego, że Jelcyń liczył się z sędziami i deputowanymi. Wycofał się, bo okazało się, że w przypadku otwartego starcia z Radą Najwyższą nie może być pewny poparcia Ministerstwa Bezpieczeństwa Rosji (byłego KGB). Tak więc po kwietniowym referendum najważniejszym zadaniem prezydenta stało się zapewnienie sobie lojalności struktur siłowych w konflikcie z parlamentem. Latem 1993 roku, w wyniku skomplikowanej intrygi, Jelcyń pozbył się ministra bezpieczeństwa Jewgienija Barannikowa, jego przyjaciela, wiceszefa MSW Andrieja Dunajewa i sekretarza Rady Bezpieczeństwa Jurija Skokowa. Łączyło ich to, że usiłowali zachować neutralność w narastającym konflikcie. Kiedy Jelcyń pozbył się wspomnianego tercetu, zwołał 12 sierpnia konferencję, na której oświadczył, że wybory do nowego parlamentu „muszą odbyć się do końca tego roku”, „decydująca batalia” rozegra się we wrześniu, a „po naszej stronie rozpatrywane są różne warianty rozwoju sytuacji”. Faktycznie, we wrześniu zaczęła się wojna na całej górze. Chasbulatow publicznie nazwał prezydenta alkoholiczkiem i wezwał go do dymisji. Znalazł też gabinet w Białym Domu (siedziba parlamentu) dla Ruckoja, wyrzuconego w końcu z Kremla.

18 września Jelcyń wydał dekret o nasileniu walki z przestępczością, rozszerzający możliwość zastosowania metod operacyjnych bez sądowej sankcji w „przypadkach uzasadnionych dobrem śledztwa lub innymi okolicznościami”. Dekret przewidywał też możliwość wykorzystania w rejonach o wysokiej przestępczości specjalnych oddziałów i jednostek wojsk wewnętrznych. Kto miał konkretnie decydować o okolicznościach użycia sił specjalnych? Kierownictwo resortów. To na podstawie tego dekretu użyto potem wojska w walkach pod wieżą telewizyjną Ostankino. Tego samego dnia Jelcyń wydał drugi dekret, o powołaniu generała Nikołaja Gołuszki na stanowisko ministra bezpieczeństwa. Już w pierwszym wystąpieniu Gołuszko zdecydowanie opowiedział się przeciwko Radzie Najwyższej. 19 września na Kremlu doszło do narady w wąskim gronie. Szef Głównego Zarządu Ochrony (były IX Zarząd KGB) gen. Michaił Barsukow ostrzegł przed rozwiązaniami siłowymi, twierdząc, że służby i armia nie są na to gotowe. Natomiast minister obrony gen. Paweł Graczwow opowiadał się za konfrontacją. Nie trzeba dodawać, że Jelcyńo-

wi dużo bardziej odpowiadało to drugie. Na kontę parlamentu nie trzeba było czekać długo. 21 września Rada Najwyższa ogłosiła dymisję Gołuszki, powołując na stanowisko szefa MBR (ponownie) Barannikowa. Podobny manewr deputowani wykonali z resortem obrony. Powołali na ministra Władysława Aczałowa (jednego z organizatorów puczu w 1991 roku), choć Kreml nadal uważał za szefa ministerstwa gen. Pawła Graczowa. W dwóch najważniejszych instytucjach siłowych Rosji pojawiła się dwuwładza. Rubikon został przekroczony, czas negocjacji i intryg minął. Najbliższe dni miały zdecydować, kto weźmie górę.

Jeszcze tego samego dnia, 21 września 1993 roku, Jelcyń w orędziu telewizyjnym ogłosił, że podpisał dekret nr 1400 rozwiązujący Radę Najwyższą i przewidujący wybory do nowego dwuizbowego parlamentu w grudniu 1993 roku. Było to rzecz jasna sprzeczne z szeregiem artykułów obowiązującej sowieckiej ustawy zasadniczej, ale prezydent zagrał ostro – mówiąc, że lepszą podstawą dla dekretu niż przestarzała konstytucja jest fakt, że blisko dwie trzecie Rosjan zagłosowało w kwietniowym referendum za przedterminowymi wyborami. W odpowiedzi na dekret 1400 Chasbulatow zebrał w parlamencie swych zwolenników. Deputowani przegłosowali impeachment Jelcyna, a tymczasowo głową państwa ogłosili dotychczasowego wiceprezydenta Ruckoja. Jelcyń to zignorował i kazał odciąć w siedzibie parlamentu prąd, ciepłą wodę i telefony. Trzy dni później na rozkaz ministra spraw wewnętrznych gen. Wiktora Jerina, milicja i OMON zablokowały Białą Dom. Deputowani zabarykadowali się w budynku. Następny tydzień obie strony spędziły dość spokojnie, okopane na swych pozycjach. Deputowani spodziewali się szturm, a tymczasem zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

► Pułapka pod wieżą

2 października obrońcy Białego Domu zaczęli dostawać informacje, że nadciągają posiłki. Wieczorem tego dnia Jelcyń wyjechał z Moskwy, zaś Graczow wysłał wielu żołnierzy z Moskwy na prowincję, żeby pomagali w wykopkach. Następnego dnia około południa tłum przedział się przez zaskakująco wąty kordon milicji. OMON wycofał się bez walki. Zrobiono to z premedytacją. Później okazało się, że naprzeciwko około 10 tys. demonstrantów stało aż 6 tys. uzbrojonych milicjantów, funkcjonariuszy OMON i żołnierzy wojsk wewnętrznych. Gdyby mieli taki rozkaz, rozpedziliby tłum w kilka minut. Tymczasem wszystko wydawało się iść po myśli Chasbulatowa i Ruckoja. Około godziny 15 ktoś rozpuścił plotki, że w ministerstwie bezpieczeństwa doszło do rozłamu i część funkcjonariuszy popiera parlament. Zachęcony tym, co się działo od kilkunastu godzin, Ruckoj około 15.30 wydaje rozkaz zajęcia wieży telewizyjnej Ostankino. Bojówki zajmują z łatwością Hotel Mir – dotychczasową siedzibę sztabu kryzys-

wego obozu prezydenckiego. Tylko jak szybko przemieścić się pod Ostankino? I oto – cóż za zbieg okoliczności – niemal sama w ręce obrońców parlamentu wpada kolumna ciężarówek wojsk wewnętrznych. Około 16 zapakowane bojówkarzami ruszają pod Ostankino. Nikt im nie przeszkadza – można wręcz odnieść wrażenie, że milicja toruje im drogę. Około 17 są już pod wieżą, zaczyna się więc. I w tym momencie następuje zwrot akcji.

Jelcyn wraca helikopterem na Kreml, a około godziny 19 pod Ostankino padają strzały. Zaczyna się walka. Z jednej strony atakuje około 4000 ludzi, uzbrojonych przeważnie w palki. Wieży broni 400 żołnierzy z elitarniej dywizji wojsk wewnętrznych im. Feliksa Dzierżyńskiego (w tym specnaz z sześcioma wozami bojowymi), szybko dociera jeszcze z odsieczą 100 milicjantów i 15 transporterów. Choć studia telewizyjne nie były ani przez chwilę zagrożone, na polecenie premiera Czernomyrdina na godzinę wyłączono nadawanie – żeby podgrzać atmosferę i nadać sytuacji więcej dramatyzmu. Zadziałało, bo z Zachodu na Kreml szybko napłynęły telegramy z wyrazami poparcia. Sekretarz stanu USA Warren Christopher powiedział, że zazwyczaj Ameryka nie popiera rozwiązywania parlamentów, ale to szczególna sytuacja.

Około godziny 21 mundurowi przechodzą do kontrataku – i w kilkanaście minut rozbijają agresorów. Jelcyn wprowadza stan wyjątkowy. Około 22.30 do centrum Moskwy wjeżdża 30 transporterów i 40 ciężarówek pełnych żołnierzy wojsk wewnętrznych. 4 października o godzinie 4 nad ranem do podmoskiewskich garnizonów wojsk powietrzno-desantowych oraz do dywizji w Tule i Riazaniu przychodzą rozkazy wymarszu na Moskwę. Cztery godziny później regularne wojsko zajmuje pozycje wokół Białego Domu, luzując milicję i wojska wewnętrzne. Po kilkunastu minutach czołgi zaczynają strzelać we wskazane przez agentów wewnątrz budynku punkty siedziby parlamentu. Po godzinie 17 deputowani poddają się komandosom jednostki Alfa, którzy przenikają do budynku. To koniec konfliktu – Jelcyn z pomocą armii i służb brutalnie łamie parlament. Po raz pierwszy od 1917 roku w Rosji wykorzystano milicję i wojsko w walce o władzę. Oficjalnie zginęło 158 osób, a 423 zostały ranne. Najbardziej krwawe były oczywiście dwa dni: 3–4 października (124 zabitych, 348 rannych). Szczególnie podczas starć pod wieżą telewizyjną, gdzie żołnierze zaczęli kosić demonstrantów ogniem ciągłym z broni automatycznej. To oficjalne dane. Nieoficjalnie mówi się o nawet 1,5 tys. zabitych.

► Siłowicy góra

W przypadku wydarzeń październikowych 1993 roku doszło do prowokacji i to dwóch. Najpierw służby specjalne wciągnęły Ruckoja i Chasbulatowa w pułapkę pod Ostankino. Choćby fabrykując meldunki dla Ruckoja o rzekomej gotowości syberyjskich jednostek armii do po-

parcia parlamentu. Nie wyjaśniono też nigdy, kim byli snajperzy strzelający do przechodniów w rejonie Białego Domu. To właśnie było jednym z pretekstów do ostrzelania parlamentu. Tymczasem świadkowie są przekonani, że strzały do cywilów nie padły z Białego Domu. Doszło do eskalacji – wtedy Jelcyn chciał użyć armii do zdławienia oporu. Tymczasem wojskowi zwlekali, choć wcześniej wręcz zachęcali Jelcyna do starcia. Późnym wieczorem 3 października doszło do kilkugodzinnego burzliwego spotkania prezydenta z Graczowem i generałami. Musiał zgodzić się na różne ustępstwa i złożyć szereg obietnic wojskowym. Dopiero wtedy udzielili pomocy. Październik 1993 r. okazał się zwycięstwem przede wszystkim wojska i pokazał słabość służb cywilnych, wciąż zbierających się po rozwiązaniu KGB dwa lata wcześniej. Raport CIA po „rozstrzelaniu parlamentu” mówił jednoznacznie, że wypadki październikowe osłabiły pozycję MBR, a wzmocniły GRU.

4 października aresztowano Chasbulatowa i Ruckoja. Przywódcy antyprezydenckiego obozu trafili do więzienia Lefortowo, ale już po paru miesiącach wyszli na wolność. W 1994 roku nowy parlament, Duma Państwowa, ogłosił amnestię dla liderów antyprezydenckiego obozu. Chasbulatow wycofał się z polityki i do dziś jest wykładowcą w wyższej szkole ekonomicznej. Ruckoj założył nacjonalistyczną partię, a w 1996 roku został wybrany na gubernatora obwodu kurskiego. Po czteroletniej kadencji wycofał się z polityki. Rosja przyjęła ustrój prezydencki. Trzy miesiące później w narodowym referendum przyjęta została nowa konstytucja, dająca ogromne prerogatywy głowie państwa. A potem, w 1995 roku, prezydent podporządkował sobie wszystkie siłowe instytucje. To, co robił potem Putin, było tylko kontynuacją procesu rozpoczętego przez Jelcyna. W pewnym sensie można powiedzieć, że 3 października 1993 roku narodził się reżim putinowski. Choć również dobrze następcą Jelcyna mógł zostać inny były kagiebiści, były szef FSB, były premier – czyli Siergiej Stiepaszyn. Każda następna zmiana wzmacniała służby, wprost proporcjonalnie do słabnięcia prezydenta i pogłębiania się kryzysu w państwie. Rozpętana wojna czeczeńska jeszcze bardziej uzależniła Jelcyna od siłowników. Czekiści umiejętnie lawirowali między walczącym o reelekcję niepopularnym Jelcynem a silną opozycją narodowo-komunistyczną. Obie strony konfliktu, szukając poparcia służb, licytowały się w pomysłach na ich wzmocnienie. W 1998 roku służby specjalne liczyły łącznie mniej więcej tyle samo ludzi co KGB w chwili rozwiązania – około 0,5 mln. Ale realnie bezpieczeństwa przybyło – bo w 1991 roku obejmowała cały ZSRS, a siedem lat później – samą Rosję. Co więcej, ludzie służb sami zaczęli obejmować ważne stanowiska państwowe, trzech ostatnich premierów Jelcyna wywodziło się z KGB: Primakow, Stiepaszyn, Putin. Ten ostatni zastąpił Jelcyna i zapoczątkował nową erę we współczesnej historii Rosji. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Kolońskie szczęście w nieszczęściu

15 października 2018 roku. Pociąg z Moguncji do Kolonii jest wypełniony po brzegi, poirytowani pasażerowie stoją z bagażami w przejściach, siadają zrezygnowani na podłodze. Szczęściarze, którzy zdołali zająć miejsca, wypatrują z okien owianej legendą skały Loreley. Szybko jednak staje się jasne, że to nie jest dobry dzień na podziwianie nadreńskiego landszaftu.

Wagon bezprzedziałowy kipi od emocji. Nie znamy szczegółów, wiadomo tylko tyle, że na dworcu głównym w Kolonii doszło do ataku i że jest częściowo zamknięty, a pociągi są popóźniane. Co pewien czas głos z megafonu informuje o kolejnych trudnościach na trasie przejazdu, raz dowiadujemy się, że w jednym z pociągów jadących przed nami zepsuła się lokomotywa, za chwilę o tym, że musimy się zatrzymać i na „coś” poczekać (jedna trzecia przedziału wychodzi w tym czasie na papierosa), po czym, że już wszystko naprawione i można jechać dalej. Informacji jest jeszcze wiele, ludzie w zależności od kolejnego newsa głośno komentują, bucza lub

klaszcza. „Ciekawe, co nas dzisiaj jeszcze może spotkać” – mówi wyraźnie zrezygnowany Niemiec, uczestnik zorganizowanej grupy wycieczkowej śladami Renu. „To jeszcze potrwa, na dworcu szaleje zamachowiec” – dodaje elegancka kobieta pochylona nad książką. Już dwadzieścia minut później znam historię kobiety i podróżującego z nią małżonka. Po rewolucji w Iranie wyemigrowali do Niemiec, tu jest teraz ich dom. „Polska? Ilu Polaków było w Persji! Aktorki, piosenkarki, tancerki, Polacy przyczynili się do rozkwitu współczesnej sztuki perskiej” – wylicza ścisłym głosem starszy pan. Rozmowa schodzi na armię Andersa i misia Wojtką. „On naprawdę palił papierosy?” – pada pytanie. „Raczej zjadał” – od-

powiadam, atmosfera robi się coraz luźniejsza. „My tak zawsze mówimy, jakbyśmy szepotali albo recytowali poezję” – stwierdza nagle Pers, mrużąc oczy jak kot. Na koniec dodaje, że Europejczycy też mają w sobie perską krew, więc moi polscy towarzysze podróży i ja również... jesteśmy trochę Persami. Dojeżdżamy do Kolonii, ludzie oddychają z ulgą. Persowie wylewnie się z nami żegnają, koloński dworzec przypomina mrowisko, bieżnia i dezorientacja, ktoś w pośpiechu wpada na ruchome schody z walizkami i upada, reszta pomaga nieszczęśnikowi wstać. Część wyjść jest otoczona policyjną taśmą, funkcjonariusze bronią dostępu do miejsca, gdzie kilka godzin temu uzbrojony w koktajl Mołotowa napastnik steroryzował koloński dworzec. Kolejki do kas, kolejki do sklepów, chaos i poirytowanie, ale już nie strach. To pierwsze wrażenie. Tak jakby Niemiec-pasażerowie już przywykli do tego, że czasem ktoś może tu kogoś zaatakować, a jedyną niedogodnością stają się przegapione pociągi i zaprzęszczone spotkania gdzieś na drugim końcu Niemiec. Pod dworcem kilka sznurów radiowozów. Zaczepiony policjant twierdzi, że zagrożenie minęło. A jednak jeszcze przez kilka godzin po kolońskich ulicach jeżdżą na sygnale karetki, straż pożarna i radiowozy, miasto bardzo długo tej nocy nie zaśnie.

► Dzień po

Christoph Gilles, rzecznik prasowy kolońskiej policji, stoi z kilkoma innymi funkcjonariuszami pod budynkiem dworca od strony apteki. To właśnie tam dzień wcześniej doszło do zamachu. Rozmawiamy o zdarzeniu, Gilles opowiada o 55-letnim zamachowcu, o tym, że Kolonia miała szczęście w nieszczęściu, ponieważ napastnik miał przy sobie koktajle Mołotowa, pojemniki z gazem, stalowe kulki, benzynę. Gdyby udało mu się wszystko odpalić, skutki byłyby katastrofalne. „Pierwsze sygnały, że coś złego dzieje się na dworcu, otrzymaliśmy kwadrans przed pierwszą, w budynku unosił się dym, słychać było odgłosy wystrzałów, młoda kobieta doznała poparzeń, płonęła nogawka jej spodni. Od razu wysłaliśmy na miejsce specjalne jednostki, na dworcu uzbrojony mężczyzna wtargnął tymczasem do apteki, biorąc w niej zakładniczkę. Koledzy z policji federalnej zablokowali wejścia na dworzec, częściowo wstrzymali ruch kolejowy, życie na dworcu zamarło. Jeden ze świadków, arabskiego pochodzenia, powiedział nam, że zamachowiec krzyczał coś po arabsku, dzięki temu świadkowi udało nam się nawiązać kontakt ze sprawcą,

który przyznał się do przynależności do Państwa Islamskiego. Zdecydowaliśmy się na błyskawiczną akcję, w wyniku której napastnik odniósł ciężkie obrażenia, był reanimowany tutaj na miejscu i następnie przewieziony do szpitala, jest teraz w śpiączce. W nocy przeszukaliśmy jego mieszkanie w dzielnicy Ehrenfeld i znaleźliśmy kolejne materiały wybuchowe, nie możemy wykluczyć motywu terrorystycznego. (...) Wiadomo, że sprawca nie był anonimowy dla kolońskiej policji, wciąż trwają badania zawartości jego torby, badamy też broń” – referował Gilles.

Dzień po tej rozmowie media już podawały, że paszport znaleziony na miejscu faktycznie należał do sprawcy, Mohammada R., imigranta z Syrii twierdzącego, że zbiegł ze swojej ojczyzny do Niemiec, ponieważ był torturowany przez ludzi Asada. Tej ostatniej informacji do dzisiaj nie potwierdzono, wiadomo natomiast, że Mohammad R. od 2016 roku dopuścił się na terenie Niemiec 13 wykroczeń, ale dziwnym trafem nikt się nim nie zainteresował. Następne dni upłynęły na analizie, co robić z takimi Mohammadami R. Zdania są podzielone, dyskusja między zwolennikami i przeciwnikami masowej imigracji i tego, czy odsyłać do domu imigrantów, którzy dopuścili się w Niemczech czynów karalnych, i jak tych ludzi rozpoznać, toczy się w najlepsze, politycy spychają winę na policję, policja na Urząd ds. Migracji, a urząd twierdzi, że nie jest w stanie każdego na 100 procent prześwietlić. Dziennikarze zaś z jednej strony chcieliby rzetelnie informować, z drugiej autocenzuralnie zaprogramowane nożyczki w głowie podpowiadają mniej kontrowersyjne – od prawdy – rozwiązania.

► Rycheza i JP II

Tak, Kolonia faktycznie miała tym razem dużo szczęścia, tak jak nasz pociąg z Moguncji. W końcu w polsko-niemiecko-perskim składzie dotarliśmy cali i zdrowi do miejsca przeznaczenia. Było za co dziękować w kolońskiej katedrze. Nie tylko miejscu spoczynku królowej Polski, Rychezy Lotaryńskiej, lecz także od września 2017 roku świątyni z relikwiami św. Jana Pawła II. Relikwie otoczone szybą, na której w 14 językach widnieją słowa: „Nie lękajcie się! Otwórzcie drzwi Chrystusowi”, umieszczono w bocznej nawie katedry tuż przy ołtarzu z figurką XVII-wiecznej Madonny. To jedno z najjaśniejszych miejsc świątyni, rozświetlone płomieniami wotywnych świeczek. Chwila wyciszenia od coraz mniej przyjaznego świata na zewnątrz. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Tajwan

24 listopada wraz z wyborami lokalnymi na Tajwanie odbędzie się referendum dotyczące kwestii, czy w kodeksie cywilnym powinien znaleźć się zapis umożliwiający zawieranie małżeństw homoseksualnych. W maju zeszłego roku tajwański Sąd Konstytucyjny orzekł, że odmawianie praw parom jedнопłciowym jest niezgodne z konstytucją i dał ustawodawcy dwa lata na przygotowanie stosownych poprawek. „Jeśli w ciągu tych dwóch lat odpowiednie przepisy nie zostaną zmienione ani wprowadzone w życie, dwie osoby tej samej płci, które zamierzają stworzyć wspomniany stały związek, będą automatycznie mogły go zarejestrować” – stwierdził tajwański sąd.

Referendum w tej sprawie domagało się konserwatywne stowarzyszenie Koalicja na rzecz Szczęścia Przyszłych Pokoleń, popierane przez wielu chrześcijan na Tajwanie. Głosowanie w listopadzie będzie dotyczyć tego, czy w kodeksie cywilnym powinny być wprowadzone zmiany dotyczące instytucji małżeństwa, czy może powinno powstać odrębne prawo regulujące kwestię związków partnerskich osób tej samej płci. Koalicja opowiada się za drugą opcją, by „chronić wartości rodziny”.

Przeciwnicy homomałżeństw przypominają, że zeszłoroczna decyzja Sądu Konstytucyjnego była wynikiem ostrej kampanii prowadzonej na Tajwanie przez środowiska homoseksualne wspierane przez podobne organizacje z USA i UE. Głównym hasłem akcji było stwierdzenie, że zgoda na małżeństwa osób tej samej płci uczyni wyspę „najbardziej demokratycznym” krajem w Azji, bo pierwszym, który oficjalnie uzna takie związki. Kampania odbywała się przy wsparciu mediów i części polityków z rządzącej na wyspie Demokratycznej Partii Postępu. Przecistawiano jako „objaw zacofania i niedojrzałości” lokalnego społeczeństwa. Jednak, jak zwrócił uwagę

jeden z tajwańskich prawników Joseph K.C. Yeh, przeprowadzone sondaże wskazują, że tajwańskie społeczeństwo jest przeciwko małżeństwom homoseksualnym. Wyniki ostatniej ankiety dotyczącej tej kwestii pokazały, że 56 proc. ankietowanych było przeciwko homomałżeństwu, a 37,8 proc. je popierało. Yeh uważa, że zadaniem władzy sądowniczej na Tajwanie powinno być m.in. łagodzenie sporów w społeczeństwie. Tymczasem orzeczenie Sądu Konstytucyjnego to w rzeczywistości wyraz niespektowania poglądów większości Tajwańczyków, broniących małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Tajwańczycy podkreślają, że wiele mediów próbuje wmówić mieszkańcom wyspy, iż większość jest za homozwiązkami.

► Malezja

W połowie października Malezja odmówiła deportacji do Chin jedenastu Ujgurów pochodzących z Xinjangu, zachodniej prowincji ChRL. Ujgurom pozwolono na wyjazd z Malezji do Turcji. Osoby, których ekstradycji domagał się Pekin, zostały wcześniej zatrzymane w Tajlandii, ale uciekły z tamtejszego więzienia, obawiając się, że zostaną przekazane władzom ChRL. Gdy trafili do Malezji, też zostali aresztowani. Pekin od kilku miesięcy naciskał na ich deportację. Decyzja odmowy deportacji Ujgurów do Chin została podjęta ze względu na opresję, jakim poddawana jest ta mniejszość w ChRL. Dorośli muzułmanie w Xinjangu są osadzeni w obozach „reedukacji”, gdzie zmusza się ich do wyrażania wdzięczności dla partii komunistycznej i do krytyki islamu. Wśród metod „reedukacji” są też przesłuchania i tortury. Dzieci więźniów często umieszcza się w internatach i domach dziecka.

Malezja jest już drugim muzułmańskim państwem w regionie, który skrytykował represje Pekinu wobec mniejszości ujgurskiej. W ubiegłym miesiącu Pakistan

ostrzegł, że represjonowanie działalności Ujgurów w Chinach napędza ekstremizm, a nie przeciwdziała terroryzmowi. W ten sposób Islamabad, uważany dotąd za bardzo bliskiego sojusznika Pekinu, bezpośrednio za kwestionował chińskie uzasadnienie stosowania opresji wobec Ujgurów – komunistyczne władze w Chinach twierdzą, że obozy reedukacji mają zniechęcić Ujgurów do ekstremizmu religijnego i terroryzmu.

► Japonia-Wietnam

8 października na spotkaniu w Tokio szefowie rządów Japonii i Wietnamu, Shinzo Abe i Nguyen Xuan Phuc, uzgodnili, że oba kraje będą współpracować na rzecz utrzymania pokoju i bezpieczeństwa na Morzu Południowochińskim. „Stojąc ramię w ramię z premierem Phukiem, jestem zdeterminowany realizować wizję wolnego i otwartego regionu Indo-Pacyfiku, w obrębie którego leży Morze Południowochińskie” – powiedział premier Abe na konferencji prasowej.

Spór o Morze Południowochińskie jest dziś uważany przez wielu ekspertów za jedno z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa regionalnego. Poza Wietnmem prawa do strategicznych terenów na tym akwenie roszczą sobie także Filipiny, Malezja i Tajwan, a Pekin uważa, że do niego należy prawie cały wodny teren, buduje na spornym morzu sztuczne wyspy i umieszcza na nich instalacje wojskowe.

Japonia nie leży nad Morzem Południowochińskim, ale rząd w Tokio uznaje ten akwen za ważny ze względów strategicznych. Tędy przebiegają ważne szlaki zaopatrzeniowe i trasy flot morskich. Tu także znajdują się złoża ropy naftowej, gazu ziemnego, bogate łowiska ryb i obfite ilości guana – naturalnego ptasiego nawozu. Japonia, USA i państwa w regionie Morza Południowochińskiego uważają, że chińskie instalacje militarne mogą posłużyć do ograniczenia swobody żeglugi. Napięcia na Morzu Południowochińskim dodatkowo pogarszają chłodne ostatnio stosunki chińsko-amerykańskie.

Na konferencji prasowej po spotkaniu z premierem Japonii, szef rządu Wietnamu, Nguyen Xuan Phuc, nie wspominał wprost o Chinach, ale podkreślił, że razem z Shinzo Abe potwierdzili konieczność zapewnienia pokoju, bezpieczeństwa, swobody żeglugi i przelotów nad Morzem Południowochińskim.

► Wietnam

17 października władze w Wietnamie nagle wypuściły na wolność 39-letnią katolicką blogerkę Nguyen Ng c Nhu Quynh, bardziej znaną w swoim kraju jako „Me Nam”. Zaraz po uwolnieniu wraz z matką i dwójką dzieci blogerka została wysłana do Stanów Zjednoczo-

nych. Ani Hanoi, ani Waszyngton nie komentują całej sprawy, ale ponieważ do uwolnienia „Me Nam” doszło niedługo po wizycie sekretarza obrony USA Jamesa Mattisa, to wielu komentatorów uważa, że za wolnością dla katolickiej działaczki stoją działania administracji Donalda Trumpa.

„Me Nam” została aresztowana w październiku 2016 r. za szerzenie „propagandy wymierzonej w Socjalistyczną Republikę Wietnamu”. W rzeczywistości umieściła ona na swoim blogu całą serię artykułów ujawniających, w jaki sposób tajwański inwestor, firma Formosa Plastic Group, za przyzwoleniem komunistycznych władz Wietnamu zatruwa środowisko w centralnych prowincjach tego kraju – Nghe An, Ha T nh i Quang Binh. Kobieta pisała m.in., że szkodliwa działalność Formosa Plastic Group stanowi zagrożenie dla zdrowia i życia ponad 200 tys. Wietnamczyków i środowiska naturalnego oraz przyczynia się do trucia ryb.

Zaraz po aresztowaniu blogerki wielu wietnamskich katolików podpisało list do władz, w którym stwierdzano, że zatrzymana jest niewinna i że znana jest ze swojej uczciwości, sumiennej opieki nad rodziną i zaangażowania społecznego. W czerwcu 2017 roku wietnamski sąd skazał „Me Nam” na 10 lat więzienia. W tym samym roku blogerka otrzymała Międzynarodową Nagrodę dla Kobiet Niezwykłej Odwagi przyznaną przez amerykański Departament Stanu. Po przybyciu do USA katolicka blogerka zapowiedziała, że nie zamierza siedzieć cicho i będzie kontynuować walkę o swobody obywatelskie w jej kraju.

Rzeczniczka Ambasady USA w Wietnamie Karen Tang stwierdziła, że Stany Zjednoczone będą nadal zzywać rząd Wietnamu do natychmiastowego i bezwarunkowego uwolnienia pozostałych więźniów politycznych.

Eksperci zwracają uwagę, że fakt wypuszczenia na wolność „Me Nam” oraz to, że Wietnam coraz bardziej otwiera się na współpracę z państwami Zachodu, m.in. z USA, nie powinien przysłaniać realiów – Wietnam to nadal państwo rządzone przez komunistów, którzy ograniczają wiele swobód obywateli tego kraju. Wśród tych ciągle narażonych na represje są chrześcijanie. Od 2015 roku w Wietnamie obowiązuje też prawo ograniczające wolność religijną. Tak zwany „dekret 92” uderza szczególnie w chrześcijan, kępując ich praktyki religijne. Nowe prawo zawiera m.in. zapis nakładający na duchownych obowiązek składania specjalnych wniosków w przypadku planowanych podróży zagranicznych. Muszą też uzyskiwać pozwolenia na przeniesienie się do innego regionu kraju. Dekret przewiduje także, że każda czynność religijna – nawet najmniejsza, jak pogrzeb – nie będzie mogła odbyć się bez uprzedniego zgłoszenia i uzyskania na nią zgody. ■



Marcin Wolski

Polski, czyli katolicki

Nie każdy zdaje sobie sprawę z wyjątkowości polskiego Kościoła i jego roli w naszej historii, większej niż w dziejach innych państw chrześcijańskich. Od strategicznej decyzji Mieszka I nasz Kościół stał się elementem racji stanu i czynnikiem spajającym Polaków ponad społecznymi podziałami, przynajmniej od czasu, kiedy Jakub Świnka wprowadził w Wielkopolsce obowiązek głoszenia kazań po polsku. Inny wielki kapłan epoki rozbitcia z historii męczeństwa i cudownego zrośnięcia się ciała świętego Stanisława uczynił program polityczny prowadzący do odbudowy Polski zjednoczonej. Udało się, za Łokietka! Ciekawe, że

prawosławna z wschodnich ziem Rzeczypospolitej, która niejako wymusiła na nim i na Watykanie unię brzeską u schyłku XVI wieku. Standardy polskiego Kościoła wytyczali tacy ludzie, jak Kopernik, kardynał Hozjusz (jeden z twórców reformy trydenckiej), ksiądz Skarga. Nie brakowało świętych i męczenników. Symbolem polskiej walki o suwerenność stał się Augustyn Kordecki z Częstochowy i ksiądz Marek, wizjoner z lat konfederacji barskiej. Zwycięsko, zwłaszcza jeśli idzie o szeregowy kler, wypadł Kościół w czasie zaborów, kiedy sam papież skłaniał do uległości. Szli księża do powstań, często ginęli z krzyżem w rękę, nieraz z szablą, a bywało że na szubieni-

W POLSCE LUD NIE ATAKOWAŁ NIGDY SWYCH KAPŁANÓW, CZĘŚCIEJ JEGO PASTERZE GINĘLI WRAZ Z NIM I ZA NIEGO. JAK ŚWIĘTY MAKSYMILIAN KOLBE, JAK BŁOGOSŁAWIONY JERZY POPIELUSZKO.

dwa wielkie narody europejskie – Włosi i Niemcy – nie potrafiły zjednoczyć się w jeden organizm państwowy, ale wystarczy zauważyć, że przez wieki ich rozdrobnione Kościoły nie były zainteresowane jednością. Kiedy w XIX wieku Italia rozpoczęła długą walkę o zjednoczenie, rolę katalizatora odgrywał wolnomularstwo, karbonariusze, a lokalny Kościół był przeciwnikiem. Specyficzne cechy Polaków, ich zmysł demokratyczny, równowaga między koroną a infułą sprawiły, że Kościół akceptowany był jako arbiter, a nie element gry politycznej. Nieprzypadkowo prymas Polski był z urzędu interrexem. Polacy nie przyjęli reformacji, a Zygmunt August, wielki król, nie tylko z powodu powiedzenia „Nie jestem królem waszych sumień”, odrzucił pokusę stworzenia Kościoła narodowego z sobą na czele, mimo że kusił go sam prymas Uchański. W Polsce nie paliło się czarownic i kacerzy, przyjmowało obcych, zapewniło bezpieczne schronienie olbrzymiej społeczności żydowskiej. To do polskiego Kościoła dążyła Cerkiew

cy. Jak ksiądz Brzóska, jak ksiądz Skorupka. Kapitał zaufania zbierał się przez wieki, mógł sobie ludek pokpiwać z pojedynczych proboszczów, ale wiedział, gdzie zawsze można znaleźć oparcie. Duchowieństwo francuskie pogubiło się podczas rewolucji, hiszpańskie, będąc przez wieki podporą tronu i arystokracji, stało się łatwym celem dla marksistowskich rewolucjonistów. W Polsce lud nie atakował nigdy swych kapłanów, częściej jego pasterze ginęli wraz z nim i za niego. Jak święty Maksymilian Kolbe, jak błogosławiony Jerzy Popiełuszko. Za dany przez Opatrzność dar należy uznać wyniesienie Karola Wojtyły, syna 1920 roku i biskupa drugiego millennium na tron Piotrowy. Jeśli mieliśmy wobec Rzymu jakiś dług – teraz spłaciliśmy go z naddatkiem. A co będzie dalej, czy zgodnie z nauczaniem Jana Pawła II ruszymy rechrystianizować Europę, czy też biernie poddamy się erozji? Wszystko zależy od jakości naszej wiary i naszych kapłanów. A także od tego, kto w Polsce utrzyma rządy. Instytucji i dusz. ■



Tomasz Sakiewicz

Nieuchwytny czynnik

Czy wiedzą Państwo, dlaczego w Polsce sondaże tak często się mylą? Zastanawiałem się nad tym naprawdę wiele lat. Na ogół te sondy źle przewidywały wyniki partii prawicowych, choć często mylą się też co do PSL. Pierwsza odpowiedź, jaka przychodzi do głowy, to taka, że na prowincji trudniej jest przeprowadzić badanie niż w dużych miastach. Nieoczekiwana wygrana Rafała Trzaskowskiego w Warszawie, już w pierwszej turze, i lepszy niż przewidywano wynik Kacpra Płażyńskiego w Gdańsku temu jednak przeczą. Czego więc nie wychwyciły sondażownie? Jaki czynnik wymknął im się spod kontroli?

Trzeba wyraźnie przyrzec się samym kampaniom wyborczym, by znaleźć wspólny mianownik. Jest nim społeczna mobilizacja. W miejscach, gdzie szta-

niu wyborca, który zamierzał głosować, wyszedłby na aktywnego zwolennika partii, a ten, który nie miał takiego zamiaru – na wahającego się. Jednak spośród niezdecydowanych jedni pójdą głosować, a inni nie. Którzy się wybiorą? Ci, których ktoś przekona, czyli zmobilizuje. W przypadku prawej strony to bardzo często jest Kościół. Wybory odbywają się w niedzielę, więc ludzie słyszą od swoich księży, że warto głosować. W tym roku pojawił się przed wyborami bardzo silny demotywator, jakim był film „Kler”. Osłabiło to oddziaływanie Kościoła, choć oczywiście mówimy o paru procentach wyborców, ale w wielu miejscach miało to decydujące znaczenie. Największe tam, gdzie czynnikiem mobilizacyjnym jest Kościół. W przypadku Trzaskowskiego jego zwolennikom udało się wywołać ruch oddolny na

SPOŚRÓD NIEZDECYDOWANYCH JEDNI PÓJDĄ GŁOSOWAĆ W WYBORACH, A INNI NIE. KTÓRZY SIĘ WYBIORĄ? CI, KTÓRYCH KTOŚ PRZEKONA, CZYLI ZMOBILIZUJE.

bom wyborczym udało się wywołać oddolny ruch na rzecz swoich kandydatów, wynik był lepszy niż sondaże. Przeprowadzając sondy, bada się i tych wyborców, którzy pójdą głosować, i tych, którzy się wahają, i tych, którzy nie zagłosują. Co ciekawe, frekwencja w sondażach niemal zawsze jest wyższa niż w rzeczywistości. Działa tu efekt wyrwania do tablicy. Lepiej bowiem dla badanego nie pokazywać, że jest się jednostką aspołeczną, która nie chodzi na wybory. Jednak rozkład przewagi głosów tych, którzy idą głosować tylko w sondażu, nad tymi, którzy rzeczywiście oddają głos w lokalu wyborczym, bywa na ogół inny niż rozkład poparcia dla partii. Ten błąd badacze starają się od pewnego czasu eliminować.

Czynnik mobilizacji nie daje się wychwycić w sondażach robionych kilka dni przed wyborami, bo objawia się on na ogół w ostatnich godzinach. Jak działa? Na przykład sąsiad nakłoni sąsiada, że trzeba iść, bo stoją za tym wyższe racje. Wcześniej w bada-

rzecz poparcia dla swojego kandydata. Podobnie było z Płażyńskim. PSL ma stałą maszynkę w terenie mobilizującą wyborców. Dziesiątki tysięcy działaczy przypominają swoim kolegom, na kogo mają głosować. W małych społecznościach przynosi to gigantyczny efekt.

W 2015 roku prawica wygrała między innymi dzięki gigantycznej mobilizacji społecznej. Pracowały na nią setki klubów GP, wspierały Rodziny Radia Maryja. Nie bez znaczenia było też zaangażowanie Ruchu Kontroli Wyborów wspomaganej między innymi przez te dwie organizacje. W 2018 roku mobilizacja utonęła w przepychankach wokół list wyborczych, ale zabrakło też ze strony sztabu prób wywołania takiej mobilizacji. Nie chodzi o to, żeby pojechać wszędzie, lecz by wywołać w terenie aktywność społeczników. To oni decydują w ostatniej chwili o kluczowych procentach głosów niezbędnych do przejęcia władzy. ■

Oszczędzaj z głową!

Przenieś numer do Plusa, dobierz telewizję od Cyfrowego Polsatu, a wszystko już od 40 zł miesięcznie. Do tego d kup Światłowód Netii z rabatem smartDOM.



40
od
zł/mies.
z rabatem smartDOM



TELEFON



TELEWIZJA



Dokup
Światłowód Netii

do **900**
Mb/s



[1] TELEFON: Dotyczy wybranych wariantów ofert. Szczegóły w regulaminach promocji: „PLUS.”, „PLUS. ELASTYCZNA”, „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon” dostępne na www.plus.pl i u Doradców.

[2] TELEWIZJA: Dotyczy promocji dla nowych Klientów dostępnych z ofertą elastyczną Rodzinny HD + Cinemax HD z min. zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Szczegóły w Warunkach Oferty i regulaminie, dostępne na www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.

[3] SMARTDOM: Opłata miesięczna 40 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Rabaty dostępne przez całą umowę w przypadku zachowania warunków promocji. Szczegóły w regulaminie programu „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon”. Warunkiem otrzymania rabatu smartDOM na usługę Światłowodu Netii jest spełnienie wymogów wynikających z regulaminu promocji „Najlepsza rozrywka – smartDOM”. Regulaminy dostępne na: www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.